

MARY WESTMACOTT
CZYLI
AGATHA CHRISTIE

BRZEMIE

PRZEŁOŻYŁA BOGUMIŁA MALARECKA
TYTUŁ ORYGINAŁU THE BURDEN

Albowiem jarzmo moje jest słodkie,
a moje brzemie lekkie.

Ewangelia według Sw. Mateusza, 11. 30.

Duchowi memu przychyl, Panie,

Radości niebios. Niech powstanie
Ze snu gnuśnego. Lubo jeślim
Nad ziemską miarę człkiem grzesznym

Niech będzie z woli Twej zadana
Głazowi serca krwawa rana.
Niebiańskich obfitości nie skąp, Panie,
Memu duchowi. Niech ze snu powstanie.

Lecz gdyby jednak oparł się i temu,
Zatem, nim zgaśnie, sercu oziębłemu
Boleść piekąca, czarna grzechu rana
Z woli Twej, Panie, niech będzie zadana.

R. L. Stevenson,

PROLOG

Kościół był zimny. W październiku nie włączano jeszcze ogrzewania. Na zewnątrz słońce łudziło obietnicą ciepła i dodawało otuchy, lecz tu, w środku, od szarych kamiennych murów ciągnęło jedynie wilgotnym chłodem, nasuwającym myśl o rychłym nadejściu zimy.

Laura stała między nianią, jaśniejącą bielą nakrochmalonych kołnierzyków i mankietów, a panem Hensonem, wikarym (pastor leżał w łóżku z powodu lekkiej grypy). Pan Henson był młody i chudy. Miał wydatne jabłko Adama i cienki, nosowy głos.

Pani Franklin, krucha i powabna istota, wspierała się na ramieniu męża. On sam trzymał się prosto, a na jego twarzy malował się wyraz uroczystej powagi. Narodziny drugiej córki nie pocieszyły go po stracie Charlesa. Pragnął następnego syna. A z tego, co mówił lekarz, nie wynikało, by miał być jeszcze jakiś syn... Powędrował spojrzeniem od Laury do niemowlęcia, które, trzymane w objęciach niani, gaworzyło radośnie do siebie.

Dwie córki... Oczywiście, Laura to miłe, kochane dziecko, a nowy przybysz w rodzinie to wspaniały okaz noworodka, lecz każdy mężczyzna chce mieć syna.

Charles... Charles i te jego jasne włosy, jemu tylko właściwy sposób odrzucania głowy, jego śmiech... Jakżeż był uroczy, jak urodziwy, jak bystry i inteligentny. Doprawdy niezwykły. Dlaczego, jeśli już musiało umrzeć jedno z jego dzieci, nie była to Laura...

Arthur Franklin nieoczekiwanie natknął się spojrzeniem na oczy starszej córki, oczy, które w malej, bladej twarzy sprawiały wrażenie olbrzymich i tragicznych, i w poczuciu winy poczerwieniał. Jak mógł tak pomyśleć? A gdyby dziecko odgadło stan jego ducha? Oczywiście, kochał Laurę... tylko... tylko że ona nie była, nigdy nie mogła być Charlesem.

Wsparta na mężu, z półprzymkniętymi oczami, Angela Franklin mówiła w duchu: Mój chłopiec, mój piękny chłopiec, moje kochanie... Wciąż nie potrafię w to uwierzyć. Dlaczego on, a nie Laura?

Angela Franklin nie czuła się winna. Bardziej bezwzględna i bardziej szczerza niż jej mąż, bliższa pierwotnym instynktom, uznała za oczywiste, że jej drugie dziecko, córka, nigdy nie znaczyła i nigdy nie mogłaby znaczyć dla niej tyle, ile tamten chłopiec, pierworodny. W porównaniu z Charlesem Laura była swego rodzaju rozczarowaniem: temu dobrze wychowanemu, nie przysparzającemu żadnych kłopotów dziecku zdecydowanie brakowało osobowości. No właśnie, osobowości.

Charles... nic i nigdy nie wynagrodzi mi straty Charlesa, pomyślała raz jeszcze, lecz czując zaciskającą się wokół jej przedramienia rękę męża, otworzyła oczy. Niewątpliwie należało skoncentrować się na ceremonii chrztu. Że też ten biedny pan Henson ma tak niezmiernie irytujący głos!

Angela, na pół rozbawiona, popatrzyła pobłaźliwie na niemowlę, które na chwilę przysnęło w ramionach niani: takie wielkie, podniosłe słowa skierowane do takiego maleństwa.

Nagle niemowlę zamrugało, otworzyło oszałamiająco niebieskie oczy, oczy Charlesa, i zagruchało radośnie. Uśmiech Charlesa, pomyślała Angela i w tej samej chwili załała ją fala matczynej miłości. Jej dziecko, jej własne, kochane dziecko. Po raz pierwszy śmierć Charlesa odeszła w przeszłość.

Podobnie jak Arthur, spotkała ciemne, smutne spojrzenie Laury. Ciekawe, o czym to dziecko myśli...

Niania także była świadoma stojącej u jej boku, skupionej, wyprostowanej Laury. Takie ciche, małe stworzenie, pomyślała. Na mój gust trochę za spokojne. To nienormalne, by jakiegokolwiek dziecko było tak spokojne i grzeczne jak ta mała. Nigdy nie poświęca się jej wiele uwagi. A przynajmniej nie tyle, ile by należało. Ciekawe, jak to teraz będzie...

Wielebny Eustace Henson zbliżał się do momentu, w którym zawsze odczuwał zdenerwowanie. Nie chrzczył dzieci zbyt często. Gdyby tak pastor był tutaj, pomyślał. Spojrzał na Laurę. Spodobała mu się powaga malująca się w oczach dziewczynki i skupiony wyraz jej twarzy. Dobrze wychowane dziecko. Ciekawe, o czym w tej chwili myśli.

Dobrze, że nie wiedział tego nikt: ani on, ani niania, ani Arthur i Angela Franklinowie.

To nie jest w porządku...

Och, to nie jest w porządku...

Matka kocha jej małą siostrzyczkę tak bardzo, jak kochała Charlesa.

To naprawdę nie jest w porządku...

Ona nienawidzi tego niemowlęcia. Nienawidzi go, nienawidzi go, nienawidzi!

Chciałabym, żeby umarło, pomyślała.

Stała przy chrzcielnicy, a pełne namaszczenia formułki chrztu dzwoniły jej w uszach. Jednak o wiele wyraźniejsza od nich, o wiele bardziej głośniejsza była myśl przełożona na słowa: chciałabym, żeby umarło...

Niania trąciła ją łokciem i wręczyła dziecko, szepcząc:

— Masz, potrzyмай ją trochę, tylko nie upuść, a potem podaj wikaremu.

— Wiem — odszepnęła Laura.

Niemowlę znalazło się w jej ramionach. Popatrzyła na nie. A gdybym tak opuściła ręce i pozwoliła mu upaść na kamienną posadzkę. Czy to by je zabiło?

W dół, na kamienie, szare, twarde kamienie... tylko że niemowlęta tak ciepło się ubiera, tak... tak spowija. Czy zrobi to? Czy się ośmieli?

Zawahała się. Właściwy moment minął. Dziecko znalazło się w nieco nerwowych ramionach wielebnego Eustace'a Hensona, któremu brakowało doświadczenia i pewności siebie pastora. Zapytał o imiona i powtórzył za Laurą: Shirley, Margaret, Evelyn... Na główkę maleństwa padło kilka kropel wody. Dziecko nie zapłakało. Wręcz przeciwnie: za — gaworzyło, jakby spotkało je jakieś nowe, przyjemne doświadczenie. Ostrożnie, niemal z wewnętrznym przymusem, Eustace Henson pocałował delikatne czółko niemowlęcia. Wiedział, że tak zwykle robi pastor. Z ulgą zwrócił zawiniątko niani.

Chrzest dobiegł końca.

CZĘŚĆ PIERWSZA

LAURA — 1929

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Mimo zewnętrznego spokoju w dziecku stojącym przy chrzcielnicy narastało uczucie urazy i niedoli.

Po śmierci Charlesa miała prawo oczekiwać... miała prawo... Cóż, bolała nad śmiercią brata (również i przez nią uwielbianego), jednak jej smutek dość prędko złagodziła niejasna tęsknota i nadzieja. Naturalnie, kiedy Charles żył, urodziwy, pełen wdzięku, radosny, beztroski Charles, nie miała nic przeciwko temu, by cała miłość rodziców spływała na niego. Ona, Laura, zawsze była cichym, nudnym, tym tak często niepożądanym drugim dzieckiem w rodzinie, dzieckiem, które przychodzi na świat zbyt prędko po pierwszym. Ojciec i matka byli dla niej mili i czuli, lecz to Charles zawładnął całkowicie ich sercami.

Kiedys przypadkowo usłyszała, jak matka mówiła do jednej ze swoich przyjaciółek: „Laura to kochane dziecko, oczywiście, lecz prawdę powiedziawszy, niezbyt ciekawe”.

Pełna rezygnacji pogodziła się z takim osądem. Cóż innego jej pozostało. Istotnie, jest nudnym dzieckiem. Jest mała i blada, jej włosy się nie kręcą, i nigdy nikogo nie potrafiłak rozśmieszyć, jak to robił Charles. Jest dobra, posłuszna i nikomu nie sprawia kłopotu, lecz ani nie jest, ani nigdy nie będzie kimś ważnym.

— Mamusia kocha Charlesa bardziej niż mnie... — poskarżyła się pewnego razu niani. Niania skarciła ją bez namysłu:

— Nie powinno się mówić takich głupstw. To nieprawda. Twoja matka kocha tak samo i jego, i ciebie. Tak sprawiedliwie, jak potrafi. Matki zawsze kochają jednakowo wszystkie swoje dzieci.

— Koty nie — powiedziała Laura, mając na myśli ostatni koci miot.

— Koty to tylko zwierzęta — odparowała niania. — W każdym razie — dodała, osłabiając nieco cudowną oczywistość poprzedniego stwierdzenia — Bóg cię kocha, pamiętaj.

Laura przyjęła do wiadomości tę maksymę. Bóg cię kocha. On musi. Lecz prawdopodobnie nawet Bóg bardziej kocha Charlesa... A to dlatego, że stwarzając Charlesa odczuwał większą satysfakcję niż stwarzając ją, Laurę.

Ale ma się rozumieć, pocieszyła się po namyśle, ja kocham siebie najbardziej. Mnie wolno kochać siebie bardziej niż Charlesa, bardziej niż mamę, tatę czy kogokolwiek.

To od tego czasu Laura stała się bledsza, spokojniejsza, jeszcze mniej rzucająca się w oczy i tak dobra i posłuszna, że niania, którą to powoli zaczynało krępować, podzieliła się kiedyś z pokojówką trudną do wytłumaczenia obawą, mianowicie taką, że Laura może być „zabrana” młodo.

Ale to Charles był dzieckiem, które umarło, nie Laura.

2

— Dlaczego nie sprawisz temu dziecku psa? — zniecka zagadnął swego serdecznego przyjaciela, ojca Laury, John Baldock.

— Jakiemu dziecku? — Franklin wyglądał na nieco zaskoczonego, jako że obaj z przyjacielem prowadzili ożywioną dyskusję o skutkach reformacji.

Pan Baldock kiwnął wielką głową w kierunku Laury, która od dłuższej chwili bawiła się na trawniku, między drzewami, udając, że jeździ na rowerze. Cała zabawa nie zawierała w sobie najmniejszego elementu ryzyka czy niebezpieczeństwa. Laura była ostrożnym dzieckiem.

— Dlaczego, u licha, miałbym to zrobić? — zapytał pan Franklin. — Psy, moim zdaniem, są nieznośne, zawsze wpadają do domu z ubłoconymi łapami i niszczą dywany.

— Pies — oznajmił pan Baldock zwykłym sobie, mentorskim tonem, zdolnym prawie każdego doprowadzić do gwałtownej irytacji — nadzwyczaj korzystnie wpływa na nasze ego. Dla psa istota ludzka, która jest jego właścicielem, to bóstwo godne czci, a w naszej obecnej dekadentycznej cywilizacji nie tylko czci, także miłości. Posiadanie psa często uderza ludziom do głowy. Sprawia, że czują się ważni i władczy.

— Hm! — mruknął pan Franklin. — I to nazywasz czymś dobrym?

— Och, skądże — odparł pan Baldock. — Ale muszę przyznać się do pewnej niepoprawnej słabości, jaką jest upodobanie do oglądania ludzkiego szczęścia. Chciałbym zatem zobaczyć szczęśliwą Laurę.

— Laura jest bardzo szczęśliwa — powiedział jej ojciec. — A poza tym ma kocięta — dodał.

— Ba — zachnął się pan Baldock. — To nie to samo. Sam byś do tego doszedł, gdybyś raczył pomyśleć. Ale kłopot z tobą polega właśnie na tym, że nigdy nie myślisz. Weźmy choćby twoją tezę, dotyczącą ekonomicznego uwarunkowania czasów reformacji. Czy przyszło ci do głowy, choćby na krótką chwilę...

I tak, ku obopólnemu zadowoleniu, powrócili do zażartej dyskusji, podczas której pan Baldock wygłaszał najbardziej niedorzeczne i prowokacyjne twierdzenia.

Jednak gdzieś na dnie duszy Arthura zrodził się lekki niepokój i jeszcze tego wieczoru, przyszedłszy do pokoju żony, gdzie ta przebierała się do kolacji, rzucił szorstko:

— Z Laurą wszystko w porządku, mam nadzieję? Ma się dobrze, jest szczęśliwa i tak dalej?

Żona zwróciła ku niemu zdumione, intensywnie chabrowe, rozkoszne oczy, jak oczy jej syna, Charlesa.

— Kochanie! — odrzekła. — Naturalnie! Z Laurą zawsze jest wszystko w porządku. Nawet nie ma napadów złości, jak większość dzieci. Nigdy nie muszę martwić się o Laurę. Nie sprawia żadnych kłopotów. Jest jak dar boski. — Zacisnęła zameczek od sznura pereł. — Dlaczego pytasz o Laurę właśnie dzisiaj? Czyżby coś się stało?

Arthur Franklin powiedział wymijająco:

— Nie, po prostu Baldy rzucił jakąś uwagę.

— Och, Baldy, Baldy! — W głosie pani Franklin zabrzmiała nuta rozbawienia. — Wiesz, jaki on jest. Lubi prowokować.

Kilka dni później, kiedy pan Baldock był na lunchu i kiedy po wyjściu z jadalni natknęli się w hallu na nianię, Angela Franklin zatrzymała ją rozmyślnie i zapytała wprost, nieco podniesionym głosem:

— Z panią Laurą nie dzieje się nic złego, prawda? Ma się dobrze i jest szczęśliwa?

— O, tak, proszę pani — odpowiedziała niania kategorycznie, lekko urażona. — Panią Laura jest bardzo grzeczną dziewczynką i nigdy nie sprawia żadnych kłopotów. Nie tak jak panicz Charles.

— Ach, więc Charles sprawia ci kłopoty? — podchwycił pan Baldock.

Niania zwróciła się do niego z szacunkiem.

— To normalny chłopiec, proszę pana, zawsze jest skory do psot! Rozwija się. Niedługo pójdzie do szkoły. Chłopców w tym wieku zawsze rozpiera energia. Ale jak już mowa o paniczu Charlesic, to ma słaby żołądek, dostaje za moimi plecami za dużo słodyczy.

Odeszła potrząsając głową, z pobłażliwym uśmiechem na ustach.

— Tak czy inaczej, ona i tak go uwielbia — powiedziała Angela Franklin, kiedy znaleźli się w bawialni.

— To oczywiste — zgodził się pan Baldock i dodał refleksyjnie: — Zawsze byłem zdania, że kobiety są głupie.

— Niania taka nie jest, daleko jej do tego.

— Nie mam na myśli niani.

— Czyżby mnie? — Angela obrzuciła go ostrym spojrzeniem, choć nie za ostrym, bo ostatecznie był to Baldy, sławny, ekscentryczny Baldy, który mógł sobie pozwolić na pewną bezceremonialność, a poza tym ta bezceremonialność była w istocie jedną z jego wielu pów.

— Myślę o napisaniu książki, dotyczącej problemu drugiego dziecka — powiedział pan Baldock.

— Doprawdy, Baldy! Chyba nie chcesz powiedzieć, że jesteś zwolennikiem jednego dziecka w rodzinie. Myślałam, że posiadanie jedynaka jest poczytywane za niekorzystne z każdego punktu widzenia.

— Och! Mogę przytoczyć mnóstwo argumentów, przemawiających za rodziną z dziesięciorgiem dzieci. Pod warunkiem, że będzie się właściwie rozwijała. Że każdy będzie wykonywał prace domowe, starsze rodzeństwo będzie się opiekowało młodszym i tak dalej. Że będą się zazębiały wszystkie trybiki w domowej maszynerii. Wyobraź sobie, że one wszystkie powinny być prawdziwie przydatne; nie, żeby tylko im się zdawało, że są. Lecz w dzisiejszych czasach, jak jacyś głupcy, dzielimy dzieci na tak zwane grupy wiekowe! I to nazywa się wychowaniem! Ba! To jest wbrew naturze!

— Ty i twoje teorie — powiedziała pobłażliwie Angela. — Ale co z tym drugim dzieckiem?

— Kłopot z nim polega na tym — powiedział pan Baldock pouczającym tonem — że zwykle sprawia pewien zawód. Pierwsze dziecko jest przygodą. Przerażającą i bolesną; kobieta jest przekonana, że umrze, a mąż (ten oto Arthur, na przykład) nie myśli inaczej. Kiedy jest po wszystkim, oboje stają twarzą w twarz z czymś, co jest żywe, czerwone i co drze się wniebogłosy, jakby było z piekła rodem! Naturalnie, natychmiast to coś akceptują:

jest nowe, jest ich własne, jest cudowne! A potem, zwykle dość prędko, zjawia się Numer Drugi i cały kram zaczyna się od nowa. Z tą różnicą, że tym razem już bez wielkich lęków, lecz i bez wielkich emocji. Drugie dziecko też jest wasze, lecz nie stanowi nowego doświadczenia. A ponieważ łatwo przyszło, nie jest ani trochę tak cudowne jak pierwsze.

Angela wzruszyła ramionami.

— Starzy kawalerowie wszystko wiedzą najlepiej — mruknęła ironicznie. — A czy twoje prawdy nie odnoszą się również do Numeru Trzeciego, Numeru Czwartego i całej reszty?

— Niezupełnie. Zauważyłem, że zwykle następuje przerwa przed Numerem Trzecim. Numer Trzeci jest często płodzony z tego powodu, że dwa poprzednie się uniezależniają, a rodzice chcieliby znów mieć słodkie maleństwo w pokoju dzieciennym. Dziwne upodobanie do odrażających małych stworzeń, choć, jak przypuszczam, biologicznie uzasadnione. I tak rodzą się następne: jedno miłe, jedno złośliwe, jedno błyskotliwe, a jedno tępe, ale jakoś się ze sobą dogadują i lubią nawzajem mniej czy bardziej, aż w końcu przychodzi to ostatnie, które, tak jak pierworodne, staje się dla rodziców oczkiem w głowie.

— I chcesz powiedzieć, że to wszystko jest bardzo niesprawiedliwe?

— Właśnie. A poza tym samo życie jest niesprawiedliwe!

— I cóż można na to poradzić?

— Nic.

— Doprawdy, Baldy, nie nadażam za twoimi wywodami.

— Mówiłem to już Arthurowi kilka dni temu. Mam miękkie serce. Cieszę się, gdy widzę, że ludzie są szczęśliwi. Lubię wynagradzać ludziom to, czego nie mają i mieć nie mogą. To trochę równoważy wszelkie sprawy. Poza tym, jeśli się tego nie robi... — przerwał na chwilę — można doprowadzić do jakiegoś nieszczęścia...

3

— Naprawdę uważani, że Baldy plecie głupstwa — powiedziała Angela do męża po odejściu gościa.

— John Baldock jest jednym z czołowych uczonych w tym kraju — stwierdził Arthur Franklin z lekkim przymrużeniem oka.

— Och, przecież wiem. — Na twarzy Angeli pojawił się wyraz lekkiej pogardy. — Skłonna byłabym schylić głowę w niemym uwielbieniu, gdyby wygłaszał wykład na temat

prawa greckiego czy rzymskiego albo nieznanymi poetów z epoki elżbietańskiej. Ale cóż on może wiedzieć o dzieciach?

— Mam wrażenie, że absolutnie nic — powiedział Arthur. — A wiesz, parę dni temu sugerował mi, byśmy podarowali Laurze psa.

— Psa? Przecież Laura ma kocięta.

— Według niego to nie to samo.

— Jakie to dziwne... Pamiętam, jak kiedyś mówił, że nie lubi psów.

— Przypuszczam, że lubi.

— W gruncie rzeczy to raczej Charles powinien mieć psa — powiedziała pogrążona w myślach Angela. — Kiedy któregoś dnia na plebanii wyskoczyły do niego szczenięta, wyglądał tak, jakby się nieźle przestraszył. To taki niemiły widok, chłopiec bojący się psów. Przyzwyczałby się do nich, gdyby miał swojego. A poza tym powinien się uczyć jeździć na koniu. Chciałabym, żeby miał własnego kucyka. Że też nie mamy padoku!

— Obawiam się, że kucyk nie wchodzi w grę — oznajmił Franklin.

W kuchni pokojówka Ethel powiedziała do kucharki:

— Ten stary Baldock też to zauważył.

— Niby co?

— Że z panią Laurą coś nie tak. Że nie pisane jej pożyć długo na tym świecie. Wypytywali nianię, ot co. Bo też tej małej żadne psoty w głowie. Gdzie jej tam do panicza Charlesa. Zapamiętaj moje słowa: panią Laura nawet nie zdąży dorosnąć.

Lecz dzieckiem, które umarło, był Charles.

ROZDZIAŁ DRUGI

1

Charles umarł na porażenie dziecięce. Umarł w szkole. Zachorowali także dwaj inni chłopcy, ale ci wyzdrowieli.

Dla Angeli Franklin, z natury wrażliwej i słabego zdrowia, był to cios druzgocący. Charles, jej miłość, jej ukochanie, jej piękny, radosny, dzielny chłopiec.

Leżała w zaciemnionej sypialni, wpatrując się w sufit, niezdolna zapłakać, a jej mąż i Laura, a także służba, wszyscy chodzili po domu na palcach. W końcu lekarz poradził Arthurowi Franklinowi zabrać żonę za granicę.

— Całkowita zmiana atmosfery i otoczenia. To ją zdecydowanie powinno ożywić. Na takie stany najlepiej robi dobre, górskie powietrze. Proponuję Szwajcarię.

Tak więc Franklinowie wyjechali, a Laura pozostała pod opieką niani oraz panny Weekes, sympatycznej, lecz niezbyt lotnej guwernantki, która przychodziła do dziewczynki każdego dnia.

W życiu Laury niespodziewanie nastąpiła przyjemna odmiana. Wszak formalnie to ona zajęła miejsce pani domu! Jak miło było „wpadać” każdego ranka do kuchni i dysponować posiłki na cały dzień! Kucharka, pani Brunton, gruba, dobrodusza kobieta, oczywiście utraçała co bardziej szalone pomysły Laury, i potrafiła tak wszystkim pokierować, by menu było jota w jotę zgodne z jej planami i by jednocześnie jej nowa „pani” nie traciła poczucia własnej godności. Jeśli Laura tęskniła za rodzicami, to jedynie dlatego, że w jej duszy snuły się fantastyczne rojenia związane z ich powrotem.

To było straszne, że Charles umarł. Naturalnie, rodzice bardziej kochali Charlesa niż ją i nie było w tym, według niej, żadnej niesprawiedliwości (Charles, to Charles), lecz teraz, teraz to ona powinna zawładnąć jego królestwem. To właśnie ona, Laura, jest teraz ich jedynym dzieckiem, dzieckiem, w którym pokładali wszelkie nadzieje i ku któremu powinni skierować wszystkie swoje uczucia. Budowała w myślach sceny ich powrotu. Matka otworzy ramiona...

„Lauro, kochanie. Jesteś wszystkim, co mam na świecie!”

Sceny wzruszające, sceny pełne emocji. Sceny, które w istocie w najmniejszym stopniu nie odpowiadały temu, co mogliby zrobić lub powiedzieć Angela czy Arthur Franklinowie. Jednak Laurę cieszyła myśl o powrocie rodziców i z dnia na dzień dodawała owym powitalnym scenom dramatyzmu. Wreszcie uwierzyła w nie tak, jak gdyby już się zdarzyły.

Szła dróżką do wsi, jak zwykle zatopiona w swoich marzeniach. Unosząc brwi, potrząsając głową, mówiła do siebie coś półgłosem. Nie zauważyła pana Baldocka, który szedł z przeciwnej strony, pchając przed sobą wypełniony zakupami ogrodowy kosz na kółkach.

— Dzień dobry, mała Lauro.

Laura, gwałtownie wyrwana z budowania wzruszającego dramatu, w którym jej matka była niewidoma, a ona, Laura, odrzucała propozycję małżeństwa złożoną jej przez wicehrabiego („Nigdy nie wyjdę za mąż. Moja matka jest dla mnie wszystkim”), drgnęła i zarumieniła się.

— Rodzice jeszcze nie wrócili, prawda?

— Tak, spodziewam się ich dopiero za dziesięć dni.

— Rozumiem. Chciałabyś przyjść do mnie jutro na herbatę?

— O tak.

Laura była dumna i podniecona. Pan Baldock, kierownik katedry na pobliskim (czternaście mil od wioski) uniwersytecie, miał tu swój mały domek, w którym spędzał wakacje i od czasu do czasu weekendy. Nie uczestniczył w lokalnym życiu towarzyskim i lekcewał mieszkańców Bellbury odrzucając, zwykle dość nieuprzejmie, kolejne zaproszenia. Jedyńm jego przyjacielem był Arthur Franklin — przyjaźń obu mężczyzn liczyła sobie wiele lat. John Baldock nie był sympatycznym człowiekiem. Traktował swoich uczniów z taką bezwzględnością i ironią, że tylko najlepszym udawało się zdobywać odznaczenia, podczas gdy cała reszta odpadała po drodze. Napisał kilka opasłych i zawiłych w treści tomów, poświęconych mrocznym okresom historii. Napisał w taki sposób, że zaledwie nieliczni czytelnicy mogli zrozumieć zawartą w nich myśl. Delikatne sugestie ze strony wydawców, dotyczące nieco bardziej czytelnego stylu, były odrzucane, i to z dziką radością; pan Baldock obstawał przy swoim. Uważał, że tylko ci, którzy potrafią przebić się przez jego książki, są czytelnikami wartymi zachodu! Był szczególnie szorstki dla kobiet, choć jego szorstkość oczarowywała wiele z nich do tego stopnia, że wręcz napraszały się o więcej. I taki oto mężczyzna — osobnik o niesamowitych uprzedzeniach do wszystkiego i wszystkich, arogancki i wyniosły — miał zaskakująco miękkie serce, które nic sobie nie robiło z jego szczytnych zasad.

Laura wiedziała, że być zaproszoną przez pana Baldocka, znaczy dostąpić nie lada zaszczytu, i że do takiej wizyty należy się odpowiednio przygotować. Przyszła zatem gustownie ubrana, uczesana i umyta, niemniej z ukrytym lękiem, bo przecież wiadomo jej było, że pan Baldock to ktoś, kto budzi grozę.

Gospodyni pana Baldocka wprowadziła ją do biblioteki. Pan Baldock uniósł głowę i wbił w Laurę spojrzenie.

— Witaj — powiedział. — Co tu porabiasz?

— Pan zaprosił mnie na herbatę — odrzekła Laura.

Pan Baldock przyglądał jej się z namysłem. Laura nie pozostała dłużna. Odwzajemniła mu się poważnym i grzecznym spojrzeniem, które, szczęśliwie dla niej, znakomicie skrywało jej skrępowanie.

— Proszę, proszę. — Pan Baldock potarł nos. — Zaprosiłem, mówisz. Hm... no tak, zaprosiłem. Choć nie rozumiem dlaczego. Cóż, siadaj zatem.

— Gdzie? — spytała Laura.

Pytanie było całkowicie uzasadnione. Biblioteka, do której Laura została wprowadzona, miała ściany zastawione regałami aż do sufitu. Na wszystkich półkach znajdowały się książki, ustawione ciasno jedna przy drugiej. Poza tym w pokoju było jeszcze całe mnóstwo innych książek, które z braku lepszego miejsca zalegały w wielkich stosach podłogę i stoły, a także zajmowały krzesła.

Pan Baldock sprawiał wrażenie poirytowanego.

— Przypuszczam, że musimy z tym coś zrobić — powiedział niechętnie. Wybrał fotel, który był nieco łatwiejszy do uprząknięcia niż inne i pośród wielu chrząknięć i westchnień ułożył zakurzone tomy na podłodze. — Proszę — rzekł otrzepując ręce z kurzu i gwałtownie kichając.

— Czy tu nikt nie odkurza? — zapytała Laura, rozsiadając się statecznie w fotelu.

— Nie, jeśli mu życie miłe! — zachnął się pan Baldock. — Ale wyobraź sobie, to ciężka walka. Odnoszę wrażenie, że kobieta najbardziej lubi uwijać się tu i ówdzie z wielką, żółtą ścierką do kurzu albo uzbrojona w puszkę tłustej mazi rozsiewać wokół woń terpentyny czy czegoś jeszcze gorszego. No i zbierać wszystkie moje książki i układać je w stosy, najpewniej według rozmiaru, nie przejmując się bynajmniej tematyką! Potem taka jedna z drugą włącza diabelską maszynę, która warczy i buczy, no a kiedy sobie wreszcie pójdzie, zadowolona z siebie niby Punch, zostawia pokój w takim stanie, że przynajmniej przez miesiąc nie możesz znaleźć niczego, co ci jest potrzebne. Kobiety! Nie potrafię sobie wyobrazić, co Pan Bóg myślał, tworząc kobietę. Śmiem twierdzić, że obawiał się, by Adamowi, który wyglądał na zbyt próżnego i zadowolonego z siebie (oto jestem panem wszechświata i nadaję nazwy własne zwierzętom i całej reszcie), nie przewróciło się w głowie. Pan Bóg pomyślał więc, że należy utrzyć mu nosa. Śmiem twierdzić, że miał rację. Ale stworzenie kobiety było posunięciem o krok za dalekim. Popatrz, gdzie ten biedak ląduje. Trafia w sam środek grzechu pierwotnego.

— Przykro mi — powiedziała Laura grzecznie.

— Niby dlaczego?

— Dlatego, że pan w ten sposób myśli o kobietach, a ja, jak przypuszczam, jestem kobietą.

— Dzięki Bogu, jeszcze nie jesteś — odparł pan Baldock. — I jeszcze długo nie będziesz. To oczywiście kiedyś nadejdzie, lecz nie ma sensu myśleć zawczasu o nieprzyjemnych rzeczach. A przy okazji, wcale nie zapomniałem, że miałaś przyjść dzisiaj na herbatę. Nie zapomniałem ani na chwilę! Po prostu udawałem, z sobie wiadomego powodu.

— Jakiego powodu?

— Cóż... — Pan Baldock znów potarł nos. — Po pierwsze, chciałem się przekonać, co powiesz. — Kiwnął głową. — Przeszłaś przez to bardzo dobrze. Istotnie, bardzo dobrze...

Laura wpatrywała się w niego, niczego nie pojmując.

— Miałem jeszcze inny powód. Jeśli ty i ja zamierzamy zostać przyjaciółmi, a na to mi wygląda, powinnaś akceptować mnie takiego, jaki jestem; a, jak wiesz, jest ze mnie stary gbur, szorstki i nieuprzejmy. Rozumiesz? Nigdy bym do ciebie nie powiedział: „Drogie dziecko, jakże jestem rad, że cię widzę. Wprost nie mogłem się doczekać twojego przyjścia”.

Ostatnie dwa zdania wypowiedział z wyraźną wzdargą, podkreśloną cienkim falsetem. Na małej twarzązce dziecka pojawiły się mimiczne zmarszczki. Laura roześmiała się.

— To byłoby zabawne — powiedziała. — Istotnie.

Laura znów spoważniała. Przyglądała mu się usilnie.

— Naprawdę pan sądzi, że możemy zostać przyjaciółmi?

— To kwestia obopólnego porozumienia. Podoba ci się taki pomysł?

— Wydaje się trochę dziwny — powiedziała niezdecydowanie. — To znaczy, przyjaciółmi są na ogół dzieci, które przychodzą do siebie, żeby się razem bawić.

— Na pewno nie będę się bawił w „Wokół krzaku morwy idziemy w tan!”, nawet o tym nie myśl!

— W to się bawią małe dzieci — oznajmiła Laura z przyganą w głosie.

— Nasza przyjaźń będzie się rozwijała na płaszczyźnie intelektualnej — zapowiedział pan Baldock.

— O tak, to mi się podoba, chód nie wiem, proszę pana, co to miałyby znaczyć.

— To, że kiedy się spotkamy, będziemy dyskutować na tematy, które nas interesują.

— Naprawdę? A jakie?

— Cóż, choćby jedzenie. Uwielbiam jeść. Spodziewam się, że i ty także. Ale ponieważ ja mam sześćdziesiątkę z okładem, a ty pewnie dziesięć wiosen, nie wątpię, że nasze

wyobrażenia w tej materii będą różne. I to jest interesujące. Są jeszcze i inne sprawy: kolory, kwiaty, zwierzęta, historia Anglii.

— Ma pan na myśli coś w rodzaju żon Henryka VIII?

— No właśnie. Wspomnij tylko Henryka VIII dziewięciu osobom na dziesięć, a te natychmiast częstują cię jego żonami. To obraza dla mężczyzny, którego zwano Najświetlejszym Księciem Chrześcijańskiego Świata i który był mężem stanu nad wyraz przebiegłym, by pamięć o nim przetrwała jedynie dzięki jakimś matrymonialnym zabiegom o posiadanie prawowitego dziedzica płci męskiej. Nieszczęsne żony Henryka VIII nie mają najmniejszego znaczenia dla historii.

— Ja myślę, że te żony były bardzo ważne.

— No i proszę! — ucieszył się pan Baldock. — Mamy dyskusję.

— Chciałabym być Jane Seymour.

— Dlaczego nią?

— Bo umarła — powiedziała z przejęciem Laura.

— Inne też umarły, Anna Boleyn, Katherine Howard...

— Tak, ale zostały stracone. Jane była jego żoną zaledwie przez rok, miała dziecko i umarła, i wszyscy na pewno bardzo się smucili.

— Cóż, to jest jakiś punkt widzenia. Chodźmy do drugiego pokoju i sprawdźmy, czy dostaniemy coś do herbaty.

2

— To jest cudowna herbatka.

Laura powiodła zachwyconym spojrzeniem po bułeczkach z rodzynekami, roladzie z konfiturą, ptysiach, kanapkach z ogórkiem, herbatnikach w czekoladzie i wielkiej porcji ociekającego tłuszczem ciasta ze śliwkami.

— Pan naprawdę się mnie spodziewał — stwierdziła z wesołym chichotem. — Chyba że pan ma taką herbatkę każdego dnia.

— Niech Bóg broni!

Zasiedli do stołu w koleżeńskej atmosferze. Pan Baldock zjadł sześć kanapek z ogórkiem, a Laura cztery ptysie i wszystkiego po trochu.

— Dopisuje ci apetyt, Lauro. Aż miło popatrzeć. — Jestem zawsze głodna — przyznała się Laura — i rzadko kiedy robi mi się niedobrze z przejedzenia. Charlesowi na ogół było niedobrze.

— Hm... Charles. Pewnie bardzo ci go brakuje.

— O tak, brakuje. Bardzo brakuje, proszę pana. Siwe, krzaczaste brwi pana Baldocka podjechały w górę.

— Dobrze już, dobrze. Nikt ci nie przeczy.

— To prawda, proszę pana, ale ja naprawdę za nim tęsknię.

Pan Baldock, słysząc tak żarliwe zapewnienia, pokiwał głową i obrzucił Laurę uważnym spojrzeniem.

— Śmierć dziecka jest czymś straszliwie smutnym. — Głos Laury nieświadomie naśladował brzmienie innego głosu, dorosłego, którym ktoś wcześniej wypowiedział to zdanie.

— Tak, istotnie.

— Zwłaszcza dla mamy i taty. Teraz jestem wszystkim, co mają na świecie.

— A więc to o to chodzi?

Laura popatrzyła na niego, niczego nie rozumiejąc. Zagłębiła się w świat marzeń. „Lauro, kochanie. Jesteś wszystkim, co mam... moje jedyne dziecko... mój skarb”.

— Zjełczałe masło — mruknął Baldock. W ten sposób zwykle wyrażał swoje wzburzenie. — Zjełczałe masło! Zjełczałe masło! — Zirytowany potrząsnął głową. — Wyjdźmy do ogrodu, Lauro — powiedział. — Popatrzymy sobie na róże, a przy okazji dowiem się, co porabiasz całymi dniami.

— Rano przychodzi panna Weekes i mamy lekcje.

— Ta stara Tabby!

— Nie lubi jej pan?

— Wypisz, wymaluj, to całe Girton. Nigdy nie idź do Girton, Lauro!

— Co to jest Girton?

— College dla dziewcząt. W Cambridge. Na samą myśl o nim cierpnie mi skóra!

— Kiedy skończę dwanaście lat, pójdę do szkoły z Internatem.

— Szkoła z internatem? Gniazdo rozpusty!

— Sądzi pan, że mi się nie spodoba?

— Przypuszczam, że się spodoba, i to jak. Właśnie w tym tkwi niebezpieczeństwo! Bicie koleżanek po kostkach kijem do hokeja, durzenie się w nauczycielce muzyki, a potem, jak

nic, Girton lub Somerville. Och, w porządku, mamy jeszcze kilka lat, nim zdarzy się najgorsze. Wykorzystajmy je do maksimum. A co będziesz robić, kiedy dorośniesz? Nie w mówisz mi, że się nad tym nie zastanawiałaś.

— Mogłabym zostać opiekunką trędowatych...

— Cóż, raczej nieszkodliwe zajęcie. Radzę ci tylko, byś nie przyprowadzała swoich podopiecznych do domu i nie kładła ich do łóżka męża. Święta Elżbieta Węgierska tak zrobiła. Jak najbardziej niefortunna gorliwość. Święta Pańska, nie wątpię, lecz bardzo nierozważna żona.

— Nigdy nie wyjdzie za mąż — oznajmiła Laura zrezygnowanym głosem.

— Nie? Gdybym był tobą, na pewno bym to zrobił. Według mnie stare panny są gorsze niż kobiety zamężne. Te ostatnie to pech dla niektórych mężczyzn, oczywiście, lecz sądzę, że ty byłabyś lepszą żoną od wielu innych.

— To nie byłoby w porządku. Muszę być pomocą dla mamusi i tatusia na ich stare lata. Nie mają nikogo poza mną.

— Mają kucharkę, pokojówkę i ogrodnika. Dysponują znaczną sumą pieniędzy i mają mnóstwo przyjaciół. Poradzą sobie. Rodzice muszą być przygotowani na odejście dzieci. Czasami jest to dla nich wielka ulga. — Zatrzymał się zniemacka przy klombie róż. — Oto moje róże. Podobają ci się?

— Są piękne — odparła grzecznie Laura.

— Na ogół — stwierdził pan Baldock — wolę róże niż ludzi. Choćby dlatego, że mają krótki żywot. — Ujął mocno dłoń Laury. — Do widzenia, Lauro. Powinnaś już iść. W przyjaźni należy zachować umiar. Miło mi było cię gościć.

— Do widzenia, panie Baldock. Dziękuję za gościnę. Było mi bardzo miło.

Laura gładko poradziła sobie z utartymi zwrotami; była dobrze wychowanym dzieckiem.

— W porządku — powiedział pan Baldock, klepiąc ją przyjaźnie po ramieniu. — Zawsze mów to, co do ciebie należy. To uprzejmość i znajomość właściwych formułek sprawiają, że wszystko się jako tako kręci. Kiedy dożyjesz mojego wieku, będziesz mogła mówić, co zechcesz.

Laura uśmiechnęła się i przeszła przez żelazną furtkę, którą pan Baldock przytrzymał przed nią. Kiedy znalazła się po drugiej stronie, odwróciła się z niejakim wahaniem.

— Co tam jeszcze?

— Naprawdę umowa stoi? To znaczy, czy będziemy przyjaciółmi?

Pan Baldock potarł nos.

— Tak — rzekł z westchnieniem. — Tak, sędzę, że tak.

— Mam nadzieję, że nie będzie to panu przeszkadzało — zaniepokoiła się.

— Nie za bardzo... Już się przyzwyczailem do tego pomysłu.

— Och, to świetnie, bo ja też. Tak sobie myślę, że to naprawdę będzie przyjemne. Do widzenia.

Pan Baldock popatrzył za nią i mruknął do siebie gniewnie:

— No i widzisz, w co się wrobiłeś, stary głupcze? Skierował swoje kroki w stronę domu, a tam czekała już na niego gospodyni, pani Rouse.

— Czy ta dziewczynka już sobie poszła?

— Tak, poszła.

— O mój Boże, chyba nie siedziała zbyt długo?

— Wystarczająco — powiedział pan Baldock. — Dzieci i podwładni nigdy nie wiedzą, kiedy się pożegnać. Ktoś musi to za nich zrobić.

— Och, w porządku! — burknęła pani Rouse, obrzucając mijającego ją pana Baldocka oburzonym spojrzeniem.

— Dobranoc — rzekł pan Baldock. — Idę do biblioteki i nie życzę sobie, by mi znów przeszkadzano.

— Co do kolacji...

— Ani kęsa, jeśli łaska. — Pan Baldock machnął ręką. — I proszę zabrać te wszystkie obrzydliwe słodczy, dojeść je albo dać kotu.

— Och, dziękuję, proszę pana. Moja mała siostrzeniczka...

— Pani siostrzeniczka czy kot, czy ktokolwiek.

Wszedł do biblioteki i zamknął za sobą drzwi.

— W porządku! — powiedziała raz jeszcze pani Rouse. — Ci wszyscy stetryczali starzy kawalerowie! Ale co tam, i tak wiem, co w nim naprawdę siedzi! Nie dam się zwieść byle ostrym słowem!

Laura wróciła do domu z miłym poczuciem własnej ważności.

Wsunęła głowę przez okno do kuchni, gdzie Ethel, pokojówka, zmagala się ze skomplikowanym wzorem szydełkowym.

— Ethel, mam przyjaciela.

— Co mówisz, kochaniutka? — spytała Ethel, mrużąc dalej pod nosem: — Pięć łańcuszkiem, słupek, osiem łańcuszkiem...

— Mówię, że mam przyjaciela.

Ethel nadal pomrukiwała:

— Pięć słupków, trzy półsłupki... ale coś tu nie wychodzi, gdzieś się musiałam pomylić.

— Mam przy-ja-cie-la! — wyskandowała Laura, zirytowana brakiem zrozumienia ze strony swojej powiernicy.

Ethel spojrzała na nią zaskoczona i powiedziała nieprzytomnie:

— Och, rozetrzyj to sobie, kochaniutka, rozetrzyj. Laura odeszła rozgoryczona.

ROZDZIAŁ TRZECI

1

Angela Franklin lękała się powrotu do domu, lecz okazało się, że jej obawy były przesadzone co najmniej w połowie.

Kiedy zatrzymali się na podjeździe, powiedziała do męża:

— Na schodach czeka na nas Laura. Wygląda na podekscytowaną. — Wyskoczyła z samochodu, czule objęła córkę i wykrzyknęła: — Lauro, kochanie. Jak to miło znów cię zobaczyć. Pewnie strasznie za nami tęskniłaś?!

— Nie tak bardzo. Wciąż byłam zajęta. Ale uplotłam dla was matę z rafii.

W jednej chwili Angelę zalała fala wspomnień o Charlesie, o tym, jak pędziłby przez trawę, jak rzuciłby się w jej objęcia, jak by ją ścisnął. „Mamusiu moja jedyna, mamusiu!”

Jak okrutnie może ranić pamięć. Odsunęła na bok wspomnienia, uśmiechnęła się do Laury i powiedziała:

— Uplotłaś matę z rafii? Jak to miło, kochanie. Arthur Franklin pociągnął córkę za kosmyk włosów. — Widzę, że mój koteczek wyrósł.

Weszli do domu.

Prawcie powiedziawszy, Laura nie wiedziała, czego więcej miałyby się spodziewać. Oto mamusia i tatuś są wreszcie w domu i cieszą się, że ją widzą, robią wokół niej tyle zamieszania, o wszystko pytają. To nie oni byli źli, lecz ona. Ona nie była... nie była... jaka nie była?

To ona ani nie wypowiedziała wyuczonych na tę okazję kwestii ani nie wyglądała tak, jak powinna; nawet nie czuła tego, co, jak jej się zdawało, będzie czuć.

Nie tak to sobie zaplanowała. Nie zajęła, tak naprawdę, miejsca Charlesa. Jej, Laurze, czegoś brakuje. Ale jutro wszystko może się odmienić, pomyślała, a jeśli nie jutro, to

pojutrze albo popojutrze. Wchodząc na strych, przypomniała sobie określenie zapamiętane z jakiejś dawnej książki dla dzieci: dusza domu.

To było to, czym była teraz. Była duszą domu.

Niestety, złe przeczucie podpowiadało jej, że powinna się czuć po prostu i jak zwykle Laura.

Po prostu Laurą...

2

— Zdaje się, że Laura przypadła Baldy'emu do serca — powiedziała Angela. — Wyobraź sobie, że kiedy nas nie było, zaprosił ją do siebie na herbatę.

Arthur wyznał, że jest bardzo ciekaw, o czym tych dwoje rozmawiało.

— Myślę — podjęła Angela po chwili — że powinniśmy Laurze powiedzieć. Obawiam się, że jeśli tego nie zrobimy, usłyszy coś od służby czy kogoś innego. Mimo wszystko ona jest zbyt duża, by wierzyć w główki kapusty i temu podobne opowiadki.

Angela leżała na wyplatanej leżance pod cedrem. Obróciła głowę w stronę męża, odpoczywającego obok na leżaku. Jej twarz nadal była poznaczona bruzdami cierpienia. Życie, które w sobie nosiła, nie zdołało jeszcze wziąć góry nad poczuciem niedawnej straty.

— To będzie chłopiec — stwierdził Arthur Franklin. — Wiem, że to będzie chłopiec.

Angela uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Nie ma sensu robić sobie próżnych nadziei — powiedziała.

— Wierz mi, Angelo, ja to wiem. — Był pewny swego, absolutnie pewny. Chłopiec taki jak Charles, drugi Charles, roześmiany, niebieskooki, psotny, czuły.

Możliwe, że to będzie chłopiec, lecz to nie będzie Charles, myślała Angela.

— Cóż, mam nadzieję, że będziemy równie zadowoleni z dziewczynki — dociął Arthur bez większego przekonania.

— Arthurze, sam wiesz, że chcesz syna! Mężczyzna zawsze chce syna. Potrzebuje go. Córka to nie to samo.

— Trzeba przyznać Laurze, że to kochane stworzonko — powiedział Arthur, nagle poruszony niejasnym poczuciem winy.

— Wiem — przytaknęła gorliwie Angela. — Taka dobra i spokojna, i chętna do pomocy. Będziemy tęsknić za nią, kiedy pójdzie do szkoły. — Po chwili dodała: — Toteż robię

sobie nadzieję, że to będzie chłopiec, po części z jej powodu. Laura mogłaby być odrobinę zazdrosna o siostrzyczkę. Nie muszę dodawać, że niepotrzebnie.

— Oczywiście, że nie.

— Jednak dzieciom czasami to się zdarza, to całkiem naturalne; dlatego, jak sądzę, powinniśmy przygotować ją zawczasu.

I tak oto Angela Franklin zapytała córkę:

— Czy polubiłabyś małego braciszka? — I dodała, z pewną zwłoką: — Albo siostrzyczkę?

Laura spojrzała na nią zaskoczona. Słowa matki zdawały się pozbawione sensu. Niczego nie rozumiała.

— Widzisz, kochanie — powiedziała Angela łagodnie — spodziewam się dziecka... We wrześnie. Chyba przyznasz, że będziemy mieli powód do radości?

Lecz Laura, zamiast grzecznie odpowiedzieć na pytanie matki, ni stąd, ni zowąd spąsowiała i mrużąc coś nieskładnie, oddaliła się czym prędzej. Angela nie spodziewała się takiej reakcji dziecka.

— To dziwne — zwierzyła się zmartwiona mężowi. — Być może myliliśmy się? Może Laura nadal nie ma o niczym pojęcia... Istotnie, nigdy jej nic nie mówiłam, jeśli chodzi o te rzeczy.

Arthur Franklin stwierdził jednak, że zważywszy na astronomiczną liczbę rodzących się w domu kotów, trudno uwierzyć, by Laura kompletnie nie orientowała się w tak życiowych kwestiach.

— To prawda, lecz jeśli sądzi, że z ludźmi jest inaczej? Oby nie przeżyła jakiegoś szoku.

Laura przeżyła szok, choć wcale nie z powodu zjawisk biologicznych. Myśl, że jej matka mogłaby mieć jeszcze jedno dziecko, do tej pory nigdy nie zaświtała jej w głowie. Jak dotąd wszystko układało jej się w jeden nieskomplikowany wzór. Charles nie żył, a ona była jedynym dzieckiem swoich rodziców. Była, zgodnie z własnym powiedzeniem, wszystkim, co mieli na świecie.

A teraz... teraz miał być drugi Charles.

Laura nie miała tych wątpliwości, które w skrytości ducha nachodziły Arthura i Angelę, że niemowlę będzie chłopcem. Ogarnęła ją pustka. Przysiadła na krawędzi inspektu z ogórkami i skulona przesiedziała tam długi czas, starając się oswoić z myślą o katastrofie.

Wreszcie powzięła decyzję. Podniosła się, minęła podjazd, ulicę i weszła do domu pana Baldocka.

Pan Baldock, zgrzytając zębami i parszkając jadem, pisał dla czasopisma naukowego absolutnie zjadliwą recenzję, dotyczącą życiowego dorobku swojego kolegi historyka.

Zwrócił zagniewaną twarz ku drzwiom, bo oto pani Rouse, zapukawszy od niechcienia, otworzyła je i zaanonsowała:

— Przyszła do pana panienka Laura.

— Och! — powiedział pan Baldock, zawieszając pióro w powietrzu, nim na papier zdążył popłynąć kolejny potok przeraźliwych inwektyw. — A więc to ty.

Coś podobnego, pomyślał z niezadowoleniem. To by dopiero było, gdyby dziecko przybiegało tu w najdziwniejszych porach dnia. Czyżby na tym miała polegać ich przyjaźń? Do licha z dziećmi! Daj takiemu palec, a pochwyti całą rękę. A poza tym on, Baldock, nie lubi dzieci. Nigdy nie lubił.

Nie dojrzał w przyglądających mu się poważnych, zmartwionych oczach cienia zmieszania czy chęci przeprosin. Wręcz przeciwnie, spojrzenie Laury wyrażało głębokie przekonanie, iż prawo boskie jest po jej stronie. Nie bawiąc się w powitalne formułki, wypaliła wprost:

— Pomyślałam sobie, że powinnam przyjść i powiedzieć to panu. Będę miała braciszka.

— Och! — jęknął pan Baldock zaskoczony. — Cóż... — Grał na czas. Twarz Laury była blada i pozbawiona wyrazu. — To coś nowego, prawda? — przerwał. — Cieszysz się?

— Nie — wyznała Laura. — Nie wydaje mi się.

— Cóż, niemowlęta to wstrętne stworzenia — przystał współczująco pan Baldock. — Łyse, bezzębne, a do tego drą się wniebogłosy. Ich matki lubią je, to jasne, albo raczej muszą lubić, inaczej nigdy by te biedne małe istoty nie były odpowiednio zadbane i wcale by nie rosły. Ale może się okazać, że troje czy czworo takich stworzeń to całkiem niezła sprawa — dodał dla zachęty. — Prawie tak dobra jak kocięta czy szczenięta.

— Charles umarł. Czy sądzi pan, że to możliwe, by mój nowy braciszek też umarł?

Pan Baldock zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem i powiedział stanowczo:

— Nie powinnaś tak myśleć ani przez chwilę. A poza tym piorun nigdy nie uderza dwa razy.

— Kucharka też tak powiada. Czy to znaczy, że ta sama rzecz nigdy nie dzieje się dwukrotnie?

— Jakbyś zgadła.

— Charles... — Laura nie dokończyła myśli.

— Pan Baldock ponownie jej się przyjrzał.

— To wcale nie musi być braciszek — powiedział. — Równie dobrze możesz mieć siostrzyczkę.

— Mamusia przeczuwa, że to będzie braciszek.

— Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym. Twoja mamusia nie byłaby pierwszą kobietą, której tego rodzaju przeczucia się nie sprawdziły.

Twarz Laury nagle pojaśniała.

— Tak było z Jehoshaphatem. Z ostatnim kotkiem Dulcibelli. Ostatecznie okazał się kotką. Kucharka nazywa go teraz Josephine.

— No proszę. — Pan Baldock starał się dodać Laurze otuchy. — Nie lubię się zakładać, ale tym razem gotów jestem postawić jakiś pieniądz na dziewczynkę.

— Naprawdę? — spytała Laura z przejęciem. Jej nadzwyczaj wdzięczny i uroczy uśmiech wręcz wstrząsnął panem Baldockiem. — Dziękuję — powiedziała. — To ja już pójdę. — I dodała grzecznie: — Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam panu w pracy?

— Nie przejmuj się ani trochę — uspokoił ją pan Baldock. — Jeśli chodzi o ważne sprawy, zawsze chętnie cię widzę. Wiem, że nie wpadałabyś tutaj na zwykłe pogaduszki.

— Oczywiście, że nie, proszę pana — gorąco zapewniła Laura, po czym wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Rozmowa z panem Baldockiem znacznie podniosła ją na duchu. Pan Baldock jest bardzo mądrym człowiekiem, pomyślała sobie, i należy się spodziewać, że to on ma rację, a nie mamusia.

Siostrzyczka? Tak, temu wyzwaniu potrafiłaby stawić czoło. Siostra byłaby jedynie inną Laurą, Laurą pośledniejszego gatunku. Laurą bez zębów i bez włosów, bez nijakiego rozumu.

3

Kiedy Angela „wyłoniła się z dobrotliwych oparów narkozy, jej chabrowniebieskie oczy skwapliwie zadały pytanie, przed którego wypowiedzeniem wzbraniały się usta.

„Wszystko... w porządku... wszystko?” Pielęgniarka, zwyczajem pielęgniarek, odpowiedziała energicznie, bez zająknięcia:

— Ma pani śliczną córeczkę, pani Franklin. „Córeczkę... córeczkę...” Niebieskie oczy znów się zamknęły. Angelę ogarnęło uczucie rozczarowania. Była przecież tak pewna... tak pewna... A to tylko druga Laura...

Na powrót przeszył ją dawny ból. Charles, urodziwy, wiecznie roześmiany Charles. Jej chłopiec, jej syn...

Tymczasem na dole kucharka ogłosiła nowinę tonem pełnym animuszu:

— Panienko Lauro, ma panienska małą siostrzyczkę. I co panienska na to?

— Wiedziałam, że to może być siostra. Pan Baldock tak utrzymywał — odparła Laura spokojnie.

— Skąd taki stary kawaler jak on, mógłby coś wiedzieć?

— Pan Baldock jest bardzo mądrym mężczyzną — stwierdziła Laura.

Angela nie od razu odzyskała pełnię sił. Arthur Franklin martwił się o żonę. Dziecko miało miesiąc, kiedy zapytał ją z niejakim wahaniem:

— Czy to tak wiele dla ciebie znaczy, że urodziła się dziewczynka, a nie chłopiec?

— Nie, naturalnie, że nie. Naprawdę nie. Niepotrzebnie byłam tak pewna, to wszystko.

— Nawet gdyby to był chłopiec, nie byłby Charlesem. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

— Tak, oczywiście, nie byłby.

Do pokoju weszła pielęgniarka z niemowlęciem w ramionach.

— A więc jesteśmy — powiedziała. — Proszę, jaka śliczna dziewczynka. Pójdzie maleństwo do swojej mamusi-kotusi, prawda?

Angela sięgnęła leniwie po dziecko i popatrzyła z niechęcią na opuszczającą pokój pielęgniarkę.

— Co za idiotyzmy wygaduje ta kobieta — mruknęła gniewnie.

Arthur roześmiał się.

— Lauro, kochanie, podaj mi tamtą poduszkę — poprosiła.

Laura przyniosła poduszkę i przystanęła w pobliżu, przyglądając się, jak Angela układa niemowlę bardziej wygodnie. Miała przyjemne samopoczucie osoby dojrzałej i ważnej. Jej siostra to zaledwie małe, głupiutkie stworzenie. To ona jest tym dzieckiem, na którym matka może polegać.

Wieczór był chłodny, lecz w kominku migotał wesoło ogień, a niemowlę gaworzyło i gruchało radośnie.

Angela przypatrywała się ciemnoniebieskim oczom i maleńkim płatkom ust, które lada chwila mogły się uśmiechnąć. Nagle zdało jej się, że patrzy w oczy Charlesa, że ma przed sobą dawnego Charlesa z czasów jego niemowlęctwa. Już prawie zapomniała, jak wtedy wyglądał.

Jestestwem Angeli zawładnęła nieoczekiwanie porażająca miłość. Jej dziecko, jej ukochanie. Jak mogła być tak zimna i obojętna wobec nowo narodzonej, zachwycającej kruszyny? Jak mogła być tak ślepa? Wesole, cudowne dziecko, takie jak tamto, jak Charles.

— Mój cukiereczek — szepnęła. — Mój skarb, moje kochanie.

Pochyliła się nad dzieckiem z miłosnym oddaniem, niepomna obserwującej ją Laury. Nawet nie zauważyła, kiedy ta wymknęła się po cichutku z pokoju. Możliwe jednak, że targnął nią jakiś nieuchwytny niepokój, powiedziała bowiem do Arthura:

— Mary Wells nie zdąży przyjechać na chrzciny. Czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy zaproponowali Laurze, aby była zastępczą matką chrzestną? Sądzę, że to mogłoby ją ucieszyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1

— Cieszy cię perspektywa chrztu? — zapytał pan Baldock.

— Nie — odparła Laura.

— Pewnie w kościele będzie zimno — westchnął pan Baldock. — Przynajmniej chrzcielnica jest łacina — dodał po chwili. — Normańska, czarny marmur z Tournai.

Laury bynajmniej nie poruszyła ta informacja. Była zajęta formułowaniem pytania.

— Czy mogę pana o coś zapytać, panie Baldock?

— Oczywiście.

— Czy to źle, jeśli się ktoś modli o cudzą śmierć?

Pan Baldock spojrzał na nią z ukosa.

— W moim przekonaniu — stwierdził — jest to niewybaczalna ingerencja.

— Ingerencja?

— Cóż, Wszchemogący kieruje całym tym kramem, czyż nie jest tak? Dlaczego chcesz wkładać swoje palce w tryby tej maszynerii? Jaki masz w tym interes?

— Nie sądzą, by dla Boga mogło to wiek— znaczyć. Kiedy dziecko jest ochrzczone, idzie do nieba, prawda?

— A niby dokąd miałoby pójść? — zauważył pan Baldock.

— Bóg kocha dzieci. Tak mówi Biblia. Powinien się zatem cieszyć, kiedy zobaczy dziecko.

Pan Baldock przeszedł się po pokoju tam i z powrotem. Był poważnie wytrącony z równowagi, a nie chciał tego okazać.

— Posłuchaj, Lauro — powiedział w końcu. — Zdaje mi się, że masz w tym jakiś interes.

— Może, ale to moja sprawa.

— Nie, to nie tak. Nic poza tobą samą nie jest twoją własną sprawą. Módl się za samą siebie. Proś o niebieskie uszy, o diadem z brylantów lub o wygranie konkursu piękności, gdy dorośniesz. Najgorsze, co mogłoby ci się przytrafić, to odpowiedź na twoją modlitwę, która brzmiałaby „tak”.

Laura popatrzyła na niego, niczego nie pojmując.

— Takie jest moje zdanie — podsumował pan Baldock.

Laura podziękowała grzecznie i dodała, że musi wracać do domu.

Kiedy odeszła, pan Baldock potarł brodę, podrapał się po głowie, podłubał w nosie i w roztargnieniu napisał recenzję z książki swego śmiertelnego wroga, która była aż lepka od pochwał.

Laura wracała do domu głęboko zamyślona.

Kiedy mijiała mały rzymskokatolicki kościółek, zawahała się. Kobieta na przychodnie do kuchni była katoliczką i kiedyś, przypadkowo, Laura usłyszała strzępy jej rozmowy z nianią, rozmowy tak fascynującej, jak fascynuje wszystko, co niezwykle i dziwne, a także zakazane. Otóż niania, niepoprawna dewotka, miała bardzo zatwardziały pogląd na coś, co nazywała nierządnicą. Kto czy co było nierządnicą, Laura nie wiedziała, poza tym, że ten ktoś czy to coś miało mglisty związek z Babilonem.

Teraz Laurze przypomniała się wzmianka Molly o modłach w intencji nierządnicy i o zapaleniu jakiejś świecy. Po chwili wahania wzięła głęboki oddech, rozejrzała się ukradkiem na prawo i lewo, i wśliznęła do kruchty.

Kościółek był mały i dość mroczny i wcale nie pachniał tak jak kościół parafialny, do którego Laura chodziła w każdą niedzielę. Nie było w nim ani śladu nierządnicy, za to w drucianych oprawkach płonęły świece, ustawione przed gipsową figurą Matki Boskiej. Tuż obok płonących świec leżała paczka zapasowych i stała puszka na pieniądze.

Laura znów się zawahała. Jej teologiczne wyobrażenia były pogmatwane i ograniczone. Istniał Bóg, którego znała, Bóg, który powinien ją kochać z racji swojego bóstwa. Istniał także diabeł, kusiciel z rogami i ogonem. Co do nierządnicy, ta zdawała się zajmować pozycję między jednym a drugim. Natomiast Pani w Niebieskim Płaszczu spoglądała dobrotliwie, jak ktoś, kto jest w stanie wysłuchać ludzkich intencji w życzliwy sposób.

Laura westchnęła głęboko i wysuwała z kieszeni pół szylinga, swoje jeszcze nienaruszone kieszonkowe z ostatniego tygodnia.

Wpuściła je w szczelinę puszki i usłyszała, jak stuka o dno z lekkim brzękiem. Przepadło nieodwołalnie! Następnie wzięła świecę, zapaliła ją, włożyła w drucianą oprawkę i odezwała się cichym, uprzejmym tonem:

— To moja intencja. Proszę, zabierz dziecko do nieba. — Po chwili dodała jeszcze: — Tak prędko, jak potrafisz. Proszę.

Stała tam przez chwilę. Świece płonęły, Pani w Niebieskim Płaszczu nadal patrzyła dobrotliwie. Laura poczuła wewnętrzną pustkę. Marszcząc lekko brwi, opuściła kościół i poszła do domu.

Z daleka zobaczyła stojący na tarasie wózek dziecięcy. Zbliżyła się do niego i przystanęła tuż obok, przyglądając się śpiącemu niemowlęciu. Pokryta jasnym meszkiem główka poruszyła się, powieki uniosły, niebieskie oczy popatrzyły na Laurę rozkojarzonym spojrzeniem.

— Wkrótce pójdziesz do nieba — powiedziała Laura do siostry. — W niebie jest ładnie — dodała przymilnie. — Niebo jest całe w złocie i klejnotach. — Po minucie dorzuciła kolejną zachętę. — I są tam harfy. I mnóstwo aniołów z prawdziwymi skrzydłami z piór. Tam jest o wiele przyjemniej niż tutaj. — Potem przypomniało jej się coś jeszcze. — Zobaczysz Charlesa — obiecała dziecku. — Tylko pomyśl! Zobaczysz Charlesa.

Angela Franklin wyszła z salonu.

— Jak się masz, Lauro — rzekła — Rozmawiasz z maleństwem? — Pochyliła się nad wózkiem. — Jak się masz, moje kochanie? Zatem już się wyspaliśmy, tak?

Arthur Franklin, wychodząc za żoną na taras, powiedział:

— Dlaczego kobiety muszą mówić niemowlętom takie nonsensy? Co ty na to, Lauro? Nie sądzisz, że to dziwne?

— Nie sądzę, żeby to były nonsensy — odparła Laura. — Naprawcie? W takim razie co? — uśmiechnął się do niej zaczepnie.

— Powiedziałabym, że to miłość.

Arthur był trochę zaskoczony. Pomyślał, że Laura jest dziwnym dzieckiem. Nie wiadomo, co kryje się za tym kamiennym, nie przejawiającym żadnych uczuć spojrzeniem.

— Przydałby się kawałek siatki czy muślinu lub czegoś w tym rodzaju — powiedziała Angela. — Do narzucenia na wózek, kiedy stoi na zewnątrz. Tak bardzo się boję, że

któryś kot wskoczy do środka, położy się na buzi maleństwa i udusi je. Mamy tu za dużo kotów.

— Phi! — parsknął lekceważąco jej mąż — Babskie gadanie! Nie wierzę, by kot kiedykolwiek udusił niemowlę.

— Och, to się zdarza, Arthurze. Całkiem często czyta się o tym w gazetach.

— Nie wiadomo, czy to prawda.

— Tak czy inaczej, muszę się postarać o jakąś siatkę i muszę powiedzieć niani, aby od czasu do czasu wyjrzała przez okno i zobaczyła, czy z dzieckiem nic się nie dzieje. Mój Boże, że też nasza niania musiała pójść do umierającej siostry. Nie podoba mi się ta nowa, młoda.

— Dlaczego? Zdaje się, że to całkiem miła dziewczyna. Oddana dziecku, ma dobre referencje i tak dalej.

— Och tak, wiem. Niby masz rację. Ale jest coś takiego... W jej referencjach jest półtoraroczna luka.

— Wróciła do domu, aby pielęgnować matkę.

— One tak zawsze mówią! A to jest coś, czego nie można sprawdzić. Być może jest jakiś powód, którego nie chce nam wyjawić.

— Wpadła w tarapaty, chcesz powiedzieć? Angela rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, wskazując na Laurę.

— Uważaj, Arthurze. Nie, nie to chcę powiedzieć. Myślę...

— Co takiego myślisz, kochanie?

— Doprawdy, sama nie wiem — odpowiedziała powoli. — Po prostu czasami, kiedy z nią rozmawiam, czuję, że jest niespokojna, że nie chce, byśmy się czegoś dowiedzieli.

— Poszukiwana przez policję?

— Arthurze! To bardzo głupi żart.

Laura oddaliła się cicho. Była inteligentnym dzieckiem i rozumiała doskonale, że jej rodzice woleliby rozmawiać o niani nie krępowani jej obecnością. Ona nie interesowała się nową nianią, bladą, ciemnowłosą dziewczyną o łagodnym głosie, która wobec niej była uprzejma.

Laura była myślami przy Pani w Niebieskim Płaszczu.

— No chodźże, Josephine — powiedziała Laura ze złością.

Josephine, były Jehoshaphat, chociaż nie stawiała czynnego oporu, zachowywała się jak najbardziej biernie. Laura właśnie wyrwała ją brutalnie z błogiego snu pod ścianą cieplarni i teraz na pół ciągnęła, na pół niosła przez ogród warzywny, dookoła domu, aż na taras.

— Tam! — zawołała, upuszczając kotkę na ziemię i wskazując wózek dziecięcy stojący kilka stóp dalej na żwirze. Przeszła, nie śpiesząc się, przez trawnik. Odwróciła głowę dopiero wtedy, kiedy znalazła się pod dużą lipą.

Josephine, bijąc od czasu do czasu ogonem na wspomnienie niedawnej zniewagi, zaczęła myć swój brzuch, wysuwając do góry nieproporcjonalnie, jak się Laurze zdawało, długą zadnią nogę. Dopełniwszy tej części toalety, ziewnęła i rozejrzała się wokół. Potem bez większego przekonania zaczęła drapać się za uszami, jeszcze raz ziewnęła, aż wreszcie podniosła się i ruszyła statecznym krokiem, znikając za rogiem domu.

Laura ruszyła za nią, chwyciła kotkę jednym zdecydowanym ruchem i przytąszczyła z powrotem na poprzednie miejsce. Josephine spojrzała na Laurę i usiadła, bijąc ogonem o ziemię. Kiedy tylko jej gnębicielka wróciła pod lipę, natychmiast podniosła się, ziewnęła, przeciągnęła i odmaszerowała. Ale Laura była nieustępliwa. Przyniosła ją po raz trzeci, przymilając się przy tym:

— Tu jest słonecznie, Josephine. Tu jest naprawdę przyjemnie.

Kotce oczywiście były obojętne tego typu umizgi. Teraz była już naprawdę bardzo zła, bez opamiętania biła ogonem i płaszczyła gniewnie uszy.

— Dzień dobry, mała Lauro.

Laura drgnęła i odwróciła się. Za nią stał pan Baldock. Nie słyszała jego kroków na trawniku. Josephine, wykorzystując jej chwilową nieuwagę, ciała parę susów w stronę drzewa, wdrapała się na nie i, przyczaiwszy się na gałęzi, popatrzyła na oboje ze złośliwą satysfakcją.

— Oto przewaga kotów nad istotami ludzkimi — stwierdził pan Baldock. — Kiedy chcą uciec od ludzi, wdrapują się na drzewo. My w podobnej sytuacji możemy jedynie zaniknąć się w toalecie.

Laura wyglądała na lekko poruszoną. Toalety należały do kategorii rzeczy, o których niania (poprzednia niania) mawiała: „młode damy nie mówią o tym”.

— Ale stamtąd trzeba kiedyś wyjść — powiedział pan Baldock. — Choćby dlatego, że z toalety chcą skorzystać inni ludzie. Natomiast ten twój kot pozostanie na drzewie prawdopodobnie przez kilka godzin.

W tej samej chwili Josephine, zgodnie z kocią naturą, zareagowała w sposób trudny do przewidzenia, bo oto zeszła w pośpiechu na dół, podbiegła do nich i z głośnym mruzeniem zaczęła ocierać się o spodnie pana Baldocka.

Proszę, zdawała się mówić, oto dokładnie to, na co czekałam.

— Witaj, Baldy. — Angela pokazała się w drzwiach. — Czy złożyłeś uszanowanie najmłodszemu członkowi rodziny? O nieba, te wszędobylskie koty. Lauro, kochanie, zabierz stąd Josephine. Zanieś ją do kuchni. Nie mam jeszcze siatki. Arthur śmieje się ze mnie, lecz koty naprawdę skaczą do wózków i śpią na piersiach niemowląt, a czasem duszą je. Nie życzę sobie, żeby koty nabrały zwyczaju przechadzania się po tarasie.

Laura odeszła, dźwigając Josephine, a pan Baldock posłał za nią uważne spojrzenie.

Po lunchu Arthur Franklin wciągnął przyjaciela do swojego gabinetu.

— Mam tutaj pewien artykuł... — zaczął.

Pan Baldock, nie bawiąc się w grzeczności, przerwał mu bezceremonialnie, jak to było w jego zwyczaju.

— Chwileczkę. To ja mam ci coś do powiedzenia. Dlaczego nie wyślecie dziecka do szkoły?

— Laury? Tak, nosimy się z tym zamiarem. Po Bożym Narodzeniu, jak sądzę. Kiedy skończy jedenaście lat.

— Nie czekaj na to. Zrób to teraz.

— Jest środek semestru. I, poza tym, panna Weekes jest całkiem...

Pan Baldock natychmiast skorzystał z okazji, by powiedzieć, co myśli o panie Weekes.

— Laura nie potrzebuje pouczeń zasuszonej sawantki, nawet jeśli tej nie brakuje rozumu — powiedział. — Laurze potrzebne są rozrywki, inne dziewczęta; powiedzmy, inny rodzaj zmartwień. Inaczej, wbrew temu, co myślisz, może dojść do tragedii.

— Do jakiej znów tragedii?

— Parę dni temu kilku miłych, małych chłopców wyjęło swoją siostrzyczkę z wózka i wrzuciło do rzeki. Dziecko za bardzo obciążało mamusię obowiązkami, powiedzieli malcy. Przypuszczam, że szczerze w to wierzyli.

Arthur Franklin popatrzył na niego zdziwiony.

— Masz na myśli zazdrość, tak?

— Oczywiście.

— Mój drogi Baldy, Laura nie jest zazdrosnym dzieckiem. Nigdy nim nie była.

— Skąd wiesz? Zazdrość zżera człowieka od środka.

— Laura nigdy nie dawała po sobie niczego poznać. To bardzo słodkie, subtelne dziecko, lecz powiedziałbym, że jest pozbawiona jakichś głębszych uczuć.

— Powiedziałbyś! — prychnął pan Baldock. — Jeśli chcesz wiedzieć, ty i Angela nie macie najmniejszego pojęcia o własnym dziecku.

Arthur Franklin uśmiechnął się dobrodusznie. Był przyzwyczajony do sposobu bycia Baldy'ego.

— Nie będziemy spuszczać z niej oka, jeśli to cię martwi. Napomknę Angeli, aby była ostrożna. Powiem jej, żeby nie robiła zbyt wiele zamieszania wokół noworodka, a trochę bardziej zajęła się Laurą. To powinno okazać się skuteczne. — Dodał z nutą zaciekawienia: — Od zawsze zastanawiam się, co też takiego widzisz w Laurze. Ona...

— W niej tkwi zapowiedź bardzo niezwykłego i wyjątkowego ducha — powiedział pan Baldock. — Tak mi się przynajmniej zdaje.

— Cóż... porozmawiam z Anglą. Lecz ona zapewne to wyśmieje.

Anglą, ku zaskoczeniu męża, nie wyśmiała tego.

— Wiesz, jest coś w tym, co on mówi. Psycholodzy dziecięcy są zgodni co do tego, że zazdrość o nowe dziecko jest naturalna i prawie nieunikniona. Chociaż, doprawdy, nie zauważyłam ze strony Laury żadnych oznak tak skrajnych uczuć. Ona jest pogodnym dzieckiem, a przy tym nie sprawia wrażenia szalenie przywiązanej do mnie. Muszę postarać się dać Laurze odczuć, że zależy mi na niej.

I tak, mniej więcej tydzień później, kiedy Frankli— nowie wybierali się podczas weekendu odwiedzić pewnych starych przyjaciół, Anglą powiedziała do Laury:

— Będiesz uważała na dziecko, kiedy nas nie będzie, prawda Lauro? Przyjemnie mieć tę świadomość, że się zostawia wszystko pod twoim bacznym okiem. Widzisz, niania jest u nas od niedawna.

Słowa matki ucieszyły Laurę. Sprawily, że poczuła się odpowiedzialna i ważna. Jej mała, blada twarzyczka pojaśniała.

Niefortunnie cały efekt poszedł na marne prawie natychmiast, a to za sprawą rozmowy między nianią a Ethel, którą przypadkiem podsłuchiwała w pokoju dzieciennym.

— Rozkoszny bobasek, nieprawda? — powiedziała Ethel, z szorstką czułością poszturchując niemowlę palcem. — Nasze królewiatko. Że też panienka Laura wciąż jest

takim bezbarwnym stworzonkiem. Nic dziwnego, że tatuś i mamusia nigdy nie upodobili jej sobie tak jak panicza Charlesa, a teraz to maleństwo. Panienka Laura, nie powiem, milutkie dziecko, ale nic poza tym.

Tego wieczoru Laura uklęknęła przy swoim łóżku do modlitwy.

Pani w Niebieskim Płaszczu nie zajęła się jej intencjami, zatem Laura ruszyła po posiłki do kwatery głównej.

— Proszę, Panie Boże — modliła się — niech dziecko prędko umrze i pójdzie do nieba. Bardzo prędko.

Weszła do łóżka. Waliło jej serce; czuła się winna i niegodziwa. Zrobiła to, przed czym przestrzegał ją pan Baldock, a pan Baldock to bardzo mądry człowiek. Nie przejmowała się świecą zapaloną dla Pani w Niebieskim Płaszczu; pewnie dlatego, że od początku nie bardzo wierzyła, by z tego coś wynikło. I nie widziała nic złego w przyniesieniu Josephine na taras. Przecież nie włożyła kota do wózka. To, naturalnie, byłoby niegodziwe. Lecz gdyby tak Josephine sama, z własnej woli...?

Tej nocy, jednakże, przekroczyła Rubikon. Bóg jest wszechmogący...

Dygocząc lekko, zasnęła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

1

Angela i Arthur Franklinowie wsiedli do samochodu i odjechali do przyjaciół.

W pokoju dziecinnym nowa niania, Gwyneth Jones, kładła niemowlę do łóżka.

Niania była tego wieczoru niespokojna. Ostatnio miała jakieś przeczucia, a tego wieczoru... Za dużo sobie wyobrażam, powiedziała do siebie. Tak, to kwestia wyobraźni, nic więcej. Czyż lekarz nie uspokajał jej, że ataki mogą się już nigdy nie powtórzyć?

Miała je, będąc dzieckiem, a potem nie działo się nic aż do tamtego strasznego dnia...

Jej ciotka nazwała tamte dziecięce ataki drgawkami związanymi z ząbkowaniem. Jednak lekarz użył innej nazwy. Powiedział wyraźnie i bez ogródek, co to za choroba. Oświadczył całkiem stanowczo, że nie powinna zajmować się niemowlętami ani dziećmi. To mogłoby się okazać niebezpieczne.

Ale przecież wykosztowała się na naukę. To był jej zawód; znała się na swojej pracy, miała odpowiednie świadectwa, była dobrze opłacana, no i lubiła opiekować się dziećmi. Rok minął, a kłopoty się nie powtórzyły. Czysty nonsens, lekarz ją tylko postraszył.

Tak więc napisała do biura (do innego tym razem) i wkrótce znalazła miejsce. Była szczęśliwa, a niemowlę okazało się kochanym maleństwem.

Położyła je teraz do łóżeczka i zeszła na dół na kolację. W nocy obudziła się z uczuciem niepokoju, niemal przerażenia. Pomyślała, że zagrzeje sobie trochę mleka i że może to ją uspokoi. Zapaliła lampę spirytusową i przeniosła ją na stół pod oknem.

Nagle, nie podejrzewając wcześniej, że nadchodzi krytyczny moment, upadła jak kamień i leżała na podłodze, a jej ciało wiło się w konwulsyjnych drgawkach. Lampa spirytusowa spadła ze stołu, a jej płomień przebiegł przez dywan i dosięgnął perkalowych zasłon.

2

Laure coś nagle obudziło. Miała sen, zły sen, choć nie mogła sobie przypomnieć żadnych szczegółów. Ktoś ją gonił, tak... lecz teraz już wie, że jest we własnym łóżku, w domu, i że jest bezpieczna.

Sięgnęła do lampy stojącej przy łóżku, zapaliła ją i spojrzała na swój mały zegarek. Dwunasta godzina. Północ.

Usiadła w pościeli, niechętnie myśląc o zgaszeniu światła.

Usłyszała coś. Jakiś dziwny, trzeszczący odgłos... pewnie włamywacze, pomyślała, ponieważ tak jak większość dzieci zawsze obawiała się włamywaczy. Wyszła z łóżka, podeszła do drzwi, uchyliła je po cichutku i wyjrzała ostrożnie na korytarz. Wszystko tonęło w ciemnościach i ciszy.

Ale w powietrzu unosił się jakiś dziwny zapach, zapach dymu. Na wszelki wypadek pociągnęła nosem. Przeszła przez podest i otworzyła drzwi, które prowadziły do pomieszczeń dla służby. Nic.

Przeszła na drugą stronę podestu, gdzie inne drzwi odcinały krótki korytarz, prowadzący do pokoju dzieciennego i łazienki dla dzieci.

Natychmiast się cofnęła przerażona. W jej stronę sunął wielki kłęb dymu.

— Pali się! Dom się pali! — wrzasnęła i pobiegła do skrzydła przeznaczonego dla służby, wykrzykując dalej: — Pożar! Dom się pali!

Nigdy nie przypomniała sobie dokładnie, co było potem. Kucharka i Ethel — Ethel biegnąca schodami w dół do telefonu, kucharka otwierająca drzwi po drugiej stronie podestu i cofająca się przed dymem, kucharka uspokajająca ją: „Wszystko będzie dobrze”. Chaotycznie wypowiedane słowa: „Sprowadzą pompę... wydostaną je przez okno... nie martw się, skarbie”.

Ale Laura „wiedziała, że tak nie będzie.

Była wstrząśnięta tym, że jej modlitwa została wysłuchana. Bóg przystąpił do działania; przystąpił natychmiast i z nieopisanym okrucieństwem. To był jego sposób postępowania, jego straszny sposób na zabranie dziecka do nieba.

Kucharka ciągnęła Laurę na dół frontowymi schodami.

— Chodźmy, panienko Lauro, nie ma na co czekać, wszyscy musimy opuścić dom.

Ale niania i mała siostra Laury nie mogły wydostać się na zewnątrz. Pozostawały tam, w pokoju dziecięcym, jak w pułapce!

Kucharka z trudem schodziła ze schodów, ciągnąc Laurę za sobą. Lecz kiedy minęły frontowe drzwi i dołączyły do Ethel stojącej na trawniku, kucharka puściła rękę Laury, a ta odwróciła się i pobiegła z powrotem na piętro.

Jeszcze raz otworzyła tamte drzwi na podeście. Skądś, przez dym, usłyszała odległe, niespokojne kwilenie. I nagle coś w niej ożyło. W uniesieniu, z żarliwą gotowością do poświęcenia Laura odkryła w sobie to dziwne, nieobliczalne uczucie, jakim jest miłość. Mimo niebezpieczeństwa zachowała przytomność umysłu. Czytała albo ktoś jej mówił, że aby ratować ludzi podczas pożaru, należy zmoczyć ręcznik i zasłonić nim sobie usta. Wbiegła do pokoju, zanurzyła ręcznik kąpielowy w dzbanku, owinęła go wokół głowy i przekroczywszy podest, skoczyła w dym. Płomienie objęły już korytarz, z sufitu zaczynały spadać belki. Dorosły zastanowiłby się na pewno zarówno nad groźnym mu niebezpieczeństwem, jak i nad szansami na powodzenie, lecz Laura, z bezwiedną odwagą dziecka, parła uparcie do przodu. Ona musi dostać się do maleństwa, musi je ocalić. Jeśli tego nie zrobi, dziecko spłonie. Nawet się nie zorientowała, że potyka się o leżącą na podłodze, nieprzytomną Gwyneth. Dusząc się, tracąc oddech, torowała sobie przejście do łóżeczka. Na szczęście parawan ustawiony wokół niego częściowo osłaniał niemowlę od dymu.

Laura chwyciła dziecko, przycisnęła je do siebie i otuliła wilgotnym ręcznikiem. Zataczając się i z trudem chwytając w płuca powietrze, ruszyła ku drzwiom. Ale drogę, którą przysła, odcięły już płomienie. Nie straciła zimnej krwi i nadal zachowywała

zdolność myślenia. Drzwi do pomieszczenia, w którym jest zbiornik na wodę! Są tu gdzieś na pewno! Odnalazła je, precyzyjnie się przez nie do rozchybotanych schodów, które prowadziły na strych, do pomieszczenia ze zbiornikiem. Ona i Charles kiedyś wydostali się tędy na dach. Gdyby tak teraz mogła przeczołgać się po dachu...

Kiedy na miejsce pożaru przybył wóz strażacki, grupka przerażonych kobiet w bieliźnie nocnej ruszyła ku niemu z krzykiem:

— Niemowlę! W pokoju na piętrze jest niemowlę i niania!

Strażak gwizdnął i zacisnął usta. Szczyt domu był ogarnięty płomieniami.

— Przepadli — mruknął pod nosem. — Nie dostaniemy ich żywych! Wszyscy pozostali są na zewnątrz? — zapytał.

Kucharka, rozglądając się dookoła, zawołała: — Gdzie jest panienka Laura? Przecież zeszła na dół razem ze mną. Gdzie się też ona podziewa? To właśnie wtedy strażak krzyknął:

— Hej, Joe, ktoś jest na dachu, na drugim końcu. Przystawiaj drabinę!

Kilka chwil później delikatnie złożyli swój ciężar na trawniku: Laurę. Półprzytomna, osmalona, z poparzonymi rękoma, prawie nie do rozpoznania, trzymała mocno w ramionach żywe zawiniątko, które wrzeszcząc wniebogłosy, obwieszczało, że żyje i że jest niezadowolone.

3

— Gdyby nie Laura... — Angela zamilkła, starając się zapanować nad wzruszeniem. — Dowiedzieliśmy się wszystkiego o biednej niani — mówiła dalej. — Prawdopodobnie była epileptyczką. Jej lekarz ostrzegał ją, by nie najmowała się po raz drugi do dzieci, lecz go nie posłuchała. Strażacy uważają, że kiedy nastąpił atak, upuściła spirytusową lampę. Od początku czułam, że z nią jest coś nie w porządku. Że coś przede mną skrywa.

— Biedna dziewczyna — powiedział Franklin — zapłaciła za to najwyższą cenę.

Angela, z typową dla matczynej miłości bezwzględnością, odsunęła od siebie żale z powodu Gwyneth Jones.

— Gdyby nie Laura, spłonęłoby nasze dziecko.

— Czy ona doszła do siebie? — zapytał pan Baldock.

— O tak. Oczywiście, była zszokowana i poparzyła sobie ręce, lecz nie za bardzo. Lekarz mówi, że nic jej nie będzie.

— Brawo dla Laury! — zawołał pan Baldock.

— Widzisz? — powiedziała oburzona Angela. — A wmawiałeś Arthurowi, że Laura jest zazdrosna o tę bezbronną kruszynkę i że może jej wyrządzić jakąś krzywdę! Ach wy, uczeni!

— Dobrze już, dobrze! — rzekł pan Baldock. — Nieczęsto się mylę, ale chyba czasami wychodzi mi to na dobre.

— A zatem pójdź i popatrz na dzieci.

Pan Baldock zastosował się do zalecenia Angeli. Niemowlę leżało na dywaniku przed kominkiem w pokoju dzieciennym, wierzgając nóżkami i gaworząc do siebie. Obok siedziała Laura. Jej ręce były zabandażowane, a powiekom brakowało rzęs, co nadawało twarzy zabawny wygląd. Kręciła kolorowymi kóteczkami, aby przyciągnąć uwagę dziecka. Odwróciła głowę i popatrzyła na pana Baldocka, który odezwał się:

— Witaj, mała Lauro. — Jak się miewasz? Prawdziwa z ciebie bohaterka, jak słyszę. To naprawdę wspaniały wyczyn.

Laura obdarzyła go krótkim spojrzeniem i ponownie skupiła się na zabawie kótkami.

— Jak twoje ręce?

— Bolały mnie, nawet bardzo, ale lekarz posmarował je czymś i już jest lepiej.

— Zabawne z ciebie stworzenie — stwierdził pan Baldock, ciężko opadając na krzesło. — Jednego dnia pragniesz, by kot udusił twoją siostrzyczkę, nie usiłuj zaprzeczyć, i tak mnie nie zwiedzisz, a następnego czolgasz się po dachu, ryzykując własne życie, aby ją ocalić.

— Może pan mówić, co chce. Liczy się to, że ją ocaliłam. Na jej skórze nie ma zadraśnięcia, choćby najmniejszego. — Pochyliła się nad dzieckiem i powiedziała porywczo: — Nigdy nie pozwolę wyrządzić jej krzywdy, nigdy. Będę się nią opiekować przez całe życie.

Brwi pana Baldocka powoli podjechały do góry.

— A więc nastał czas miłości. Kochasz ją, prawda?

— O tak — padła żarliwa odpowiedź. — Kocham ją bardziej niż cokolwiek w świecie!

Pan Baldock zadrżał. Zupełnie tak, jakby otworzył się jakiś kokon, pomyślał. Spojrzał w jaśniejącą uczuciem twarzyczkę dziecka: miała w sobie taki ładunek emocji, że mimo groteskowego braku rzęs i brwi nagle stała się piękna.

— Rozumiem — powiedział. — Rozumiem... Zastanawiam się tylko, co będzie dalej...

Laura spojrzała na niego zdziwiona i trochę przestraszona.

— Czy to nie jest w porządku? — zapytała. — To, że ją kocham?

Pan Baldock popatrzył na nią zamyślony.

— Dla ciebie tak, Lauro — odparł. — O tak. Wszystko w porządku, dla ciebie... — Stukając palcami w brodę, popadł w abstrakcyjne rozważania.

Jako historyk koncentrował się zwykle i głównie na przeszłości, ale zdarzały się momenty, że usiłował przewidzieć przyszłość, a kiedy to mu się nie udawało, wpadał w głęboką irytację. To był jeden z takich właśnie momentów.

Popatrzył na Laurę i na gaworzącą Shirley i ściągnął gniewnie brwi. Co się z nimi stanie, pomyślał, za dziesięć lat, za dwadzieścia, za ćwierć wieku? I gdzie wówczas będę ja?

Z ostatnim pytaniem poradził sobie prędko. Pod darnią, westchnął. Pod darnią. I choć było to oczywiste, w głębi duszy nie wierzył, by tak się miało stać, nie wierzył bardziej niż każdy inny pozytywnie nastawiony do życia człowiek. Jak mrocznie i tajemniczo rysowała się przyszłość! Co może się zdarzyć w ciągu nadchodzących dwudziestu lat? Kolejna wojna? (Mało prawdopodobne!) Nowe choroby? Być może ludzie przywiążą sobie do ramion mechaniczne skrzydła i będą unosić się nad ulicami jak świętokradcze anioły! Podróże na Marsa? Pożywienie w postaci koszmarnych, małych pigułek, zastępujących befszytk z soczystym zielonym groszkiem? A pfe!

— O czym pan myśli? — zapyła Laura.

— O przyszłości.

— To znaczy o jutrze?

— Przyszłość wychodzi poza jutro. Przypuszczani, że potrafisz czytać, mała Lauro?

— Oczywiście — odparła oburzona Laura. — Przeczytałam prawie całego Doktora Dolittle, Kubusia Puchatka i...

— Oszczędź mi tych wstrętnych szczegółów — zachnął się pan Baldock. — Jak czytasz książkę? Zaczynasz od początku i brniesz aż do końca?

— Tak. A pan nie?

— Nie. Przeglądam najpierw początek, zastanawiam się, o czym to będzie, a potem czytam zakończenie, aby stwierdzić, dokąd pisarz doszedł i co usiłował udowodnić. A dopiero potem wracam i śledzę akcję, i przypatruję się, jak też sobie ze wszystkim poradził. To o wiele bardziej interesujące.

Laura przyglądała mu się z zaciekawieniem, lecz także z przyganą.

— Nie sądzę, by autor był z tego zadowolony — orzekła.

— Oczywiście, że nie.

— Myślę, że powinien pan czytać książkę zgodnie z jego zamysłem.

— Ach! — westchnął pan Baldock. — Zapominasz, że trzeba wysłuchać i drugiej strony, jak mówią ci przekłeci prawnicy. Zapominasz o czytelniku. A czytelnik ma swoje prawa. Autor pisze książkę tak, jak mu się żywnie podoba. Na swój sposób. Pomija interpunkcję i do woli fantazjuje. Czytelnik zatem czyta ją tak, jak chce czytać, a autorowi nic do tego.

— To coś takiego jak bitwa — powiedziała Laura.

— Lubię bitwy — przyznał się pan Baldock. — Prawda jest taka, że myśl o upływającym czasie nie daje nam spokoju. Jednakże porządek chronologiczny nie ma żadnego znaczenia. Biorąc pod uwagę wieczność, możemy poruszać się w czasie tak, jak chcemy. Lecz kto by zważał na wieczność...

Laura przestała słuchać pana Baldocka. Nie przejmowała się wiecznością. Przejmowała się Shirley. Panem Baldockiem, obserwującym jej oddane spojrzenie, raz jeszcze targnął bliżej nie określony lęk.

CZĘŚĆ DRUGA

SHIRLEY — 1946

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Shirley, ściskając pod pachą raketę do tenisa i sportowe pantofle, podążała przez trawnik żwawym krokiem. Była nieco zdyszana. Musze się pośpieszyć, pomyślała, inaczej nie zdążę na kolację. Doprawdy, ten ostatni set nie był ani potrzebny, ani udany. Pam patałaszy grę. Pam i Gordon to żadni przeciwnicy dla niej i, jak też on miał na imię... dla Henry'ego? Tak, dla Henry'ego. Ciekawe, Henry... a dalej?

Przypomniawszy sobie Henry'ego, Shirley bezwiednie zwolniła. Henry był kimś nowym w jej dotychczasowych doświadczeniach. Ani trochę nie przypominał tutejszych młodzieńców, traktowanych przez nią jednakowo bezstronnie. Robin, syn miejscowego pastora. Miły, zapatrzony w nią i zawsze wobec niej rycerski. Uczy się języków orientalnych w S.O.A.S.* i trochę pozuje na intelektualistę. Peter. Nieznośny żółtodziób. Edward Westbury, sporo starszy, pracuje w jakimś banku i ma głowę zaprzątniętą polityką. Wszyscy byli stąd, z Bellbury. Henry, którego przedstawiono jako czyjgoś bratanka, był z zewnątrz i wnosił w ich grono atmosferę pewnej swobody i niezależności.

Shirley wprost przepadała za tym ostatnim słowem. Określało podziwianą przez nią cechę charakteru.

Cóż, w Bellbury nie było miejsca na niezależność, wszyscy byli silnie związani ze wszystkimi. W Bellbury panowała nader ścisła rodzinna solidarność. W Bellbury wszyscy mieli korzenie. Wszyscy byli tutejsi.

Taki Henry, nie da się ukryć, nie był tutejszy. W najgorszym wypadku był bratankiem jakiejś tutejszej ciotki, choć też nic pewnego, czy ta ciotka była ciotką prawdziwą, czy żoną jego wuja. Śmieszne, powiedziała do siebie Shirley, bo przecież Henry na pewno ma ojca i matkę, a także dom, jak wszyscy inni. A może nie ma. Może jego rodzice umarli dość młodo w jakiejś zapadłej części świata. A może ma matkę, która spędza życie na Riwierze, i która miała dużo mężów. Jesteś śmieszna, zgromiła w końcu sama siebie. Przecież nic o nim nie wiesz. Nie znasz jego nazwiska. Nawet nie pamiętasz, kto go przyprowadził na kort.

Miała jednak wrażenie, że to, iż niczego nie wie, chyba wynika z charakteru Henry'ego. Henry, myślała dalej, mógłby się zawsze pojawiać w ten sam sposób — nie wiadomo skąd i kiedy — a potem znów znikać i nadal nikt by nie znał ani jego nazwiska, ani nazwiska jego ciotki. Ot, po prostu nadzwyczaj dobrze grający w tenisa, atrakcyjny młody człowiek o ujmującym uśmiechu. I to wszystko.

Choć jakie to było miłe, kiedy na pytanie Pam Crofton: „No więc jak będziemy rozstawieni?” — odpowiedział bez chwili wahania: „Ja i Shirley przeciwko wam dwojgu”, i zakręciwszy rakieta, zapytał: „Gramy ostro czy łagodnie?”

Henry, była całkiem pewna, zawsze robi dokładnie to, na co ma ochotę.

„Przyjechałeś na długo?” — zapytała ze zwykłej ciekawości, a on odparł niezdecydowanie: „Och, raczej nie”.

Nie zaproponował następnego spotkania.

Na twarzy Shirley pojawił się grymas zawodu. Szkoda...

Ponownie spojrzała na zegarek i przyspieszyła kroku. Jak nic się spóźni. Nie żeby Laura miała jej to za złe. Laura nigdy i niczego nie ma jej za złe. Laura jest aniołem...

Już miała przed sobą dom. Okryty patyną lat, zakrzepły w swej dawnej, georgiańskiej urodzie, sprawiał wrażenie lekko przechylonego, co, jak wiedziała, było skutkiem dawnego pożaru, który pochłonął jedno skrzydło, już nigdy potem nie odbudowane.

Zwolniła. Ostatnie promienie przedwieczornego słońca złociły wychodzące na zachód okna i kładły się blaskiem na spłowiałych, delikatnych perkalikowych firankach. Wokół

panowała kojąca cisza. Dziwne, lecz właśnie dzisiaj nie chciało jej się wracać do domu. Nie miała ochoty zamykać się w zwykle tak przyjaznych ścianach. W ścianach, w których oczekiwała na nią Laura, zawsze witająca ją serdecznie i spoglądająca opiekuńczymi oczami, a także Ethel, pośpiesznie nakrywająca do stołu. Dwie serdeczne istoty, dwa symbole miłości, opieki, prawdziwego domu... tego wszystkiego, co niewątpliwie stanowi największą wartość w życiu. I to wszystko jest jej, bez żadnego wysiłku czy starań z jej strony. Ona jest w samym środku tego... I to wszystko ją przytłacza...

Przytłacza? No proszę, skąd mi to przyszło do głowy, pomyślała Shirley. Czy to wszystko naprawdę mnie przytłacza? Co u licha miałyby to znaczyć?

Lecz to było dokładnie to, co czuła. Ucisk, wyraźny, ciągły ucisk. Jak kiedyś, podczas pieszej wycieczki, ciężar plecaka na plecach. Najpierw ledwo zauważalny, a potem coraz bardziej dający się we znaki, wrzynający się w ramiona, walący się na nią, przygniatający ku ziemi. Jak jakieś brzemie...

Dosyć, to straszne! Rzuciła się pędem ku otwartym drzwiom domu. Weszła do środka.

Hall tonął w półmroku. Z piętra dobiegł stłumiony, z lekka matowy głos Laury:

— To ty, Shirley?

— Tak, chyba się straszliwie spóźniłam, Lauro.

— Nie szkodzi. To tylko zapiekanka z makaronem, au gratin. Ethel trzyma ją w piekarniku. — Laura Franklin zbliżyła się do poręczy schodów: wątłe, kruche stworzenie, z prawie bezbarwną twarzą i przepastnymi, brązowymi oczami, osadzonymi poci niezwykle kątem, co w jakiś osobliwy sposób nadawało im tragiczny wyraz. Zeszła na dół, uśmiechając się do Shirley. — Dobrze się bawiłaś?

— Tak — odparła Shirley.

— Jak tenis?

— Nieźle.

— Nikogo ekscytującego? Samo Bellbury?

— Och, w większości Bellbury.

To zabawne, jak czasami nie ma się ochoty odpowiadać na czyjeś pytania. Nawet jeśli odpowiedzi byłyby całkiem niewinne. Oczywiście, Laura jest najzwyczajniej w świecie ciekawa, jak ona, Shirley, spędza czas.

Jeśli ludzie są zaślepieni na czyimś punkcie, zawsze chcą wszystko wiedzieć...

Czy rodzina Henry'ego też jest taka? Spróbowała sobie wyobrazić Henry'ego w domu, jednak nic z tego nie wyszło. To śmieszne, ale ten chłopak nie pasował do domu. A przecież musiał jakiś mieć!

Przed oczami pojawił jej się niewyraźny obraz. Henry wchodzi do pokoju, gdzie jego matka, platynowa blondynka, świeżo po powrocie z południa Francji, maluje starannie usta na dość zaskakujący kolor. „Cześć, mamó, widzę, że wróciłaś”. „Tak. Byłeś na kortach?” „Tak”. Żadnej ciekawości, żadnego zainteresowania. Oboje, Henry i jego matka, są całkowicie obojętni na to, co porabia to drugie.

— Co tam mówisz do siebie, Shirley? — zapytała z ciekawością Laura. — Poruszasz ustami, a twoje brwi jeżdżą w górę i w dół.

— Och, zwykła wyimaginowana rozmowa — zaśmiała się Shirley.

Laura uniosła delikatne brwi.

— Chyba spotkało cię coś przyjemnego.

— Rzeczywiście, to było nawet śmieszne.

W tym momencie wierna Ethel wyjrzała z drzwi jadalni i powiedziała:

— Kolacja na stole.

— Muszę się umyć! — zawołała Shirley, rzucając się ku schodom.

Po kolacji, kiedy siedziały w salonie, Laura powiedziała:

— Dostałam prospekt z St Katherine's Secretarial College. Zdaje mi się, że to najlepsza ze szkół tego typu. Co ty na to, Shirley?

Powabną twarzyczkę zespecził grymas niezadowolenia.

— Miałabym uczyć się stenografii, maszynopisania, a potem starać się o pracę?

— Dlaczego nie?

Shirley westchnęła i zaśmiała się.

— Dlatego, że jestem piekielnie leniwa. Najchętniej siedziałabym w domu i nic nie robiła. Lauro, kochanie, byłam w szkole wieki całe! Czyż nie zasługuję na krótką przerwę?

— Szkoda, że nie istnieje coś takiego, czego rzeczywiście chciałabyś się nauczyć albo co by cię pasjonowało — westchnęła Laura, marszcząc czoło.

— Jestem niedzisiejsza — zażartowała Shirley. — Chcę po prostu siedzieć w domu i marzyć o wysokim, przystojnym mężu i o dużych dochodach, zaspokajających potrzeby ciągle powiększającej się rodziny.

Laura nie odpowiedziała. Nadal miała zmarszczone czoło i zmartwioną minę.

— Gdybyś mimo wszystko poszła na kurs do St Katherine's, to pozostaje jeszcze problem znalezienia mieszkania w Londynie. Czy chciałabyś mieszkać, powiedzmy, u kuzynki Angeli...

— Tylko nie u kuzynki Angeli. Miej litość, Lauro. — Jeśli nie u niej, to może u kogoś innego. A poza tym są jeszcze domy akademickie, jak przypuszczam. Po jakimś czasie mogłabyś wynająć samodzielne mieszkanie z inną dziewczyną.

— Dlaczego nic mogłabym zamieszkać z tobą? Laura potrząsnęła głową.

— Ja zostałam tutaj.

— Zostałabyś tutaj?! To nie wybierasz się ze mną do Londynu? — Z głosu Shirley przebijało zarówno niedowierzanie, jak i oburzenie.

— Nie chcę wyrządzić ci krzywdy, skarbie — odparła z prostotą Laura.

— Krzywdy? O czym ty mówisz?

— Cóż, chodzi mi o zaborczość. — Rozumiem, matka, która pożera własne małe.

Ależ, Lauro, ty nigdy nie byłaś zaborcza.

— Mam nadzieję, że nie, jednak nigdy nic nie wiadomo — powiedziała Laura niezdecydowanie i do— dała, marszcząc czoło: — Nikt nie zna całej prawdy o sobie...

— Naprawdę nie uważam, Lauro, byś miała powody do niepokoju. Nie masz w sobie nic z dyktatora, a przynajmniej wobec mnie. Nie narzucasz mi swojej woli, nie tyranizujesz mnie, a także nie usiłujesz urządzić mi życia.

— Cóż, prawdę mówiąc, właśnie to robię: planuję ci kurs dla sekretarek w Londynie, podczas gdy ty tego wcale nie chcesz!

Siostry roześmiały się zgodnie.

2

Laura wyprostowała plecy i wyciągnęła ramiona.

— Cztery tuziny — powiedziała. Wiązała pachnący groszek. — Trendle powinien nam dobrze zapłacić. Długie łądźki, a na każdej cztery kwiatki. Uciał nam się w tym roku groszek, prawda, Horder?

Horder, pokrzywiony stary ponurak, ograniczył się do powściągliwej oceny.

— Niezły, a jakże — burknął.

Horder był bardzo pewny swojej pozycji. Kiedy kończyła się wojna, usługi takiego jak on, emerytowanego ogrodnika, doskonałego fachowca, były bezcenne. Ubiegali się o niego

wszyscy. Laura zatrzymywała go u siebie najwidoczniej siłą własnej osobowości, bo przecież pani Kindle, o której mężu krążyły pogłoski, jakoby zbił fortunę na zaopatrywaniu armii w broń, oferowała mu znacznie większe wynagrodzenie.

Horder wolał pracować dla panienki Franklin. A jakże, znał jej ojca i matkę. Zamożni ludzie. I zawsze na swoim miejscu. A samą panienkę Laurę pamiętał od maleńkości. Ale po prawdzie to nie dla sentymentów się jej trzymał. Mówiąc szczerze, to on, Horder, lubił pracować dla panienki Laury. Aż się kurzyło, tak popędzała do roboty. Kto by tam przy niej myślał o leniuchowaniu. Nawet jak panienki Laury nie było, to i tak miałeś, człowieku, swoją działkę do zrobienia. Za to potem cię pochwaliła. Czego jak czego, ale pochwał i podziwu nigdy nie żałowała. Nie skąpiła człowiekowi przekąski i nie wymawiała pitych przez cały dzień filiżanek mocnej, słodkiej, gorącej herbaty. A niech no ktoś powie, że w powojennych czasach nie trzeba się było liczyć z herbatą i z cukrem. Nie było takiego, co by się nie liczył. Zawsze człowiek ma za mało, jak mu państwo wydziela. Poza tym panience Laurze robota paliła się w rękach, i wstyd powiedzieć, taki groszek wiązała prędzej niż on sam. Głowę miała też nie od parady. Pełno w niej było pomysłów. A jakże, planowała to i tamto i nie bała się nowinek. Choćby takie klosze. On, Horder, szczerze mówiąc, nie najlepiej sobie o nich myślał, ale panienka Laura tak to umiała ładnie powiedzieć, że niby racja nie musi być po jej stronie... Jak nic trzeba było spuścić z tonu i spróbować. I co? I pomidory obrodziły tak, że prawie oczom nie wierzył...

— Piąta godzina — powiedziała Laura, spoglądając na zegarek. — Nieźle się uwinęliśmy.

Rozejrzała się wokół, po metalowych pojemnikach i konwiach wypełnionych towarem, który jutro miał być odwieziony do Milchester, do kwiaciarza i zieleniarza.

Horder zapatrzył się na warzywa.

— Nigdy bym nie pomyślał, że to zielsko będzie w cenie — zauważył z uznaniem.

— Mimo to jestem pewna, że robimy dobrze, przerzucając się na cięte kwiaty. Ludzie byli ich spragnieni przez całą wojnę, a warzywa dzisiaj uprawia każdy.

— Co tu mówić! — mruknął Horder — Dzisiaj wszystko idzie po nowemu. Za czasów panienki mamusi i tatusia, nikt by nie pomyślał o uprawie jakiegoś Zielska na targ. Widzę wciąż nasz dawny ogród, jak na obrazku. Zarządzał wszystkim pan Webster, najął się przed samym pożarem. Ale się paliło! Dobrze, że nie poszedł z dymem cały dom.

Laura kiwnęła głową i zdjęła gumowy roboczy fartuch. Słowa Hordera odbiły się echem w jej pamięci. Przed samym pożarem... Pożar był czymś w rodzaju punktu zwrotnego w

jej życiu. Przed nim, jak przypomiwała sobie niewyraźnie, była nieszczęśliwym, zazdrosnym dzieckiem, pragnącym uznania i miłości.

Ale tamtej nocy, kiedy wybuchł pożar, narodziła się nowa Laura. Ta, której życie wypełniło się po brzegi. Tamtej pamiętnej chwili, kiedy to tuląc w ramionach płaczącą niemowlę, przedzierała się przez dym i płomienie, znalazła cel i sens swojego istnienia: opiekowanie się Shirley.

Ocalała Shirley od śmierci i teraz Shirley należała do niej. W jednej chwili (tak wydawało jej się teraz) tamtych dwoje ważnych ludzi — matka i ojciec — zeszło na drugi plan. Dawne żarliwe pragnienie, by ją zauważali, by jej potrzebowali, zelżało i zbladło. Być może nie kochała ich tak bardzo, jak bardzo pragnęła, by to oni kochali ją. To, co nagle poczuła do małej istotki o imieniu Shirley, było miłością. Miłością zaspokajającą wszystkie pragnienia i ledwo uzmysławiane potrzeby. Przestała się liczyć Laura, zaczęła liczyć się Shirley...

Od tamtej nocy była gotowa zawsze opiekować się siostrą, pilnować, by nie przydarzyło jej się nic złego, strzec jej przed kocimi rozbójnikami, a nawet wstać w środku nocy i sprawdzić, czy znów się nie pali; postanowiła usługiwać Shirley na wszelkie sposoby, podnosić rzucane zabawki, bawić się z nią, kiedy podrośnie, pielęgnować, kiedy zachoruje...

Jedenastoletnie dziecko nie mogło, oczywiście, przewidzieć przyszłości: Franklinowie zrobili sobie krótkie wakacje i polecili razem do Le Touquet. Samolot rozbił się, kiedy wracali...

Wówczas Laura miała czternaście lat, a Shirley trzy. Nie miały żadnych bliskich; stara kuzynka Angela była najbliższą krewną. To Laura podejmowała decyzje dotyczące jej i siostry, to ona snuła plany na przyszłość i to ona walczyła aż do skutku o ich realizację. Pewien leciwy prawnik i pan Baldock byli wykonawcami jej woli i kuratorami. To Laura poddała myśl, że powinna opuścić szkołę, na stałe wrócić do domu i jako najwspanialsza z niań opiekować się Shirley, i to Laura wmówiła pannie Weekes, że powinna pozbyć się swojego domku i zamieszkać z nimi — po to, aby uczyć ją, Laurę, a także być nominalną gospodynią. Pomysł z panną Weekes był równie wspaniały, jak i praktyczny, co więcej, dał się łatwo wprowadzić w życie mimo nieśmiałych protestów pana Baldocka, który nadal nie lubił absolwentek Girton i który bał się, że w głowie panny Weekes mógłby się zrodzić pomysł, aby zrobić z Laury sawantkę.

Jednak Laura nie lękała się żadnych wpływów panny Weekes, ponieważ to nie panna Weekes miała nadawać bieg rzeczom. Panna Weekes była intelektualistką i zwariowaną matematyczką. Zarządzanie domem raczej nie interesowało jej. Plan Laury został zrealizowany. Panna Weekes pędziła wygodny żywot, ongiś jej niedostępny, Laura miała wspaniałą nauczycielkę i wcale jej nie przeszkadzało, że od czasu do czasu musiała zażegnawać wybuchające między panem Baldockiem a panną Weekes konflikty. Dobór nowych służących, jeśli zachodziła taka potrzeba, decyzja wysłania Shirley najpierw do przedszkola, potem do pobliskiego miasteczka, do prowadzonej przez zakonnice szkoły, te i temu podobne sprawy, chociaż pozornie sterowane przez pannę Weekes, faktycznie leżały w gestii Laury. Całe gospodarstwo domowe było niezłym przykładem ładu i harmonii. Kiedy ostatecznie Shirley Została wysłana do znakomitej szkoły z internatem, Laura miała dwadzieścia dwa lata.

Rok potem wybuchła wojna i wszystko potoczyło się odmiennym torem. Szkołę Shirley przeniesiono do Walii. Panna Weekes wyjechała do Londynu i dostała posadę w ministerstwie. Dom został zarekwirowany przez lotnictwo wojskowe na mieszkania dla oficerów; Laura przeniosła się do domku ogrodnika i najęła się do pracy w polu w pobliskim gospodarstwie, zabrawszy się jednocześnie do uprawiania warzyw we własnym ogrodzie, leżącym za wysokim murem.

Rok temu, kiedy wojna z Niemcami zakończyła się, dom został odzyskany i Laura musiała się sporo natrudzić, aby urządzić go tak, by nie był domem tylko z nazwy. Co do Shirley, ta wróciła ze szkoły na dobre, zdecydowanie odmawiając pójścia na uniwersytet i kontynuowania nauki.

Wyznała wprost, że nie ma głowy do nauki. Dyrektorka szkoły w liście do Laury potwierdzała tę deklarację w nieco odmiennych słowach: Doprawdy nie sądzę, by Shirley odniosła korzyść z wykształcenia uniwersyteckiego. To kochana dziewczyna, i bardzo pojętna, lecz stanowczo nie ma w sobie zadatków na przyszłą uczoną.

Tak więc Shirley wróciła do domu, a dawna podpora rodziny, Ethel, zatrudniona w fabryce, w której wraz z zakończeniem wojny zaprzestano produkcji na potrzeby wojska, nie podjęła starań o inną pracę, lecz powróciła do Laury, choć już nie w charakterze pokojówki, lecz jako jej totumfacka i przyjaciółka. Laura pozostała przy uprawie warzyw i kwiatów i stopniowo zaczęła zwiększać ich produkcję. Przy obecnych podatkach dochody nie były takie jak przedtem. Jeśli ona i Shirley miały utrzymać swój dom, ogród musiał zarobić na siebie i, co więcej, musiał przynosić dochód.

Taki oto wizerunek przeszłości przepłynął przed oczami Laury od chwili, kiedy zrzuciła z siebie roboczy fartuch, aż do momentu, kiedy weszła do domu, aby się umyć. Przez wszystkie tamte lata centralną postacią, wokół której obracały się kolejne dni jej życia, była Shirley.

Shirley: niemowlę, później maleństwo niepewnie stawiające pierwsze kroki, dziecko opowiadające Laurze nieporadnym, niezrozumiałym językiem, co robią jej lalki. Shirley trochę starsza, wracająca z przedszkola, wylewająca z siebie potoki bezładnych słów dla opisanego panny Duckworth, jakiegoś Tommy'ego i Mai, niegrzecznego zachowania Robina albo tego, co narysował Peter w swojej czytance, i tego, co na to powiedziała panna Duck.

Shirley jeszcze starsza wracała ze szkoły z internatem, dzieląc się chętnie kolejnymi informacjami: dziewczęta ją lubią, dziewczęta jej nienawidzą, anielskie usposobienie panny Geoffrey, nauczycielki angielskiego, zasługująca na pogardę małostkowość panny Andrews, nauczycielki matematyki, niegodziwe praktyki całego grona wobec nauczycielki francuskiego. Shirley zawsze rozmawiała z Laurą w sposób naturalny, bez cienia skrępowania. Ich wzajemne stosunki były na swój sposób dziwne, niezupełnie siostrzane, a to z powodu dzielącej je dużej różnicy wieku, z kolei nie na tyle dużej, by można było mówić o zjawisku zwanym konfliktem pokoleń, jak to się zdarza w wypadku rodziców i dzieci. Laura nigdy nie musiała zadawać pytań. Shirley wręcz kipiała chęcią wyrzucenia z siebie wszystkiego: „Och, Lauro, tak wiele mam ci do powiedzenia!” Laurze pozostawało jedynie słuchać, komentować, śmiać się, zgadzać albo nie zgadzać, pochwalać — stosownie do okoliczności.

Teraz, kiedy Shirley wróciła do domu na dobre, Laurze się wydawało, że wszystko jest dokładnie tak samo jak przedtem. Każdy dzień przynosił wymianę uwag na temat każdego podjętego przez nie działania. Shirley mówiła beztrąsko o Robinie Grande, o Edwardzie Westburym; z natury otwarta i wylewna, nie widziała najwidoczniej nic złego w komentowaniu drobnych, codziennych zdarzeń.

A jednak wczoraj, po powrocie z tenisa u Hargreavesów, na całkiem niewinne pytania Laury odpowiadała dziwnie, lakonicznie. Ciekawe, pomyślała Laura. Oczywiście, dziewczyna dorasta. Wolno jej mieć własne zdanie. Co więcej: wolno jej mieć własne pomysły na życie i własne życie. To całkiem naturalne. Nawet słuszne. Ona, Laura, powinna troszczyć się jedynie o to, by te pomysły i to życie były jak najlepsze. Laura westchnęła, jeszcze raz spojrzała na zegarek i postanowiła odwiedzić pana Baldocka.

ROZDZIAŁ DRUGI

1

Pan Baldock był w ogrodzie i był czymś niezmiernie zajęty. Ujrawszy nadchodzącą Laurę, chrząknął i nie bawiąc się w powitania, zapytał:

— Co powiesz o moich begoniach? Czyż nie są śliczne?

Prawdę powiedziawszy, pan Baldock był wyjątkowo nieudolnym ogrodnikiem, choć nijak mu to nie przeszkadzało w obnoszeniu się z nieumiarkowaną dumą z (jednakże czy mimo woli) osiągniętych rezultatów, a także w niedopuszczaniu do siebie myśli o jakichkolwiek ewentualnych niepowodzeniach. Jego przyjaciele zgodnie nie wspominali o tych ostatnich. Laura spojrzała posłusznie na z rzadka rozsiane begonie i stwierdziła, że są bardzo przyjemne.

— Przyjemne? Ależ one są wspaniałe! — Pan Baldock, który przez ostatnie osiemnaście lat zdążył się porządnie zestarzeć i jeszcze bardziej roztyć, stęknął, schylając się ponownie, aby wyrwać jakiś chwast.

— Wszystko przez to mokre lato — mruknął. — Żeby nie wiem jak się uwijał, z plewieniem grządek i tak nie nadażam. Brakuje mi słów, żeby wyrazić to, co myślę o powoju! Mów, co chcesz, a ja i tak wiem swoje: sam diabeł macza w tym palce! — Sapnął raz i drugi i zapytał, chrapliwie łapiąc oddech: — O co chodzi, mała Lauro? Jakieś kłopoty? No to opowiadaj.

— Odkąd skończyłam sześć lat, zawsze przychodzę do pana ze swoimi kłopotami.

— Byłaś dziwnym dzieciakiem. Mizerna buźka i ogromne oczy.

— Cóż, teraz chciałabym wiedzieć, czy dobrze postępuję.

— Nie przejmowałbym się, gdybym był tobą — wysapał pan Baldock. — Tfu! Zbieraj się stąd, ty wstrętne bydlę! — Obelga była skierowana poci adresem powoju. — Mówię ci, nie przejmowałbym się. Niektórzy ludzie wiedzą od urodzenia, co jest dobre, a co złe, a niektórzy do końca życia nie potrafią odróżnić jednego od drugiego. To jak ze słuchem muzycznym.

— Nie chodzi mi o to, czy coś jest dobre lub nie z moralnego punktu widzenia; chciałabym wiedzieć, czy postępuję mądrze.

— Ach, to całkiem inna sprawa. Na ogół ludzie robią znacznie więcej głupstw niż rzeczy mądrych. No więc...?

— Chodzi o Shirley.

— Jakżeby inaczej. Zawsze myślisz tylko o niej.

— Chciałabym, żeby wyjechała do Londynu i uczyła się w szkole dla sekretarek.

— Według mnie to całkiem głupi pomysł — stwierdził pan Baldock. — Shirley jest miłym dzieckiem, ale nigdy nie będzie dobrą sekretarką.

— Niemniej jednak ona musi coś robić.

— Dzisiaj wszyscy tak mówią.

— No i chciałabym, żeby miała kontakt z ludźmi.

— Do diabła z tą pokrzywą! — Pan Baldock potrząsnął poparzoną ręką. — Z ludźmi? Co rozumiesz przez słowo „ludzie”? Jakiś motłoch? Jakichś pracodawców? Inne dziewczęta? A może młodych mężczyzn?

— Chyba rzeczywiście chodzi mi o młodych mężczyzn.

Pan Baldock zachichotał.

— Ona i tutaj nieźle sobie poczyną. Ten maminsynek, Robin z plebanii, jak nic robi do niej słodkie oczy, mały Peter smali cholewki i nawet Edward Westbury zaczął smarować brylantyną to, co mu jeszcze zostało z włosów. Pachniał nią w kościele ostatniej niedzieli. Pomyślałem sobie: „Popatrz, popatrz, a ten to za kim się ogląda?” No a kiedy wyszliśmy na zewnątrz, nie miałem najmniejszych wątpliwości: kiedy z nią rozmawiał, wiercił się niespokojnie niby za potrzebą.

— Nie sądzę, by dbała o któregokolwiek z nich.

— A czy powinna? Daj jej trochę czasu. Jest bardzo młoda, Lauro. No więc, dlaczego tak naprawdę chcesz wysłać ją do Londynu? A może i ty się tam wybierasz?

— Och, nie. W tym cały problem. Pan Baldock wyprostował się.

— Ach, w tym, rozumiem. — Przyjrzał się jej z zaciekawieniem. — Do czego ty w istocie zmierzasz, Lauro?

Laura popatrzyła na żwirowaną ścieżkę.

— Jak pan przed chwilą powiedział, Shirley jest jedyną istotą, na której mi zależy. Ja... ja kocham ją tak bardzo, że aż obawiam się... tak, to prawda, obawiam się, że mogę ją skrzywdzić. Że mogę zbyt mocno przywiązać ją do siebie.

Głos pana Baldocka nieoczekiwanie złagodniał.

— Shirley jest dziesięć lat od ciebie młodsza i w pewnym sensie to bardziej twoja córka niż siostra.

— Cóż, jak pan wie, matkowałam jej. Pan Baldock kiwnął głową.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, będąc rozumną istotą, że miłość matczyna jest miłością zaborczą?

— Otóż to. A ja nie chcę, żeby tak było. Chcę, by Shirley była wolna... i... i... no, po prostu wolna.

— I to właśnie z tego powodu wyrzucasz ją z gniazda? Wysyłasz ją w świat, aby stanęła o własnych siłach?

— Tak. Jednak nie jestem pewna, czy postępuję mądrze.

Pan Baldock potarł nos w irytujący sposób.

— Wy, kobiety! — wysapał. — Kłopot z wami polega na tym, że przy pierwszej lepszej okazji robicie tak wiele zamieszania. Pokaż mi kogoś, kto by wiedział, co jest mądre, a co nie? Jeżeli mała Shirley pojedzie do Londynu, zamieszka gdzieś w Bloomsbury, pozna jakiegoś egipskiego studenta i będzie miała śniade dziecko, powiesz, że to wszystko twoja wina, choć będzie to całkowicie jej wina, jej, no i może tego Egipcjanina. Z kolei jeżeli ukończy szkołę i dostanie dobrą pracę jako sekretarka, a później wyjdzie za mąż za swojego szefa, wówczas powiesz, że postąpiłaś słusznie. Czcze gadanie! Nie możesz urządzić życia innym. Albo Shirley ma rozum, albo go nie ma. Czas pokaże. Jeśli uważasz, że pomysł z Londynem to dobry plan, zrealizuj go, lecz nie traktuj tej sprawy zbyt poważnie. Przecież w tym całe twoje nieszczęście, Lauro, że wszystko traktujesz poważnie. Twoje i wielu kobiet.

— A co pan powie o sobie?

— Ja poważnie traktuję jedynie powój — wyznał pan Baldock, spozierając z nieszczęśliwą miną na stertę zielska na ścieżce. — A także mszyce. No i mój żołądek, bo ten robi mi piekło, kiedy go lekceważę. Ale nawet mi się nie śni, bym przejmował się serio życiem innych ludzi. Choćby dlatego, że mam dla nich dużo szacunku.

— Pan nic nie rozumie. Nie zniósłabym, gdyby Shirley pogmatwała sobie życie i była nieszczęśliwa.

— Pleciesz bzdury — odparował szorstko pan Baldock. — Bo i jakie to ma znaczenie? Większość ludzi jest nieszczęśliwa, przynajmniej od czasu do czasu. Trzeba radzić sobie z nieszczęściem w tym życiu tak samo jak i ze wszystkim innym. No i trzeba odwagi, aby zmierzyć się ze światem, odwagi i pogody ducha. — Obrzucił Laurę ostrym spojrzeniem.

— A co z tobą, Lauro?

— Ze mną? — spytała zaskoczona.

— Tak. Przypuśćmy, że to ty jesteś nieszczęśliwa. Czy potrafiłabyś udźwignąć swoje nieszczęście? Laura uśmiechnęła się.

— Nigdy o tym nie myślałam.

— A to dlaczego? Powinnaś myśleć o sobie trochę więcej. Brak egoizmu u kobiety może się okazać równie fatalną sprawą jak nieumiejętność wyrabiania ciasta. Czego ty sama spodziewasz się po życiu? Masz dwadzieścia osiem lat, odpowiedni wiek do małżeństwa. Dlaczego nie zapolujesz na męża?

— Pan mówi od rzeczy, Baldy.

— Osty i bluszczuk kurdybanek! — łyknął pan Baldock. — Jesteś kobietą, prawda? Niebrzydką, absolutnie normalną kobietą. A może nie jesteś normalna? Jak reagujesz, kiedy mężczyźni próbują cię całować?

— Nie próbują zbyt często.

— A dlaczego nie, u diabła? Otóż dlatego, że ty nie ułatwiasz im tego. — Pogroził jej palcem. — Cały czas myślisz o czymś innym. Stoisz oto przede mną w jakimś niebrzydkim, a pewnie i dobrze skrojonym kostiumie i wyglądasz na jedną z tych skromnych dziewcząt, które wieki temu natychmiast zyskiwały aprobatę mojej matki. Dlaczego twoje usta i paznokcie nie są pomalowane na czerwono niczym skrzynka pocztowa?

Laura wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

— Zawsze pan mówił, że nienawidzi szminki i czerwonych paznokci.

— Nienawidzę? Oczywiście, że nienawidzę. Mam siedemdziesiąt dziewięć lat. Jednak one są symbolem, oznaczają, że chcesz się podobać, że jesteś gotowa podjąć miłosną grę. To rodzaj szaty godowej, oto, czym one są. A zatem popatrz, Lauro, nie każdemu możesz przypaść do gustu. W przeciwieństwie do innych kobiet nie obnosisz się ze swoim seksem, sprawiając wrażenie, jak gdybyś nie szukała dla niego ujścia. Istnieje tylko jeden i to specyficzny typ mężczyzny, który mógłby cię upolować bez żadnej zachęty z twojej strony. Taki mianowicie, który ma dość zdrowego rozsądku, aby wiedzieć, że jesteś kobietą stworzoną dla niego. Jednak szansę na to są nikłe. Ty sama musisz do tego przyłożyć rękę. Musisz pamiętać, że jesteś kobietą; musisz wejść w rolę kobiety, powiewać sztandarem swojej płci i rozejrzeć się za swoim mężczyzną.

— Kochany Baldy, cenię pańskie wykłady, ale od urodzenia jestem beznadziejnie nieładna.

— Zatem chcesz zostać siarą panną? Laura spłonęła się lekko.

— Nie, oczywiście, że nie. Po prostu nie sędzę, bym miała szansę na zamążpójście.

— Defetyzm! — ryknął pan Baldock.

— Ależ skąd. Ja tylko uważam, że to niemożliwe, by ktoś się we mnie zakochał — broniła się Laura.

— Mężczyzna może zakochać się w byle czym — rzucił gniewnie jej adwersarz. — W zajęczej wardze i w trądziku, i w wysuniętej szczęce, i w tępej głowie, i w kretynce! Pomyśl tylko o połowie kobiet, które znasz! Nie, mała Lauro, ty po prostu obawiasz się kłopotów. Chcesz kochać, a nie być kochaną; muszę przyznać, że coś w tym jest. Bo być kochaną, znaczy nieść ciężkie brzemię.

— Sądzi pan, że za bardzo kocham Shirley? Że jestem zaborcza?

— Nie — odparł z namysłem stary człowiek. — Wcale tak nie sędzę. Co więcej, to jest jedyne zarzut, którego ci nie stawiam.

— Zatem czy w ogóle można kogoś kochać za bardzo?

— Oczywiście, że tak! — pan Baldock ryknął raz jeszcze. — Można przesadzić ze wszystkim. Jeść za obficie, pić za dużo, kochać za bardzo... — Zacytował: — „Znam tysiąc sposobów na miłość, lecz złorzeczy każdemu mój luby”. Rozważ to sobie, mała Lauro.

2

Laura wracała do domu, uśmiechając się — do siebie. Jeszcze nie zdążyła dobrze zamknąć za sobą drzwi, kiedy z pomieszczeń dla służby wyszła Ethel i powiedziała poufałym szeptem:

— Czeka na panienkę całkiem młody dżentelmen, niejaki pan Glyn-Edwards. Posadziłam go w salonie. Chciał czekać, to niech czeka, co mi tam. Całkiem do rzeczy. Chciałam powiedzieć, że nie wygląda na próżniaka czy na niezdarę.

Laura uśmiechnęła się nieznacznie, choć zwykle ufała sądom Ethel.

Glyn-Edwards? Nie przypominała sobie takiego nazwiska. Być może to jeden z tych młodych oficerów, którzy byli tu zakwaterowani podczas wojny.

Przeszła przez hali i weszła do salonu. Młodzieniec, który na jej widok podniósł się skwapliwie, był kimś zupełnie obcym. W istocie tak właśnie miała myśleć o Henrym przez kilka najbliższych lat. Był obcy. Nigdy, ani przez chwilę, nie był nikim innym.

Uprzejmy, a nawet czarujący uśmiech, jaki rozjaśniał jego twarz, z wolna zaczynał przygasać. Gość wyglądał na zaskoczonego.

— Panna Franklin? — zapytał. — Ale pani nie jest... — zawahał się i w tej samej chwili znów się uśmiechnął, szeroko i poufale. — Spodziewam się, że ona jest pani siostrą.

— Ma pan na myśli Shirley?

— Tak — odparł z wyraźną ulgą. — Shirley. Spotkałem ją wczoraj na korcie. Nazywam się Henry Glyn-Edwards.

— Proszę usiąść — powiedziała Laura. — Shirley powinna wkrótce wrócić. Jest na plebanii. Została zaproszona na herbatę. Napije się pan sherry? A może woli pan dzin?

Henry wybrał sherry.

Usiedli i wdali się w rozmowę. Sposób bycia Henry'ego był taki, jaki być powinien, no i Henry miał tę domieszkę nieśmiałości, która zwykle rozbija rozmówcę. Maniery, choćby najbardziej czarujące, lecz przesiąknięte zbyt wielką pewnością siebie, mogą wzbudzać sprzeciw. A zatem Henry mówił swobodnie i wesoło, bez niepotrzebnego skrupowania, jednak z całym szacunkiem dla swej gospodyni, jak przystało na dobrze wychowanego młodego człowieka.

— Mieszka pan w Bellbury? — zapytała Laura.

— Och, nie. Mieszkam razem z moją ciotką, w Endsmoor.

Endsmoor leżało dobre sześćdziesiąt mil od Bellbury, za Milchester. Laura trochę się zdziwiła. Henry zdawał się rozumieć, że należą się pewne wyjaśnienia.

— Zabrałem wczoraj czyjaś raketę do tenisa — powiedział. — Jestem skończonym głupcem. Pomyślałem więc, że powinienem wrócić i wymienić ją na własną. Udało mi się wyszabrować trochę benzyny. — Popatrzył na Laurę z szelmowskim uśmiechem.

— Czy znalazł pan tę raketę?

— O tak. Miałem szczęście, prawda? Chyba zdecydowanie za mało dbam o moje rzeczy. We Francji, wie pani, zawsze gubiłem swoje rzeczy. — Zamrugnął rozbijająco. — No więc, kiedy już się tutaj znalazłem — dokończył poprzednią myśl — pomyślałem sobie, że mógłbym wpaść do Shirley.

Czy w tym, co mówił, drżała nuta chłopięcego zakłopotania? Jeśli tak, Henry nic by nie stracił w oczach Laury. W gruncie rzeczy wołała zakłopotanie niż przesadną pewność siebie. Ten młody mężczyzna był zdecydowanie sympatyczny. Roztaczał wokół siebie czar, i to całkiem niemały, czuła to. Więc skąd się brało jej wrogie nastawienie? Czyżby

znów ta zaborczość? Jeśli Shirley spotkała Henry'ego nie dalej jak wczoraj, to dlaczego o nim nie wspomniała?

Rozmawiali dalej, choć było już po siódmej. Henry najwyraźniej nie uznawał konwencjonalnych pór składania wizyt i nic nie wskazywało na to, by właśnie ta, ani spodziewana, ani zapowiedziana, miała zakończyć się przed powrotem Shirley. Swoją drogą Shirley już dawno powinna być w domu, pomyślała zniecierpliwiona Laura.

Mruknąwszy coś na swoje usprawiedliwienie, wyszła z salonu i udała się do gabinetu, gdzie znajdował się telefon. Zadzwoiła na plebanie.

Słuchawkę podniosła żona pastora.

— Shirley? Och tak, Lauro. Jest tutaj. Gra z Robinem w clock golfa*. Zaraz ją poproszę. Nastąpiła cisza, a potem odezwał się wesoły, ożywiony głos Shirley.

— Laura?

— Jest tu twój adorator — powiedziała oziębłe Laura.

— Adorator? A któż to taki?

— Nazywa się Glyn-Edwards. Wpadł na chwilę półtorej godziny temu i wciąż jeszcze siedzi. I sądzę, że będzie tak siedział aż do twojego powrotu. Już nie mamy o czym ze sobą rozmawiać!

— Glyn-Edwards? Nigdy o takim nie słyszałam. O nieba, chyba lepiej będzie, jak wrócę do domu. A tak mało brakuje, bym pobiła rekord Robina. Szkoda.

— Przypuszczam, że był wczoraj na tenisie.

— Chyba nie Henry?

Shirley zaczerpnęła głęboko powietrza. W jej głosie brzmiało niedowierzanie, a także jakiś nowy ton, który zaskoczył Laurę.

— Możliwe, że Henry — przytaknęła sucho. — Mieszka z jakąś ciotką gdzieś tam w...

Shirley przerwała jej w pół zdania.

— To na pewno on. Już biegnę.

Laura, lekko zszokowana, odłożyła słuchawkę i wolnym krokiem wróciła do salonu.

— Shirley zaraz tu będzie — oznajmiła, dodając przy tym, iż ma nadzieję, że Henry zostanie na kolacji.

Powoli zapadał zmierzch. Przedwieczorne światło rzucało łagodne refleksy na dwie, swobodnie ku sobie pochylone, młode twarze. Laura siedząca u szczytu stołu, beznamiętnie obserwowała tamtych dwoje, nieporadnie usiłując połapać się w narastającym w niej uczuciu niepokoju.

Czy chodziło o zwykłą, niczym nic uzasadnioną niechęć do tego młodego człowieka? Nie, raczej nie. Potrafiła obiektywnie przyznać, że jest czarujący, sympatyczny i że ma nienaganne maniery. Lecz cóż można powiedzieć o kimś, kogo widzi się pierwszy raz i o kim nic się nie wie? Czy pod nienagannymi manierami nie kryła się zbytnia niefrasobliwość? Czy nie był zbyt bezceremonialny jak na pierwszą wizytę? Czy nie był taki... taki niezależny? Tak, to oddawało istotę sprawy — nowo poznany Henry był niezależny.

W gruncie rzeczy cały niepokój Laury wiązał się z Shirley. Laura właśnie przeżywała gwałtowny wstrząs; taki, jaki przeżywa człowiek z chwilą odkrycia nieznanych obszarów duszy kogoś, o kim, według własnego przekonania, od dawna wie wszystko. Laura i Shirley nigdy przesadnie nie demonstrowały wobec siebie własnych uczuć, ale Shirley przez lata wyładowywała na Laurze wszelkie emocje: nienawiść i miłość, pragnienia i zawiedzione nadzieje. Jednak wczoraj, kiedy Laura zapytała obojętnie: „Nikogo ekscytującego? Samo Bellbury?”, usłyszała zaledwie zdawkową odpowiedź: „Och, w większości Bellbury”.

Dlaczego Shirley nie wspomniała o Henrym? Dlaczego zabrakło jej tchu, kiedy rzuciła do słuchawki: „Chyba nie Henry?”

Laura zaczęła przysłuchiwać się rozmowie toczącej się tuż obok.

Henry właśnie kończył jakieś zdanie...

— ...gdybyś chciała. Zabrałbym cię do Carswell.

— Och, to wspaniale. Nie bywam za często na wyścigach...

— Marldon to słaby koń, ale jeden z moich przyjaciół ma pewniaka. Moglibyśmy...

Laura pomyślała spokojnie i beznamiętnie, że tak wyglądają zaloty. Nie zapowiedziane pojawienie się Henry'ego, mętne usprawiedliwienia, wyszabrowana benzyna — cóż, po prostu Henry dał się oczarować Shirley. Zamiast powiedzieć sobie, że przecież nic nie musi z tego wyniknąć, wprost przeciwnie, pomyślała, że to, co może się wydarzyć, po prostu ją przygnębia.

Henry i Shirley pobiorą się. Była tego pewna. Wiedziała, że Henry zawsze pozostanie dla niej kimś obcym... Nigdy nie pozna go lepiej, niż zna w tej chwili.

A Shirley? Czy ona go pozna?

ROZDZIAŁ TRZECI

1

— Być może — powiedział Henry — powinnaś pojechać i poznać moją ciotkę. — Choć obawiam się — dodał — że byłoby to dla ciebie przeraźliwie nudne.

Stali oparci o barierkę padoku, patrząc obojętnie na jedynego konia, z numerem dziewiętnaście, oprowadzanego monotonicznie okrążenie po okrążeniu.

To były trzecie wyścigi, na które Shirley przyszła w towarzystwie Henry'ego. Podczas gdy inni młodzi ludzie mieli w głowie jedynie kino, Henry zdawał się myśleć głównie o sporcie. Na tym polegała ekscytująca różnica między nim a innymi młodzieńcami.

— Zapewniam cię, że nie — odparła Shirley uprzejmie.

— Nie mam pojęcia, jak byś to zniosła. Ona stawia horoskopy i ma dziwne poglądy na piramidy.

— Wiesz, że nawet nie znam jej nazwiska? — Mówisz serio? — spytał zaskoczony.

— Czy również Glyn-Edwards?

— Nie. Fairborough. Lady Muriel Fairborough. Nie jest taka zła. Mogę robić, co mi się podoba, a poza tym nie skąpi mi pieniędzy, kiedy jestem w potrzebie.

— Ten koń wygląda bardzo przygnębiająco — zauważyła Shirley, patrząc na dziewiętnastkę. Raz się odważyła powiedzieć coś od siebie.

— Żalotne bydlę — zgodził się Henry. — Jeden z najgorszych Tommy'ego Twisdona. Myślę, że zwali się na pierwszym płotku.

Na padok przyprowadzono dwa inne konie i do barierki podeszło więcej ludzi.

— Co my tu mamy? Trzecią gonitwę? — Henry rzucił okiem na program. — Przeszły już wszystkie konie? Numer osiemnasty też?

Shirley spojrzała za siebie, na rozkład gonitw.

— Tak.

— Przy dobrych wypłatach możemy na nim trochę zarobić.

— Sporo wiesz o koniach, nieprawda? Czy... czy miałeś w dzieciństwie konie?

— Wiedzę na ten temat zdobyłem, przebywając wśród bukmacherów.

— To zabawne, jak mało wiem o tobie. Masz ojca albo matkę czy też jesteś sierotą tak jak ja? — Shirley wreszcie wydusiła z siebie nurtujące ją od początku ich znajomości pytanie.

— Och! Moi rodzice zostali zabici podczas nalotu. Byli w „Cafe de Paris”.

— Ależ, Henry, to straszne!

— Nieprawda? — W jego głosie nie zabrzmiała najlżejsza nawet nuta stosownego w takiej chwili wzruszenia. Chyba sam to zauważył, dociął bowiem czym prędzej: — Wiesz, minęły już cztery lata. Byłem do nich bardzo przywiązany i tak dalej, ale nie da się żyć wspomnieniami, nie sądzisz?

— Chyba masz rację — odparła niezdecydowanie.

— Po co mnie przepytujesz?

— Miło jest wiedzieć o ludziach to i owo — powiedziała Shirley prawie przepraszająco.

— Czyżby? — Henry sprawiał wrażenie szczerze zdziwionego. — Tak czy inaczej — zdecydował — lepiej będzie, jak poznasz moją ciotkę. Tylko omów to najpierw z Laurą.

— Z Laurą?

— Cóż, Laura jest taka konwencjonalna... Może to ją przekona, że nie jestem najgorszy i tak dalej.

I bardzo krótko potem lady Muriel przysłała uprzejmy liścik, w którym zapraszała Shirley na lunch i obiecywała, że Henry przyjedzie po nią samochodem.

2

Ciotka Henry’ego jako żywo przypominała Białą Królową*. Miała na sobie zestaw jaskrawych, przeróżnych części garderoby, zrobionych pracowicie na drutach przez nią sarną, a jej głowę zdobił kok, z którego niedbale i we wszystkich kierunkach sterczały kosmyki siwych i brązowych włosów.

Była pełna animuszu, a jednocześnie jakaś tajemnicza.

— Jak to miło, że przyszaś, moja droga — powiedziała ciepło, potrząsając dłonią Shirley i upuszczając przy tym kłębek wełny. — Bądź tak miły, Henry, i podnieś go. A teraz powiedz mi, kiedy się urodziłaś?

Shirley podała datę osiemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku.

— Ach tak. Oczywiście Panna. O której godzinie?

— Niestety, nie wiem.

— Tss! Co za przykrość! Dowiedz się i czym prędzej daj mi znad. Godzina jest najważniejsza. Gdzie są moje druty numer osiem? Robię swetry dla marynarki wojennej. Oto pulower z golfem. — Rozpostarła robótkę.

— Rozmiar w sam raz na olbrzyma, ciociu Muriel — zażartował Henry.

— Przypuszczam, że w marynarce wojennej służą marynarze o różnej posturze — stwierdziła lady Muriel ze spokojem. — Tak samo w armii — dodała bez związku. — Pamiętam majora Tuga Murraya: dwieście dwadzieścia cztery funty. Kiedy grał w polo, jego ciężar były w stanie udźwignąć jedynie specjalne kucyki, a kiedy jechał, wszyscy pierzchali na boki, nie mieli wyboru. Skręcił sobie kark podczas polowania na lisa — dodała pogodnie.

Otworzyły się drzwi i trzęsący się ze starości kamerdyner oznajmił, że podano lunch.

Przeszli do jadalni. Jedzenie było niewyszukane, a srebra stołowe nie wyczyszczone.

— Biedny stary Melsham — powiedziała lady Muriel, kiedy służący wyszedł z pokoju. — Faktycznie nic już nie widzi, a przy tym trzęsie się tak, że kiedy trzyma coś w rękach, nigdy nie jestem pewna, czy bezpiecznie doniesie to do stołu. Wciąż mu powtarzam, by stawiał wszystko na kredensie, ale on robi po swojemu. I też po swojemu upiera się przy srebrach, chociaż, naturalnie, już nie potrafi ich doczyścić. No i kłóci się z każdą kolejną zbzikowaną pokojówką, bo normalnych dzisiaj nikt nie uświadczy, a przecież, jak sam powiada, nie miał kiedyś takich zwyczajów. Skąd mu się to wzięło? Z wojny i z czego tam jeszcze.

Wrócili do salonu. Lady Muriel zajęła gości ożywioną rozmową o prorocत्वach biblijnych i rozmiarach piramid; mówiła też o tym, jak dużo powinno się płacić na czarnym rynku za kupony ubraniowe, a także o tym, jakich kłopotów przysparzają rabaty z całorocznymi roślinami.

Następnie z nagłym pośpiechem zwinęła swoją robótkę i oznajmiła, że zamierza oprowadzić Shirley po ogrodzie; Henry'ego wysłała do szofera z jakąś nieistotną wiadomością.

— Henry to kochany chłopiec — powiedziała, kiedy znalazły się same. — Naturalnie bardzo samolubny i potwornie lekkomyślny. Ale czego można się spodziewać po kimś, kto był wychowywany tak jak on?

— Czy... czy Henry jest podobny do matki? — Shirley ostrożnie badała grunt.

— Och, skądże, broń Boże. Biedna Mildred była potwornie nudna i nad wyraz oszczędna. Oszczędzanie to była jej pasja. Nie rozumiem, dlaczego mój brat w ogóle się z nią ożenił, przecież nie była nawet urodziwa. Przypuszczam, że była szczęśliwa, kiedy wynieśli się na farmę w Kenii i znalazła się w środowisku poważnych farmerów. Na koniec wpadli w wesołe towarzystwo, ale gdzież jej było do zabawy...

— Ojciec Henry'ego... — Shirley zwiesiła głos.

— Biedny, kochany Nęci. Trzy razy zbankrutował, to prawda, ale był wspaniałym kompanem. Henry czasami mi go przypomina. To jest szczególny rodzaj alstromerii... nie wszędzie się przyjmuje. Ja mam do niej szczęśliwą rękę. — Ukręciła zwiędły kwiat i spojrzała spod oka na Shirley. — Jaka ty jesteś ładna, kochaniutka. Nawet nie próbuj zaprzeczać. No i bardzo młoda.

— Mam prawie dziewiętnaście lat.

— No tak... Rozumiem... Zajmujesz się czymś, tak jak te wszystkie bystre dzisiejsze panny?

— Ja nie jestem bystra, proszę pani — wyznała Shirley. — Moja siostra chce, żebym ukończyła szkołę dla sekretarek i w przyszłości pracowała w tym zawodzie.

— Och tak, to byłoby miłe. Sekretarka członka parlamentu, powiedzmy. Wszyscy mówią, że to interesujące zajęcie, choć nie wiem dlaczego. Jednak nie sądzę, żebyś cokolwiek robiła długo. I tak wyjdiesz za męża. — Westchnęła. — Jaki ten świat stał się dziwny. Właśnie otrzymałam list od jednej z moich starych przyjaciółek. Jej córka wyszła niedawno za dentystę. Tak, tak, dentystę. Za moich młodych lat dziewczęta nic wychodziły za dentystów. Za lekarzy tak, lecz nie za dentystów. Odwróciła głowę. — Ach, oto i Henry. — Chyba chcesz mnie pozbawić towarzystwa panny... panny...

— Franklin.

— Panny Franklin.

— Myślę, że skoczmy do Bury'ego Heatha.

— Czy wzięłaś benzynę od Harmana?

— Tylko parę galonów, ciociu Muriel.

— Cóż, żeby mi się to nie powtórzyło, słyszysz? Znajdź sobie własne źródło. Jak wiesz, miałam dość kłopotów ze zdobyciem benzyny.

— Już dobrze, cioteczko, przecież wiem, że tak naprawdę nie masz mi tego za złe.

— Niech ci będzie, ale tylko ten jeden raz. Żegnaj, moja droga. I podaj mi w liście dokładną godzinę, w której przyszedł na świat. Nie zapomnij. Będę mogła postawić ci

kompletny horoskop. Powinnaś nosić rzeczy w kolorze zielonym, skarbie. Wszyscy ludzie spoci znaku Panny powinni ubierać się na zielono.

— Jestem Wodnik — rzekł Henry. — Trzydziesty stycznia.

— Człowiek, na którym nie można polegać — podsumowała zwięźle ciotka Muriel. — Zapamiętaj to sobie, mój drogi. Nie można polegać na żadnym Wodniku.

— Mam nadzieję, że nie wynudziłaś się zbytnio — powiedział Henry, kiedy odjechali.

— W ogóle się nie wynudziłam. Uważam, że masz przemiłą ciotkę.

— Och, przemiła to za wiele. Ale też nie taka zła.

— Bardzo cię lubi.

— Och, skądże znowu, wcale się mną nie przejmuję. — Dorzucił: — Kończy mi się urlop. Wkrótce powinienem być zdemobilizowany.

— I co zamierzasz potem robić?

— Doprawdy nie mam pojęcia. Myślałem o studiowaniu prawa.

— Tak?

— Ale tam trzeba harować. Może zajmę się jakimś interesem.

— Jakim?

— To zależy, gdzie się ma kumpla, który może pomóc na starcie. Mam pewne znajomości w paru bankach. No i znam kilku potentatów finansowych, którzy łaskawie pozwoliliby mi zacząć od podstaw. — Dodał: — Wiesz, nic mam dużo pieniędzy. Trzy tysiące rocznie, aby być ścisłym. Własnych, ma się rozumieć. Większość moich krewnych jest skąpa jak diabli, nijak ich ugryźć. Dobra stara Muriel ratuje mnie co jakiś czas, ale dzisiaj jej samej nie najlepiej się powodzi. Mam matkę chrzestną, która jest hojna do pewnego stopnia, trzeba ją tylko odpowiednio podejść. Wiem, to nie brzmi najlepiej...

— Dlaczego mówisz mi to wszystko? — spytała Shirley, zaintrygowana tym tak wartko płynącym potokiem informacji.

Samochód zarzucił w jedną i w drugą stronę jak pijany. Henry poczerwieniał i wymamrotał niewyraźnie:

— Myślałem, że wiesz... Shirley, jesteś taka kochana... Chcę się z tobą ożenić... Musisz wyjść za mnie. Musisz... Musisz.

Laura patrzyła na Henry'ego z rozpaczą. To jest dokładnie tak, pomyślała, jak pokonywanie pochyłego stoku w mroźny dzień: osuwasz się na dół przy każdym kroku w górę.

— Shirley jest za młoda — powiedziała — o wiele za młoda.

— Ależ, Lauro, ona ma dziewiętnaście lat. Jedna z moich babek wyszła za męża, kiedy miała szesnaście, i urodziła bliźnięta, nim skończyła osiemnaście.

— To było dawno temu.

— W czasie wojny pobierało się mnóstwo młodych ludzi.

— A teraz tego żałują.

— Czy nie widzisz wszystkiego w zbyt ciemnych barwach? Shirley i ja nie będziemy żałować.

— Tego się z góry nie wie.

— Ja wiem. — Uśmiechnął się do niej szeroko. — Jestem przekonany. Kocham Shirley do szaleństwa, naprawdę. I zrobię wszystko, aby była szczęśliwa. — Popatrzył na nią pełen nadziei. Powtórzył: — Naprawdę ją kocham.

Podobnie jak poprzednio, ta osobliwa szczerłość młodego człowieka rozbroiła Laurę. Kochał Shirley, to było oczywiste.

— Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że nie jestem specjalnie dobrze sytuowany...

Wciąż ją rozbrajał. Raz za razem. Zresztą to nie finansowa strona całej sprawy martwiła Laurę. Nie miała aż takich ambicji, by Shirley zrobiła tak zwaną dobrą partię. Henry i Shirley nie mieliby na początek wielkich dochodów, lecz gdyby postępowali rozważnie, z pewnością by sobie poradzili. Henry miał taką samą perspektywę znalezienia dobrej pracy jak setki innych młodych ludzi zwolnionych z wojska. Cieszył się dobrą kondycją fizyczną, miał sporo zdrowego rozsądku i jeszcze więcej wdzięku. Tak, być może to było to. To ten jego wdzięk sprawiał, że Laura nie miała do niego zaufania. Nikt nie powinien mieć tyle wdzięku, ile miał go Henry.

Odezwała się ponownie, a w jej głosie zabrzmiała stanowczość.

— Nie, Henry. Na razie nie ma mowy o małżeństwie. Rok narzeczeństwa, co najmniej. To da wam możliwość upewnienia się, czy wasze uczucie jest trwałe.

— Doprawdy, droga Lauro, mówisz tak, jakbyś miała pięćdziesiąt lat. Co najmniej. Bardziej nadajesz się na surowego wiktoriańskiego ojca niż na siostrę.

— Cóż, istotnie, zastępuję Shirley ojca. Wracając do rzeczy: będziesz miał dość czasu, aby znaleźć prace i aby się urządzić.

— Jak przygnębiająco brzmi to, co mówisz. — Uśmiech Henry'ego nadal był czarujący.
— Ktoś by mógł pomyśleć, że w ogóle nie chcesz wydać Shirley za mąż.

Laura poczerwieniała.

— Nonsens.

Henry był rad, iż przypadkowo udało mu się ugodzić Laurę w czułe miejsce. Poszedł odszukać Shirley.

— Laura jest nieznośna — poskarżył się. — Dlaczego nie mielibyśmy się pobrać? Nie chcę czekać. Nienawidzę czekania. A ty? Zbyt długie czekanie nuży. Sprawia, że człowiek powoli obojętnieje. Oczywiście, moglibyśmy wyjechać i wziąć cichy ślub w pierwszym lepszym urzędzie stanu cywilnego. Co o tym sądzisz? To by nam zaoszczędziło sporo zachodu.

— Och nie, Henry, nie możemy tak postąpić.

— A niby dlaczego?! Jak mówię, oszczędzilibyśmy sobie zachodu i niepotrzebnego zamieszania.

— Nie jestem pełnoletnia. Czy nie powinniśmy mieć pozwolenia Laury?

— Tak, ty chyba powinnaś. Ona jest twoją prawną opiekunką, nieprawda? Czy też może ten stary Jak–mu–tam?

— Prawdę mówiąc, nie wiem. Baldy jest moim kuratorem.

— Kłopot w tym — westchnął Henry — że Laura mnie nie lubi.

— Nie, nie masz racji. Choć naturalnie jest zazdrosna. — Shirley sprawiała wrażenie zmartwionej. — A może rzeczywiście cię nie lubi?

— Nie lubi mnie od pierwszego dnia, od początku. A ja tak się wysilałem, żeby ją sobie zjednać — powiedział urażonym tonem.

— Wiem. Jesteś dla niej bardzo miły. Jednak trzeba przyznać, Henry, że sprawiliśmy jej sporą niespodziankę. Znamy się zaledwie... zaledwie ile? Trzy tygodnie. Sądzę, że rzeczywiście nic by się nie stało, gdybyśmy poczekali ten rok.

— Złotko, jeśli o mnie chodzi, nie chcę czekać. Chcę ożenić się z tobą teraz, choćby w następnym tygodniu, choćby jutro. A czy ty tego nie chcesz?

— Och, Henry, chcę, naprawdę chcę.

W swoim czasie pan Baldock został zaproszony na obiad w celu poznania Henry'ego. Po obiedzie Laura zapytała jednym tchem:

— No i co pan o nim myśli?

— Ależ zaczekaj, nie tak prędko. Jak mogę się wypowiedzieć na temat kogoś, z kim pierwszy raz siedzę przy jednym stole? Owszem, potrafi się znaleźć; nie traktuje mnie jak starego piernika. Odnosi się do mnie z szacunkiem.

— I to wszystko, co ma pan do powiedzenia? A czy jest wystarczająco dobry dla Shirley?

— W twoich oczach, moja droga Lauro, nikt nie będzie wystarczająco dobry dla Shirley.

— Cóż, może to i prawda... Ale czy panu się spodobał?

— Owszem. Powiedziałbym, że to sympatyczny dzieciak.

— Czy mam rozumieć, że pana zdaniem Shirley będzie miała z niego pożytek?

— Och, nie posunąłbym się aż tak daleko. Obawiałbym się, i to poważnie, że nie jest to najlepszy materiał na męża, i to z różnych powodów.

— No więc nie możemy pozwolić, by za niego wyszła.

— Nie możemy jej powstrzymać, jeśli zechce to zrobić. Co więcej, powiedziałbym, że z niego nie musi być dużo gorszy materiał na męża niż z kogoś innego, kogo Shirley może sobie w przyszłości wybrać. Nie chodzi też o to, że mógłby ją bić, wsypywać arszenik do kawy czy traktować grubiańsko wobec osób trzecich. O mężach, którzy są mili i mają dobre maniery, dałoby się to i owo powiedzieć.

— Wie pan, co o nim myślę? Myślę, że jest nieskończenie samolubny i... i bezwzględny. Pan Baldock uniósł brwi.

— Nic wdawałbym się w dalsze rozważania, gdybyś nie miała racji.

— A więc?

— Kłopot w tym, że on się Shirley podoba, Lauro. I to bardzo. Tak bardzo, że wprost za nim szaleje. Nasz młodzieniec, jak widać, nie jest w twoim guście i, prawdę mówiąc, nie jest też w moim, lecz nie ma wątpliwości, że podoba się Shirley.

— Gdybyż ona zdołała go przejrzeć! — zawołała Laura.

— Przejrzy, to jasne — oznajmił proroczo pan Baldock.

— Kiedy będzie za późno! Chcę, żeby już teraz zdała sobie sprawę, co to za typek!

— Śmiem sądzić, że to byłoby bez znaczenia. Wiesz, że ona z niego nie zrezygnuje.

— Gdyby tylko mogła gdzieś wyjechać... Popłynąć w jakiś długi rejs albo pojechać do Szwajcarii, lecz od wojny wszystko stało się takie trudne.

— Posłuchaj uważnie, Lauro, jeśli chcesz znać moje zdanie. Nic dobrego nigdy nie wyszło i nigdy nie wyjdzie z próby powstrzymania dwojga ludzi od zawarcia związku małżeńskiego. Zapewniam cię, próbowałbym, gdyby na przeszkodzie takiego związku leżały jakieś poważne powody: gdyby on miał żonę i pięcioro dzieci albo miewał ataki epilepsji, albo sprzeniewierzył cudze pieniądze i z tego powodu był poszukiwany. Chcesz, abym ci dokładnie powiedział, co się wydarzy, jeśli uda ci się rozdzielić ich i wysłać Shirley do Szwajcarii lub na jakąś wyspę?

— Co mianowicie?

Pan Baldock wymownie pogroził jej wskazującym palcem.

— Wróciłaby związana z innym młodym mężczyzną, mężczyzną dokładnie tego samego pokroju co Henry. Ludzie na ogół wiedzą, czego chcą. Shirley chce Henry'ego, a jeśli nie dostanie Henry'ego, będzie się rozglądała tu i tam, aż znajdzie kogoś w jego typie. Widziałem takie rzeczy nie raz i nie dwa. Mój najlepszy przyjaciel ożenił się z kobietą, która zgotowała mu piekło na ziemi, łajała go, tyranizowała, komenderowała nim, nie dawała chwili wytchnienia. Sąsiedzi zastanawiali się, dlaczego nie zdzieli jej siekierą. W końcu miał chłop trochę szczęścia. Dostała obustronnego zapalenia płuc i umarła! Pół roku później odżył, a nawet wyglądał jak nowo narodzony. Zainteresowało się nim kilka doprawdy miłych niewiast. Półtora roku później, co takiego zrobił? Ożenił się z jeszcze większą jędzą niż tamta. Natura ludzka zawsze kryje w sobie mnóstwo tajemnic. — Wziął głęboki oddech. — Tak więc, Lauro, przestań chodzić tam i z powrotem niczym jakaś tragiczna królowa. Mówiłem ci już nieraz, że bierzesz życie zbyt serio. Nie można żyć za kogoś; pozwól małej Shirley samej okopywać swoje grządki. I jeśli chcesz wiedzieć, ona potrafi zatroszczyć się o siebie o wiele lepiej, niżbyś ty to zrobiła. Ja martwię się o ciebie, Lauro. Zawsze się martwiłem...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Henry i w tej kwestii poddał się z takim samym wdziękiem, z jakim robił wszystko inne.

— W porządku, Lauro. Jeśli życzysz sobie roku narzeczeństwa... Jesteśmy w twoich rękach. Rozumiem, że miałaś za mało czasu, by przywyknąć do myśli o rozstaniu z Shirley.

— To nie to...

— Nie to? — Henry uniósł brwi i uśmiechnął się nieco ironicznie. — Shirley to twój najdroższy skarb, czyż nie mam racji?

Henry wyjechał, lecz dni po jego wyjeździe miały upłynąć w niezbyt miłej atmosferze. Laura, zgnębiona, wciąż rozpamiętywała słowa, jakimi ją pożegnał. Shirley była markotna i niespokojna. Choć otwarcie nie okazywała urazy, to jednak unosiła się wokół niej atmosfera nie spełnionych nadziei, a w jej oczach czaił się niemy wyrzut. Żyła, czekając na listy, lecz kiedy nadchodziły, nie dawały jej powodu do satysfakcji.

Henry nie miał talentów epistolarnych. Jego listy były krótkie i pisane naprędce.

Kochanie, jak leci? Tęsknię za tobą ogromnie. Bratem wczoraj udział w wyścigach na przełaj. Bez powodzenia. Co słyszeć u Smoka? Zawsze twój, Henry.

Czasami nie pisał cały tydzień.

Pewnego razu Shirley wybrała się do Londynu, lecz spotkanie z Henrym przyniosło jej jedynie rozczarowanie.

Henry nie przyjął zaproszenia od Laury, które mu przekazała.

— Nie chcę wpadać na weekend! Chcę się z tobą ożenić i mieć cię na zawsze. Nie dbam o tak zwane „chodzenie” pod cenzorskim okiem Laury. Nie zapominaj, Laura tylko czeka na okazję, by nastawić cię do mnie wrogo.

— Och, Henry, Laury nie stać byłoby na coś takiego. Nigdy. Ona ledwo cię wspomina.

— Bo spodziewa się, że zapomnisz o mnie. — Jakżeby mogła!

— Zazdrosna kocica.

— Och, Henry, Laura jest taka kochana. — Jak dla kogo.

Shirley wróciła do domu nieszczęśliwa i niespokojna.

Laure mimo woli zaczynała nużyć cała sytuacja.

— Dlaczego nie zaprosiłaś Henry’ego na weekend? — Zaprosiłam, ale nie chce przyjechać — odparła posępnie Shirley.

— Nie chce? Coś podobnego!

— Wcale tak nie uważam. On po prostu wie, że go nie lubisz.

— Naprawdę go lubię. — Laura starała się nadać głosowi przekonujące brzmienie.

— Och, Lauro, nie lubisz!

— Uważam, że Henry jest bardzo atrakcyjnym młodym człowiekiem.

— Ale nie chcesz, bym za niego wyszła.

— Shirley, to nieprawda. Chcę jedynie, żebyś była pewna tego, co robisz.

— Ależ jestem.

— To wszystko dlatego, że tak bardzo cię kocham— zawołała z rozpaczą Laura. — Shirley, ja chcę cię uchronić od popełnienia błędu.

— A zatem przestań mnie tak kochać. Nie chcę być wiecznie kochana! — Dodała: — Chcesz znać prawdę? Jesteś zazdrosna.

— Zazdrosna?

— Tak, o Henry'ego. Chcesz, żebym kochała ciebie i nikogo więcej.

— Shirley!

— Nigdy nie pozwolisz, bym kogoś poślubiła. Laura pobladła i odwróciła się raptownie, lecz zaledwie przeszła kilka sztywnych kroków, Shirley rzuciła się za nią z serdecznymi przeprosinami.

— Kochanie, wcale tak nie myślałam, wierz mi. Jestem podła. Ale to dlatego, że ciągle mi się wydaje, iż jesteś przeciwna Henry'emu.

— Cóż, uważam, że jest nieskończenie samolubny — Laura ponownie posłużyła się tym samym oskarżeniem, które padło z jej ust podczas rozmowy z panem Baldockiem. — On nie jest... nie jest... dobry. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że na swój sposób mógłby się okazać bezwzględny.

— Bezwzględny — Shirley powtórzyła to słowo bez cienia emocji. Zamyśliła się. Tak — powiedziała po chwili — w pewnym sensie masz rację, Lauro. Henry może się okazać bezwzględny. — Dodała: — Tylko że bezwzględność to jedna z tych cech jego charakteru, które mnie pociągają.

— Pomyśl sobie, Shirley, gdybyś tak była chora albo popadła w kłopoty, czy wówczas troszczyłby się o ciebie?

— Skąd wiesz, że mi zależy, by ktoś się o mnie troszczył? Mogę sama dbać o siebie. A o Henry'ego się nie martw. On mnie kocha.

Miłość, pomyślała Laura. Czymże jest miłość? Bezmyślną, zachłanną namiętnością młodego człowieka? Czy miłość Henry'ego do Shirley jest czymś więcej? A może to prawda, że jestem zazdrosna? Uwolniła się łagodnie z objęć Shirley i odeszła, głęboko wzburzona.

Czy to prawda, że nie chcę, by w ogóle wyszła za mąż? Nie tylko za Henry'ego? Nie zdaje mi się, ale też nikt inny jej się nie oświadczał. Bo czyż w takim wypadku nie czułabym tego samego, co czuję teraz? Czy nie mówiłabym sobie: och, nie on, tylko nie on?! Czy to prawda, że kocham ją zbyt mocno? Baldy ostrzegał mnie... Tak, kocham ją za mocno, i dlatego nie chcę, by wyszła za mąż... nie chcę, by odeszła... chcę ją mieć przy

sobie... nigdy nie pozwolić jej odejść. Co tak naprawdę mam przeciwko Henry'emu? Nic, po prostu nic. Ja go nie znam, nie zdążyłam go poznać. Jest taki sam jak za pierwszym razem, kiedy się tu zjawiał — jest obcy. Pewna jestem jedynie tego, że mnie nie lubi. Choć, być może, słusznie.

Następnego dnia Laura, przechodząc koło plebanii, spotkała Robina Granta. Młodzieniec wyjął z ust fajkę, przywitał się i przeszedł się z nią do wsi. Napomknąwszy, że właśnie wrócił z Londynu, zauważył od niechcienia:

— Widziałem wczoraj wieczorem Henry'ego. Jadł kolację z olśniewająco piękną blondynką. Bardzo jej nadskakiwał. — Parsknął śmiechem. — Nie musisz tego mówić Shirley.

Chociaż Laura właściwie pojęła wymowę tej informacji, będącej w swej istocie odwetem ze strony zadurzonego w Shirley chłopaka, to jednak targnął nią niepokój. Henry, pomyślała, nie jest kimś wiarygodnym. Prawdopodobnie to z tego powodu on i Shirley pokłócili się albo byli bliscy kłótni podczas ostatniego spotkania. Przypuśćmy, że Henry istotnie spotyka się z inną dziewczyną. Przypuśćmy, że zerwie zaręczyny...

Chyba tego właśnie pragnęłaś, odezwał się w niej drwiący głos. Nie chcesz, by wyszła za niego. Wyłącznie dlatego domagałaś się długiego okresu narzeczeństwa!

Nie, nie byłaby zadowolona, gdyby Henry zerwał z Shirley. Shirley go kocha. Shirley mogłaby cierpieć. Gdyby tylko ona, Laura, miała całkowitą pewność, że to dla dobra Shirley...

Nie, nie Shirley, twojego i tylko twojego, dopowiedział ten sam drwiący głos. Chcesz zatrzymać Shirley przy sobie...

Nie chciała zatrzymywać Shirley właśnie w taki sposób. Nie chciała złamać jej serca, nie chciała unieszczęśliwić ani skazać na tęsknotę za ukochanym. Kim ona jest, aby wyrokować o losie Shirley?

Wróciwszy do domu, usiadła i napisała list do Henry'ego:

Drogi Henry, przemyślałam wszystko raz jeszcze. Jeśli chcecie się pobrać, sądzę, że nie powinnam wam przeszkadzać...

Miesiąc później Shirley, w białej satynie i koronkach, została poprowadzona do ołtarza przez wbitego w o wiele za ciasny frak pana Baldocka i zaślubiona Henry'emu. Działo się to w parafialnym kościele w Bellbury, a ślubu udzielał pastor (zakatarzony). Rozpromieniona narzeczona wyściskała Laurę na pożegnanie, a Laura, nie mogąc się powstrzymać, powiedziała porywczo do Henry'ego:

— Bądź dla niej dobry, Henry. Będziesz dobry, prawda?

— Droga Lauro, a jak ci się zdaje? — odparł Henry ze zwykłą sobie niefrasobliwością.

ROZDZIAŁ PIĄTY

1

— Lauro, czy naprawdę uważasz, że jest ładne? — zapytała podekscytowana Shirley, mężatka z trzymiesięcznym stażem.

Laura, kończąc obchód mieszkania (dwa pokoje, kuchnia i łazienka), wyraziła entuzjastyczną pochwałę.

— Według mnie urządziłaś je ślicznie.

— Kiedy się wprowadzaliśmy, było tu okropnie. Ile brudu! Większość zrobiliśmy sami; oczywiście oprócz sufitów. To było takie zabawne. Podoba ci się czerwona łazienka? Miała być stale ciepła woda, ale w praktyce jest inaczej. Henry uważał, że przy czerwonym kolorze będzie się nam zdawało, że jest cieplejsza... niech ją wszyscy diabli!

— Zabawnie to brzmi w twoich ustach — zaśmiała się Laura.

— Mieliśmy ogromne szczęście z tym mieszkaniem, biorąc pod uwagę obecne problemy lokalowe. Odstąpili je nam jacyś znajomi Henry'ego. Jedyne kłopot polega na tym, że prawdopodobnie nie płacili żadnych rachunków. Zirytowany mleczarz i rozwścieczony właściciel sklepu spożywczego nachodzą nas do dzisiaj, jakbyśmy mieli z tym coś wspólnego. Oszukiwanie dostawców, zwłaszcza drobnych, uważam za niegodziwe, choć Henry mówi, że nie przywiązywałby do tego zbyt wielkiej wagi.

— Nieuczciwym klientom nie sprzedaje się niczego na kredyt.

— Płacę rachunki każdego tygodnia — pochwaliła się Shirley.

— Nie macie kłopotów finansowych, skarbie? Ostatnio nasz ogród przynosi spore zyski. Gdybyś chciała jakąś dodatkową setkę...

— Jesteś kochana, Lauro! Dziękuję, ale radzimy sobie. Naprawdę. Zatrzymaj ją na wypadek nagłej potrzeby. Powiedzmy, gdybym ciężko zachorowała.

— Kiedy patrzę na ciebie, takie przypuszczenie wydaje mi się absurdalne.

— Och, Lauro, jestem naprawdę szczęśliwa — zaśmiała się wesoło Shirley.

— Oby cię Bóg błogosławił!

— Hej, oto i Henry!

— Witaj, Lauro — rzucił beztrosko Henry, wchodząc do pokoju.

— Dzień dobry, Henry. Uważam, że mieszkanie jest śliczne.

— Jak ci poszło w nowej pracy? — zapytała Shirley.

— W nowej? — zdziwiła się Laura.

— Tak. Rzucił poprzednią. Była przeraźliwie nudna. Na okrągło przyklejanie znaczków i chodzenie na pocztę.

— Jestem skłonny startować od podstaw — oświadczył Henry — lecz nie od sutereny.

— No więc co z tą pracą? — niecierpliwiła się Shirley.

— Obiecująca, jak sądzę — odparł. — Naturalnie za wcześnie o tym mówić. — Uśmiechnął się czarująco i zapewnił, że są bardzo radzi gościowi.

Cała wizyta upłynęła w świetnym nastroju i Laura wróciła do Bellbury z uczuciem, że jej wcześniejsze obawy i niepewność były po prostu śmieszne.

2

— Och, Henry, jak możemy zaciągać tak ogromne długi? — powiedziała strapiona Shirley. Ona i Henry byli małżeństwem od ponad roku.

— Ależ wiem — zgodził się Henry. — Czuję dokładnie to samo co ty. Nie powinno się mieć żadnych długów. Niestety — dodał ze smutkiem — długi ma się zawsze.

— Ale jak je spłacimy?

— Och, trzeba będzie coś pokombinować — odparł wymijająco.

— Chyba dobrze będzie, jak przyjmę tę pracę w kwiaciarni.

— Na to wygląda. Choć nie chciałbym, żebyś odniosła wrażenie, że to ja cię tam wysyłam. Liczą się wyłącznie twoje chęci.

— W porządku, Henry, wobec tego oświadczam ci, że chcę. Zanudziłabym się na śmierć, nic nie robiąc całymi dniami. Z nudów wychodzi się z domu i kupuje różne niepotrzebne rzeczy.

— Muszę przyznać — powiedział Henry, biorąc do ręki plik rachunków — że to naci wyraz przygnębiające. Nienawidzę dnia Zwiastowania*. Ledwo człowiek poradzi sobie z Bożym Narodzeniem, z podatkiem dochodowym i całą resztą, a znów każą mu się rozliczać. — Popatrzył na leżący na wierzchu rachunek. — No proszę, ten człowiek, który zrobił nam biblioteczkę, dopomina się o swoją należność w bardzo nieuprzejmy sposób. Wyrzucam to do śmieci. — Zamienił słowo w czyn i przeszedł do następnej

korespondencji. — „Drogi panie, musimy z całym uszanowaniem zwrócić pańską uwagę...” — No tak, ci przynajmniej są grzeczni.

— A więc zapłacisz ten rachunek?

— Czy zapłacę? Może kiedyś. Niech poczeka na lepsze czasy.

Shirley zaśmiała się.

— Ach, Henry, uwielbiam cię. Ale wracając do rzeczy, co z nami będzie?

— Nie musimy martwić się tym dzisiaj. Chodźmy gdzieś na obiad, do dobrej drogiej restauracji.

— Czy to coś pomoże? — skrzywiła się Shirley.

— Na pewno nie poprawi naszej sytuacji finansowej — zauważył Henry. — Wprost przeciwnie! Ale podniesie nas na ciuchu.

3

Droga Lauro,

Czy mogłabyś przysłać nam sto funtów? Znaleźliśmy się w nieco kłopotliwej sytuacji. Od dwóch miesięcy jestem bez pracy, o czym prawdopodobnie wiesz (Laura nie wiedziała), ale lada moment gdzieś wyląduję, i to dobrze. Wymknęliśmy się z mieszkania windą dla służby, aby umknąć natrętnych wierzycieli, Prosząc cię o pieniądze, czuję się jak pasożyt, ale myślę, że będzie lepiej, jeśli ja odstawię brudną robotę, a nie Shirley. Jej pewnie by się to nie podobało.

Oddany ci Henry

4

— Nie wiedziałam, że pożyczyłeś pieniądze od Laury!

— Nie mówiłem ci o tym? — Henry leniwie odwrócił głowę.

— Nie, nie mówiłeś — stwierdziła ponuro Shirley. — W porządku, kochanie, przestań się złościć. Wiesz to od niej?

— Nie, nie od niej. Wystarczy zajrzeć do książeczki czekowej.

— Poczciwa stara Laura, wybuliła forse, nie robiąc przy tym niepotrzebnego zamieszania.

— Ale dlaczego zwróciłeś się właśnie do niej? Nie podoba mi się to. A poza tym należało spytać mnie o zdanie.

Henry skrzywił się.

— Nie pozwoliłabyś mi pisać do Laury w takiej sprawie.

— Masz absolutną rację. Nie pozwoliłabym.

— Posłuchaj, Shirley, znaleźliśmy się w dość trudnym położeniu. Wydusiłem pięćdziesiątkę ze starej Muriel. Próbowałem szczęścia u Grubej Berthy, mojej chrzestnej matki. Nie obyło się bez połajanki, ale ostatecznie odpali mi co najmniej setkę. Niestety, na mieszkanie u niej nie ma co liczyć. Myślę, że boi się domiaru. Potem próbowałem jeszcze w kilku innych miejscach, ale bez powodzenia. Zatem, jak widzisz, musiało się skończyć na Laurze.

Shirley przyglądała mu się w zadumie. Jestem jego żoną od dwóch lat, myślała. Teraz widzę, jaki on jest. Nie potrafi zagrzać miejsca w żadnej pracy, a pieniądze przeciekają mu przez palce...

Nadal uważała, że być żoną Henry'ego to wspaniała rzecz, choć powoli zaczynała zdawać sobie sprawę, że ich związek ma też ujemne strony. Henry jak dotąd cztery razy zmieniał pracę. Wyglądało na to, że znalezienie następnej posady nie nastęrcza mu większych problemów (miał szeroki krąg majątnych przyjaciół), natomiast utrzymanie jej zakrawa na nieprawdopodobieństwo. Albo rezygnował z pracy, albo był zwalniany. Z jednej strony był rozrzutny, z drugiej nie miał żadnych kłopotów z otrzymaniem kredytu; utrzymywał, że najlepszym sposobem na zażegnanie kryzysu finansowego jest pożyczanie kolejnych pieniędzy. Henry nie miał nic przeciwko pożyczaniu. Shirley, owszem, miała. Westchnęła.

— Czy myślisz, że kiedykolwiek uda mi się ciebie zmienić? — zapytała.

— Zmienić? Mnie? — zdziwił się Henry. — Niby dlaczego?

5

— Dzień dobry panu, Baldy.

— Ach, to ty, mała Shirley. — Pan Baldock, zatopiony w wielkim, sfatygowanym fotelu, zamrugął i dodał napastliwie: — Wcale nie spałem.

— Oczywiście, że nie — potaknęła taktownie Shirley.

— Dawno cię nie widziałem. Już myślałem, że zapomniałaś o Bellbury.

— Jakbym mogła!

— Przywiozłaś ze sobą męża?

— Nie tym razem.

— Rozumiem. — Pan Baldock przez chwilę przyglądał się jej badawczo. — Wyglądasz dość mizernie i blado, nie sądzisz?

— Stosowałam dietę.

— Wy, kobiety! — prychnął. — Jakieś kłopoty?

— Ależ skąd! — zaprotestowała gwałtownie.

— Już dobrze, dobrze. Nie denerwuj się. Zapytałem tak sobie. Teraz nikt mi nic nie mówi. No a poza tym głuchnę. Nie udaje mi się niczego podsłuchać, a przynajmniej nic tak dużo jak przedtem. Przez to życie robi się bardzo nudne.

— Biedny Baldy.

— Lekarz mówi, że nie powinienem zajmować się ogrodem, a zwłaszcza pochylać się naci grządkami. Krew może mi uderzyć do głowy, czy coś takiego. Cholerny głupiec, nic, tylko kracze! To wszystko, co potrafią taki jeden z drugim!

— Naprawdę mi przykro, Baldy.

— Tak więc rozumiesz — powiedział pan Baldock tęsknie — gdybyś chciała mi rzec choćby słówko... cóż, nie wyszłoby to dalej. Laura nie musi o niczym wiedzieć.

Zapadła cisza.

— Szczerze mówiąc — wyznała po chwili Shirley — istotnie zamierzałam zwierzyć się panu.

— Tak też myślałem — przytaknął ochoczo pan Baldock.

— Chciałabym się pana poradzić... w pewnej sprawie.

— Nic z tych rzeczy. Udzielanie rad to zbyt niebezpieczna zabawa.

Shirley nie słuchała. Ciągnęła swoje:

— Nie chcę rozmawiać o tym z Laurą. Ona, niestety, nie lubi Henry'ego. Ale pan go lubi, prawda?

— Owszem, lubię go — przyznał pan Baldock. — Z nim się niezwykle zabawnie rozmawia, a poza tym twój mąż potrafi w bardzo współczujący sposób słuchać starszego pana, wyładowującego w słowach cały nadmiar energii. Lubię w nim także to, że nigdy się nie martwi.

— Ma pan rację, Henry nigdy się nie martwi — uśmiechnęła się Shirley.

— To rzadka cecha charakteru w dzisiejszych czasach — zauważył filozoficznie pan Baldock. — Każdy, kogo spotykam, cierpi na niestrawność spowodowaną zmartwieniami. Tak, z Henry'ego jest całkiem przyjemny gość. Natomiast co do jego morale, lepiej, żeby wypowiedziała się Laura. — Dodał łagodniej: — No więc o co chodzi?

— Czy sądzi pan, Baldy, że głupio postępuję, wyzbywając się mego kapitału?

— A czy robisz to?

— Tak.

— Cóż, od kiedy wyszłaś za mąż, ty nim dysponujesz. Jest twój i możesz nim obracać, jak ci się żywnie podoba.

— Tak, wiem.

— Aż rym wyzbywaniem, czy to pomysł Henry'ego?

— Nie... Doprawdy nie. To wyłącznie moja sprawa. Nie chciałam, by Henry zbankrutował. Nie sądzę, co prawda, by on sam miał coś przeciwko temu, ale ja na jego miejscu miałabym. Czy sądzi pan, że wychodzę na idiotkę?

Pan Baldock zastanowił się.

— Z jednej strony tak, choć z drugiej wcale nie. — Proszę mi to wyjaśnić.

— Cóż, nie masz zbyt wiele pieniędzy. Być może w przyszłości będą ci bardzo potrzebne, a jeśli myślisz, że twój światowy mąż będzie w stanie ci je Zapewnić, to twoja sprawa. Myśl, co chcesz. Tylko że ja nazwę to głupotą.

— To jedna strona, a druga?

— Patrząc na to z drugiej strony, można powiedzieć, że wydając pieniądze, kupujesz własny spokój. To może się okazać nieglupie. — Obrzucił ją krótkim spojrzeniem. — Nadal go kochasz?

— Tak.

— Czy jest dobrym mężem?

Shirley przechadzała się z jednego końca pokoju w drugi. Pociągnęła bezwiednie palcem po stole, potem po oparciu krzesła i popatrzyła na zalegający na nich kurz. Pan Baldock obserwował ją. Wreszcie podjęła decyzję. Stając tyłem do kominka, odparła po prostu:

— Niespecjalnie.

— To znaczy?

— Ma romanse z innymi kobietami — powiedziała głosem pozbawionym emocji.

— Poważne?

— Nie wiem.

— A więc odeszłaś...

— Tak.

— W złości?

— W furii.

— Ale wracasz?

Shirley milczała przez chwilę. Potem powiedziała krótko:

— Tak, wracam.

— Cóż — westchnął pan Baldock. — To twoje życie.

Shirley podeszła do niego i pocałowała go w czubek głowy. Pan Baldock chrząknął.

— Dziękuję panu, Baldy — powiedziała.

— Nie ma za co, nic nie zrobiłem.

— Wiem. I dlatego jest pan cudowny!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kłopoty biorą się stąd, pomyślała Shirley, że jestem wiecznie zmęczona. Trzy lata temu nie miała pojęcia, co to zmęczenie, ale teraz? Teraz nękało ją każdego dnia. Niewątpliwie wywoływały je, przynajmniej po części, niedogodności życia w Londynie. Początkowo miała pracować tylko parę godzin dziennie, lecz skończyło się na tym, że pozostawała w kwaciarni na West Endzie przez cały dzień. Po wyjściu z pracy musiała jeszcze zrobić jakieś zakupy, musiała wracać do domu w godzinach szczytu, no i oczywiście musiała przyrządzić wieczorny posiłek. Tyle dobrego, że Henry cenił jej kuchnię!

Zamknęła oczy. Ktoś ciężko nadepnął na jej palce u nóg. Skrzywiła się. Kolejny raz pomyślała, że jest zmęczona.

Przebiegła wybiórczo pamięcią przez trzy i pół roku swojego małżeństwa...

Wczesne szczęście...

Rachunki...

Więcej rachunków...

Sonia Cleghorn...

Koniec z Sonią. Henry skruszony, czarujący, tkliwy...

Dalsze kłopoty finansowe...

Komornicy...

Pomoc ze strony ciotki Muriel...

Kosztowne i niepotrzebne, lecz jakże rozkoszne wakacje w Cannes...

Wielmożna pani Emlyn Blake...

Henry wyrywa się z sideł pani Emlyn Blake...

Henry pełen wdzięczności, skruszony, czarujący...

Kolejny kryzys finansowy...

Pomoc Grubej Berthy...

Panna Lonsdale...

Kłopoty finansowe...

Wciąż panna Lonsdale...

Laura...

Laura zażegnuje kryzys...

Laura odmawia...

Kłótnia z Laurą...

Zapalenie ślepej kiszki. Operacja. Rekonwalescencja...

Powrót do domu...

Końcowa faza romansu z panną Lonsdale...

Zatrzymała się myślą na tej ostatniej pozycji.

Właśnie odpoczywała w mieszkaniu. To było ich trzecie mieszkanie, zastawione po brzegi meblami kupionymi na raty (wpadli na pomysł rat po incydencie z komornikami).

Odezwał się dzwonek, a jej, przez czyste lenistwo, nie chciało się podejść do drzwi. „Ktokolwiek to był, niechby sobie odszedł. Ale ów „ktokolwiek” nie zamierzał odchodzić. Dzwonił i dzwonił. Shirley podniosła się rozeźlona. Podeszła do drzwi, otworzyła je jednym szarpnięciem i stanęła twarzą w twarz z Susan Lonsdale.

— Ach, to ty, Suc.

— Tak, to ja. Czy mogę wejść?

— Prawdę mówiąc, jestem trochę zmęczona. Właśnie wróciłam ze szpitala.

— Wiem. Henry mi mówił. Biedactwo, przyniosłam ci kwiaty.

Shirley wzięła pęk przywiedłych żonkili, bez słowa podziękowania.

— Wejdz, proszę — powiedziała. Wróciła na sofę i położyła się.

Susan Lonsdale usiadła na krześle.

— Nie chciałam cię martwić, kiedy byłeś w szpitalu — powiedziała — ale zdaje mi się, że powinniśmy wyjaśnić pewne sprawy.

— Jakie, mianowicie?

— No cóż, chodzi o Henry'ego.

— O Henry'ego?

— Kochanie, chyba nie chcesz bawić się w strusia? Chować głowy w piasek i tak dalej?

— Nie wiem, do czego zmierzasz.

— Czyżby? To może nie wiesz także, że Henry i ja nie jesteśmy sobie całkiem obojętni?

— Byłabym głucha i ślepa, gdybym o tym nie wiedziała — odparła oziębłe Shirley.

— No tak, oczywiście. Trzeba też przyznać Henry'emu, że jest bardzo czuły na twoim punkcie. Za nic nie chciałby cię wyprowadzić z równowagi. Lecz widzisz...

— Co widzę?

— Musimy pomówić o rozwodzie.

— Czym? Henry'ego ze mną?

— Tak.

— Zatem dlaczego sam mi o tym nie wspomniał?

— Och, Shirley, kochanie, przecież go znasz. On tak bardzo nienawidzi jasnego stawiania sprawy. No i żał mu ciebie.

— I mimo tego żalu chcecie się pobrać?

— Tak. Cieszę się niezmiernie, że nas rozumiesz.

— Przypuśćmy, że rozumiem — powiedziała wolno Shirley.

— A więc powiesz mu, że wszystko w porządku?

— Porozmawiam z nim, to jasne.

— To niezwykle miło z twojej strony. Czuję, że wreszcie...

— Och, idź już sobie — Shirley nie pozwoliła jej dokończyć. — Dopiero co wróciłam ze szpitala i jestem naprawdę zmęczona. Wyjdź, i to natychmiast. Słyszysz?

— No wiesz — Susan uniosła się gniewem — doprawdy uważam, że należałoby zachowywać się w sposób cywilizowany.

Wyszła z pokoju i z hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi frontowe.

Shirley nie poruszyła się. Po jakimś czasie po jej policzku spłynęła wolno jedna łza. Wytarła ją ze złością. Trzy i pół roku, pomyślała. Trzy i pół roku... i oto, do czego doszło. I nieoczekiwanie dla samej siebie zaczęła się śmiać. To zdanie zabrzmiało w jej uszach jak cytat ze złej sztuki.

Nie mogła sobie uświadomić, czy do chwili, kiedy usłyszała przekręcanie klucza w zamku, minęło pięć minut, czy dwie godziny.

Henry wrócił do domu jak zwykle wesoły i beztroski. W jego dłoni tkwił olbrzymi bukiet żółtych róż o długich łodyżkach.

— Dla ciebie, kochanie. Ładne?

— Urocze — odrzekła Shirley. — Mam już żonkile, choć trochę brzydsze. Pewnie tanie i nie pierwszej świeżości, jeśli chodzi o ścisłość.

— Kto ci je przysłał?

— Nie przysłano ich. Przyniesiono. Przyniosła je Susan Lonsdale.

— Co za tupet — oburzył się Henry.

Shirley popatrzyła na niego lekko zaskoczona.

— Po co ona tu przyszła? — zapytał.

— Czyżbyś nie wiedział?

— Chyba mogę zgadnąć. Z tą dziewczyną zdecydowanie nie da się dłużej wytrzymać.

— Przyszła mi oznajmić, że chcesz się rozwieść.

— Że ja chcę się rozwieść? Ja? Z tobą?

— Tak. A nie chcesz?

— Oczywiście, że nie — zaprzeczył z oburzeniem.

— I nie chcesz się ożenić z Susan?

— Ani mi się śni.

— Za to ona chce wyjść za ciebie.

— Tak, tego właśnie się obawiam. — Henry wyglądał na przybitego. — Wciąż do mnie wydzwania i zasypuje mnie listami. Nie wiem, co mam z nią zrobić.

— Czy powiedziałaś jej, że się pobierzecie?

— Och, wiesz, jak to jest, mówi się różne rzeczy — wyznał niepewnie. — Albo raczej to kobiety mówią to i owo, a człowiek przytakuje... Ot tak, dla świętego spokoju. — Uśmiechnął się z zażenowaniem. — Powiedz Shirley, nie chcesz się ze mną rozwieść, prawda?

— Możliwe, że tak — odparła Shirley. — Kochanie...

— Wiesz, Henry, jestem dość zmęczona.

— Bydlak ze mnie. Tak paskudnie się zachowałem. — Ukląkł obok niej. Twarz mu się rozpromieniła dobrze znanym, nęcącym uśmiechem. — Ale naprawdę cię kocham, Shirley. Wszystko inne się nie liczy. Te bzdurne historie nie mają żadnego znaczenia. Nie mam zamiaru ani ochoty żenić się z nikim innym. Czy pogodzisz się ze mną?

— Co tak naprawdę czujesz do Susan?

— Nie mogliśmy o niej zapomnieć? To koszmarna nudziara.

— Chciałabym coś z tego zrozumieć, Henry.

— No cóż... Mniej więcej przez dwa tygodnie szalałem za nią, odbierała mi sen. Potem moje szaleństwo nieco zelżało, lecz nadal byłem przekonany, że jest cudowna. Po pewnym czasie pomyślałem sobie, że zaczyna mnie odrobinę nudzić. No i wreszcie okazało się, że miałem rację, że rzeczywiście jest nudna. A w ostatnich dniach stała się wręcz nie do zniesienia.

— Biedna Susan.

— Nie martw się o nią. Susan jest pozbawiona jakichkolwiek zasad moralnych. To zwykła puszczałka.

— Czasami, Henry, odnoszę wrażenie, że jesteś bez serca.

— To nieprawda — odparł oburzony. — Po prostu nie rozumiem, dlaczego ludzie muszą się tak do człowieka przysysać. Zresztą to nawet bywa zabawne, byleby nie brać ich poważnie.

— Cholerny egoista!

— Czyżby? Może i tak. No więc jak? Wybaczysz mi?

— Nie zostawię cię. Ale tak czy inaczej, przejadło mi się to wszystko. Nie można ci ufać, jeśli chodzi o pieniądze, no i prawdopodobnie nadal będziesz miewał te głupie przygody z kobietami.

— Och, nie. Nie będę. Przysięgam, że nie.

— Henry, bądźże uczciwy.

— Postaram się, lecz spróbuj zrozumieć, Shirley, że żadna z tych przygód nie ma znaczenia. Liczysz się tylko ty.

— Zastanawiam się poważnie, czy to ja nie powinnam uciąć sobie jakiegoś romansu! — powiedziała Shirley.

Henry odparł, że nie miałby prawa jej za to potępić. Następnie podsunął myśl, że powinni pójść do jakiejś przyjemnej restauracji i zjeść razem obiad. Przez cały wieczór był najmiłszym kompanem pod słońcem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mona Adams wydawała cocktail party. Mona Adams uwielbiała wszystkie przyjęcia, a już najbardziej własne. Miała chrypkę, a to dlatego, że aby być słyszaną, musiała wciąż przekrzykiwać gości. To było bardzo udane cocktail party.

Właśnie wykrzykując rozpaczliwie słowo po słowie, pozdrawiała spóźnionego gościa.

— Richard! Jak to cudownie! Wracasz z Sahary, czy tym razem z pustyni Gobi?

— Ani z jednej, ani z drugiej. Wracam z Fezzan.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Ale jak to miło znów cię zobaczyć! Cóż za śliczna opalenizna. Zastanawiam się, z kim chciałbyś porozmawiać. Pam, Pam, pozwól, że ci przedstawię sir Richarda Wildinga. No wiesz, ten podróżnik: wielbłądy, gruba zwierzyna, pustynie, i te jego pasjonujące książki. Właśnie wrócił skądś w... w Tybecie. — Odwróciła się i krzyknęła z całych sił raz jeszcze, do innego przybysza: — Lidio! Nie miałam pojęcia, że wróciłeś z Paryża. Jak to cudownie!

Richard Wilding przysłuchiwał się Pam, która mówiła rozgorączkowana:

— Widziałam pana w telewizji nie dalej jak ubiegłego wieczoru! Jakie to emocjonujące, poznać kogoś takiego osobiście. Czy mógłby mi pan powiedzieć...

Nie zdążył powiedzieć niczego, ponieważ spadł na niego ciężki obowiązek zawarcia kolejnej znajomości. Wreszcie, z czwartą szklanką w ręku, udało mu się dotrzeć do sofy, gdzie siedziała najśliczniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział.

Ktoś nieoczekiwanie przyszedł mu w sukurs, mówiąc:

— Shirley, musisz poznać Richarda Wildinga. Richard skorzystał z okazji i czym prędzej dosiadł się do pięknej nieznajomej.

— Zdążyłem już zapomnieć, jak wyczerpujące są takie imprezy! — powiedział. — Czy nie wymknęłaby się pani ze mną gdzieś, gdzie byłoby trochę ciszej?

— Z przyjemnością — odparła Shirley. — To miejsce z każdą minutą coraz bardziej przypomina menażerię.

Wyszli w chłodne powietrze wieczoru z podniecającą świadomością ucieczki. Wilding przywołał taksówkę.

— Trochę za późno na drinka — powiedział, spoglądając na zegarek — a poza tym i tak wypiliśmy za dużo. Myślę, że wskazany byłby obiad. — Podał taksówkarzowi adres małej, lecz drogiej restauracji w pobliżu Jermyn Street.

Zamówił rozmaite dania i uśmiechnął się naci stołem do swego gościa.

— To najmiłsza rzecz, jaka mi się przytrafiła, od kiedy wróciłem z pustyni. Zapomniałem, jak przerażające są londyńskie przyjęcia. Dlaczego ludzie na nie nie chodzą? Dlaczego ja na nie nie chodzę? Dlaczego pani?

— Instynkt stadny, jak przypuszczam — odparła lekceważąco Shirley.

Przecucie przygody sprawiło, że oczy jej rozbłyły. Popatrzyła na siedzącego po przeciwnej stronie stołu opalonego, przystojnego mężczyznę. Gratulowała sobie w ciuchu, że została porwana przez pierwszą osobistość przyjęcia.

— Wiem o panu wszystko — wyznała. — No i czytałam pańskie książki!

— A ja nie wiem o pani absolutnie nic, wyjąwszy, że pani ma na imię Shirley. Shirley, a dalej?

— Glyn-Edwards.

— I że jest pani mężatką. — Wskazał wzrokiem jej obrączkę.

— Tak. A poza tym mieszkam w Londynie i pracuję w kwiaciarni.

— Lubi pani mieszkać w Londynie, pracować w kwiaciarni i chodzić na przyjęcia?

— Nie bardzo.

— Co chciałaby pani robić albo kim być?

— Niech pomyślę. — Przymknęła oczy i powiedziała rozmarzona: — Chciałabym mieszkać na jakiejś wyspie, i to z dala od reszty świata. Chciałabym mieszkać w białym domu z zielonymi okiennicami i jak dzień długi nic nie robić. Na wyspie byłyby owoce i wielkie łany kwiatów... przenikające się barwy i zapachy... i księżycowe noce... i purpurowe o zachodzie słońca morze... — Westchnęła, otworzyła oczy i dodała: — Dlaczego w marzeniach zawsze wybiera się wyspy? Nie sądzę, by prawdziwa wyspa była choćby ładna.

— Jakie to dziwne, że właśnie tak pani mówi — powiedział przyciszonym głosem Richard Wilding.

— Dlaczego?

— Bo ja mógłbym podarować pani taką wyspę.

— Czy to znaczy, że ma pan ją na własność? — Nie całą, lecz sporą część. I to bardzo podobną do tej, którą pani opisała. Na mojej wyspie każdego wieczoru morze przybiera barwę ciemnego wina, moja biała willa ma zielone okiennice, rosną tam piękne kwiaty, w dzikim przemieszaniu kolorów i zapachów, i nikt nigdy nigdzie się nie śpieszy.

— Coś wspaniałego. To prawdziwa wyspa z marzeń.

— Ale istnieje naprawdę.

— Więc jak pan może się z nią rozstawać?

— Coś nosi mnie po świecie. Jednak któregoś dnia wrócę na nią i już nigdy jej nie opuszczę.

— Sądzę, że dobrze pan zrobi.

Kelner przyniósł pierwszą potrawę i rozwiął urok chwili. Potoczyła się rozmowa o mało istotnych wydarzeniach dnia powszedniego.

Później Wilding odwiózł Shirley do domu. Nie zaprosiła go do środka.

— Mam nadzieję, że niedługo się spotkamy — powiedział, przytrzymując jej dłoń o ułamek sekundy dłużej, niż to było konieczne. Shirley splonęła rumieńcem.

W nocy śniła o wyspie.

2

— Shirley?

— Tak?

— Wiesz, że cię kocham?

Skinęła w milczeniu głową i zamyśliła się. Ostatnie trzy tygodnie upłynęły jej w dziwnie osobliwej, nierealnej atmosferze. Szła przez nie niby przez bezkresną, abstrakcyjną krainę i mimo zmęczenia, które nie odstępowało jej na krok, doświadczała zachwycającego, niesprecyzowanego uczucia przebywania poza czasem i przestrzenią.

Będąc w takim stanie nieważkości, zaczęła inaczej postrzegać rzeczywistość i inaczej ją oceniać. Henry i wszystko, co się do niego odnosiło, stało się mgliste i odległe, a na plan pierwszy zdecydowanie wysunęła się romantyczna postać Richarda Wildinga.

Przyglądała mu się surowo i uważnie.

— Czy ja cię w ogóle obchodzę? — zapytał.

— Nie wiem.

Co ja tak naprawdę czuję, pomyślała w duchu. To prawda, dzień po dniu ten mężczyzna coraz bardziej zajmował jej myśli. To prawda, ekscytowała ją jego bliskość. Równie prawdziwe było to, że igrała z niebezpieczeństwem, że któregoś dnia mogła ją porwać nagła fala namiętności. Jednak prawdą było także to, że nie chciała przestać go widywać...

— Jesteś bardzo lojalna, Shirley. Nigdy nic nie mówisz o swoim mężu.

— Dlaczego miałabym to robić?

— Przecież i tak słyszałem już sporo.

— Ludzie zawsze mają coś do powiedzenia — stwierdziła.

— Nie jest ci wierny ani, jak myślę, zbyt dobry.

— To prawda, Henry nie jest dobrym człowiekiem. — Nie daję tobie tego, co ci się należy: miłości, czułości, opieki...

— Henry kocha mnie na swój sposób.

— Być może. Ty jednak pragniesz czegoś więcej.

— Niczego już od dawna nie pragnę.

— Ale teraz jest inaczej. Chcesz swojej wyspy, Shirley.

— Och, ta wyspa! To był tylko sen na jawie.

— Nie, to był sen, który mógłby stać się jawą. — Być może. Choć nie sądzę.

— Naprawdę mógłby.

Siedzieli na tarasie. Od rzeki powiało chłodem. Shirley wstała i otuliła się szczelnie płaszczem.

— Nie mówmy o tym więcej — rzekła. — To, co robimy, jest głupie, Richardzie, głupie i niebezpieczne.

— Być może. Ale tobie nie zależy na Henrym, Shirley. Tobie zależy na mnie.

— Jestem żoną Henry'ego.

— Zależy ci na mnie.

— Jestem jego żoną — powtórzyła. Powtórzyła tak, jak się powtarza wyznanie wiary.

3

Kiedy wróciła do domu, Henry leżał wyciągnięty na sofie. Miał na sobie biały sportowy garnitur.

— Chyba nadwreżyłem sobie jakiś mięsień. — Skrzywił się lekko z bólu.

— Co robiłeś?

— Grałem w tenisa na kortach w Rochampton.

— Ze Stephenem? Myślałam, że wybieracie się na pole golfowe.

— Rozmyśliliśmy się. Stephen przyprowadził Mary, a czwartym graczem była Jessica Sandys.

— Jessica? Czy to ta brunetka, którą spotkaliśmy u Archerów przedwczoraj wieczorem?

— Ehm... tak... ta sama.

— Czy to twoja najnowsza zdobycz? — Shirley! Przecież ci obiecałem...

— Wiem, Henry, lecz co znaczą twoje obietnice? A więc Jessica... Widzę to po twoich oczach.

— Że też ty zawsze musisz coś sobie wyobrazać... — Jeśli miałabym coś sobie wyobrazać — mruknęła Shirley — to raczej wyobraziłabym sobie wyspę.

— Jaką wyspę? — Henry usiadł na sofie i jęknął: — Naprawcie coś nic tak z tym mięśniami.

— Lepiej będzie, jak jutro sobie odpoczniesz. Nie zaszkodzi, dla odmiany, jedna wolna niedziela.

— Masz rację, to mogłoby być mile. Jednak następnego ranka Henry oświadczył, że ból mięśnia już mu minął.

— Jeśli chodzi o ścisłość — powiedział — umówiliśmy się na rewanżową partię.

— Ty, Stephen, Mary... i Jessica?

— Tak.

— A może tylko ty i Jessica?

— Och, wszyscy czworo — rzucił niedbale.

— Jaki z ciebie kłamca, Henry.

Jednak nie powiedziała tego ze złością. Uśmiechnęła się w duchu. Przypomniał jej się tamten młody chłopiec, którego spotkała na korcie cztery lata temu, i to, jak pociągała ją jego niezależność. Henry do dziś pozostał taki sam: niezależny.

Onieśmielony, zmieszany młody człowiek, który wpadł do niej do domu następnego dnia i który, rozmawiając z Laurą, siedział kamieniem aż do jej, Shirley, powrotu, był tym samym młodym mężczyzną, który teraz nie miał zamiaru zrezygnować z polowania na Jessicę. Henry, pomyślała, w istocie nic zmienił się ani trochę. On nie chce mnie zranić. On taki po prostu jest. Zawsze robi to, na co ma ochotę.

Zauważyła, że trochę utyka, toteż powiedziała impulsywnie:

— Doprawdy, nic powinieneś wychodzić z domu, a tym bardziej grać w tenisa. Musiałeś wczoraj nieźle sforsować nogę. Czy nie możesz odłożyć tej partii na następny weekend?

Lecz Henry chciał iść i poszedł.

Wrócił o szóstej i zwałił się na łóżko. Jego wygląd zaalarmował Shirley. Nie zważając na protesty, wyszła i zadzwoniła po lekarza.

ROZDZIAŁ ÓSMY

1

Następnego popołudnia, w porze lunchu, kiedy Laura wstawiała od stołu, rozdzwonił się telefon.

— Laura? Tu Shirley.

— Shirley? Co się stało? Masz taki dziwny głos.

— To Henry, Lauro. Jest w szpitalu. Ma poliomyelitis. Jak Charles, pomyślała Laura, wracając pamięcią do wydarzeń sprzed lat. Jak Charles...

Tamta tragedia, kiedy to ona sama była za mała, by ją pojąć, nabrała teraz nowej wymowy. Przerazenie w głosie Shirley było tym samym przerażeniem, które ogarnęło jej matkę. Charles umarł. Czy Henry też może umrzeć? Zastanowiła się. Czy może umrzeć?

2

— Porażenie dziecięce to to samo, co poliomyelitis, prawda? — zapytała niepewnie pana Baldocka.

— Nowsza nazwa tej samej choroby, to wszystko. Dlaczego pytasz?

— Henry zachorował.

— Biedaczysko. A ty zastanawiasz się, czy wyzdrowieje?

— Tak.

— I masz nadzieję, że nie?

— Ależ jak pan może. Nie jestem potworem.

— Przyznaj się, mała Lauro, przecież tak pomyślałaś.

— Człowiekowi nie raz i nie dwa przychodzą do głowy różne okropne myśli — odparła Laura. — Jednak nikomu nie życzyłabym śmierci.

— Tak — powiedział pan Baldock w zamyśleniu. — Nie przypuszczam, że życzyłabyś dzisiaj...

— Co ma znaczyć pańskie „dzisiaj”? Och, chyba nie chce mi pan wypomnieć tamtej starej historii z nierządnicą? — Nie mogła się nie uśmiechnąć na samo wspomnienie. — Przychodzę, by powiedzieć, że nie będę mogła zaglądać do pana każdego dnia. Wybieram się do Londynu popołudniowym pociągiem. Chcę być z Shirley.

— A czy ona tego chce?

— Ależ naturalnie — odparła oburzona. — Henry'ego zabrano do szpitala, jest więc sama. Potrzebuje kogoś.

— Powiedzmy, że tak. Powiedzmy. Masz rację. Słusznie postępujesz. Nieważne, co będzie ze mną. Ja się nie liczę. — Pan Baldock, półinwalida, znajdował wielką przyjemność w przesadnym uzalaniu się nad sobą.

— Kochany Baldy, tak mi przykro, ale...

— Ale najważniejsza jest Shirley! W porządku, w porządku... Bo i kim ja jestem? Nieznośny osiemdziesięcioletni staruch, głuchy, na pół oślepy...

— Baldy...

Pan Baldock zniecacka uśmiechnął się szeroko i opuścił jedną powiekę.

— Lauro — powiedział — nie daj się wykorzystywać nieudacznikom. Komuś, kto rozczuła się nad samym sobą, niepotrzebna jest twoja litość. Litowanie się nad sobą jest, na dobrą sprawę, zajęciem pełnoetatowym.

3

— Czyż to nie jest prawdziwe szczęście, że nie sprzedałam domu? — powiedziała Laura trzy miesiące później. Henry nie umarł, lecz był bardzo bliski śmierci. — Gdyby nie zbagatelizował pierwszych symptomów i nie uparł się, aby pójść na kort i grać w tenisa, może nie byłoby to takie poważne. A tak...

— Jest źle, prawda?

— Będzie kaleką do końca życia.

— Biedak.

— Naturalnie nie powiedzieli mu tego. Przypuszczam, że jest pewna szansa... ale być może lekarze tylko tak mówią, chcąc pocieszyć Shirley. Tak czy inaczej, szczęśliwie się składa, powtarzam, że nie sprzedałam domu. To dziwne, cały czas miałam jakieś przecucie, że nie powinnam tego robić. Mówiłam sobie nieustannie, że to śmieszne, że przecież jest za duży dla mnie, że jeśli Shirley nie ma dzieci, ona i Henry nigdy nie zechcą zamieszkać na wsi. No i poważnie zastanawiałam się naci podjęciem pracy w Domu Dziecka w Milchester. Ale skoro jest, jak jest, skoro nie doszło do sprzedaży, a ja mam dokąd pójść, Shirley będzie mogła sprowadzić tu Henry'ego, kiedy ten wyjdzie ze szpitala. Oczywiście, nie nastąpi to wcześniej niż za parę miesięcy.

— Czy Shirley pochwała twój plan?

— Nie — Laura ściągnęła brwi. — Z jakiegoś powodu jest mu bardzo niechętna. Chyba wiem, dlaczego. A przynajmniej się domyślam. — Zmierzyła pana Baldocka ostrym spojrzeniem. — Prawdopodobnie Shirley zwierzyła się panu z czegoś, co zataiła przede mną. Nie zostało jej nic z własnych pieniędzy, prawda?

— Nic zwierzyła mi się — odparł pan Baldock — ale byłbym skłonny sądzić, że istotnie nic jej nie zostało. Byłbym także skłonny — dodał — wyobrazić sobie, że Henry roztrwonił wszystkie pieniądze, jakie miał, także własne.

— Dochodziły mnie różne słuchy — powiedziała Laura. — Ze strony ich przyjaciół, jak również ze strony przypadkowych ludzi. To było potwornie nieszczęśliwe małżeństwo. Trwonił jej pieniądze, zaniedbywał ją, miewał romanse z innymi kobietami. Nie potrafię mu tego przebaczyć nawet teraz, kiedy dopadła go tak straszna choroba. Jak mógł w ten sposób potraktować Shirley? Jeśli ktokolwiek zasłużył na szczęście, to na pewno ona. Przepelniała ją radość życia, była zawsze pogodna, zawsze... taka ufna. — Podniosła się i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Widać było, że usiłuje panować nad swoim głosem. — Dlaczego pozwoliłam jej wyjść za Henry'ego? Mogłam ją powstrzymać, to jasne, albo przynajmniej przeciągać sprawę tak długo, by sama zdażyła się na nim poznać. Ale ona była taka nieszczęśliwa... tak bardzo chciała z nim być. Ustąpiłam zatem. Chciałam, żeby jej pragnienia spełniły się.

— Dobrze już, dobrze, Lauro.

— Ale chciałam także czegoś innego. Chciałam pokazać, że nie jestem zaborcza. I żeby udowodnić to samej sobie, wpędziłam Shirley w nieszczęście na całe życie.

— Już ci to kiedyś mówiłem, Lauro, że przykładasz zbyt duże znaczenie do szczęścia i nieszczęścia.

— Nie potrafię zachować spokoju ducha, kiedy ona cierpi! Pan oczywiście podchodzi do wszystkiego ze stoickim spokojem. Pan nie przejmuję się Shirley.

— Shirley, nic, tylko Shirley! Ja, Lauro, ja przejmuję się tobą. Zawsze się przejmowałem. Przejmowałem się od chwili, kiedy zobaczyłem, jak jeździsz na swoim wydumanym rowerze, ze spojrzeniem tak poważnym, jakbyś była nie dzieckiem, lecz co najmniej sędzią. Umiesz prowokować cierpienie, ale nie umiesz, jak inni, łagodzić go balsamem rozczulania się nad sobą. Ty w ogóle nie myślisz o sobie.

— A dlaczego miałabym przejmować się sobą? To nie mój mąż jest ciężko chory!

— Można by powiedzieć, że twój, tak się przejmujesz! Czy wiesz, czego pragnę dla ciebie, Lauro? Trochę dobrego, powszedniego szczęścia. Jakiegoś męża, kilkoro

hałaśliwych, uprzykrzonych dzieci. Zawsze byłeś tragicznym małym stworzeniem, od kiedy cię znam. Musisz się zmienić, jeśli zamierzasz iść przez życie właściwą drogą. Nie bierz na swoje barki cierpień całego świata; Jezus Chrystus zrobił to kiedyś za wszystkich. Nie możesz przeżyć za kogoś życia, nawet za Shirley. Pomagaj jej, dlaczego nie; ale nie przejmuj się za bardzo.

— Pan nic nie rozumie — powiedziała Laura z pobielającą twarzą.

— Jesteś jak wszystkie kobiety; musisz robić wokół każdej sprawy tak wiele zamieszania.

Laura patrzyła na niego przez chwilę, nic nie mówiąc, a potem obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

— Cholerny stary głupiec, oto kim jestem — powiedział na głos pan Baldock. — No cóż, zawsze nim byłem i chyba zawsze nim pozostanę.

Prawie się przestraszył, kiedy drzwi się otworzyły i Laura wpadła z powrotem do pokoju. Podeszła do niego w pośpiechu.

— Jest pan starym diabłem, Baldy! — powiedziała, pocałowała go i znów wyszła.

Pan Baldock siedział cicho w swoim fotelu i zakłopotany mrugał oczami. Jako że ostatnio nabrał zwyczaju mamrotania do siebie pod nosem, patrząc w sufit, odmówił niewyraźną modlitwę:

— Boże, miejże ty ją w swojej opiece, bo ja nie potrafię. Moje próby w tym kierunku są, jak przypuszczam, zwykłym zarozumiałstwem.

4

Na wieść o chorobie Henry'ego, Richard Wilding napisał do Shirley list z konwencjonalnymi wyrazami współczucia. Miesiąc później napisał powtórnie, prosząc o spotkanie. Shirley odpisała:

Lepiej będzie, jeśli się więcej nie zobaczymy. Henry stał się dla mnie jedyną rzeczywistością. Myślę, że mnie rozumiesz. Żegnaj.

Na co on odpowiedział:

Spodziewałem się takich słów. Niech cię Bóg błogosławi, moja kochana, teraz i zawsze.

A więc, pomyślała Shirley, to koniec...

Henry będzie żyć, lecz to właśnie ona musiała stawić czoło kłopotom dnia powszedniego. Ona i Henry nie mieli żadnych pieniędzy. Kiedy jako kaleka wyszedł ze szpitala, pierwszą niezbędną rzeczą stał się dom.

Oczywiście odpowiedź nasuwała się sama. Laura. Laura, szlachetna, kochająca, dla której przyjęcie Shirley i Henry'ego w Bellbury byłoby rzeczą jak najbardziej oczywistą. A jednak, z niewiadomej przyczyny, Shirley gorąco wzbraniała się przed takim krokiem. Henry, zgorzkniały, zbuntowany przeciw światu inwalida, bez śladu poprzedniej bez troski, powiedział, że jest szalona.

— Doprawdy nic rozumiem, o co ci chodzi. Nic innego nam nie pozostaje. Należy dziękować Bogu, że Laura nie pozbyła się domu. Jest taki obszerny, będziemy mieć dla siebie całą amfiladę pokoi, a ta cholerna pielęgniarka czy służący, jeśli już muszą być, również się zmieszczą. Nie rozumiem, naci czym się tak trzęsiesz.

— A nie moglibyśmy pojechać do Muriel?

— Przecież wiesz, że miała wylew, a niewykluczone, że niedługo przytrafi jej się następny. Ma na stałe pielęgniarkę, jest całkiem zramolała, a podatki pochłaniają połowę jej dochodów. Nie ma o czym mówić. Co w tym złego, że zamieszkamy u Laury? Przecież sama nam to proponuje, prawda?

— Oczywiście, proponuje. Raz za razem.

— A zatem wszystko gra. Skąd ten twój dziwny opór? Wiesz, że twoja siostra cię uwielbia.

— Ona mnie kocha, a jednak...

— Ach, rozumiem! Chodzi o mnie, o to, że Laura mnie nie lubi. W porządku. Tym więcej uciechy dla niej. Może rozplýwać się nad bezradnym kaleką, a jednocześnie czerpać satysfakcję z mojego nieszczęścia.

— Nie mów tak, Henry. Wiesz, że Laura nie jest taka.

— A co mnie obchodzi, jaka jest Laura. Mnie w ogóle nic nie obchodzi. Czy zdajesz sobie sprawę, przez co przeszedłem? Czy jesteś w stanie pojąć, co to znaczy być bezradnym, bezwładnym, niezdolnym do przewrócenia się w łóżku na drugi bok? Czy z kolei ciebie to obchodzi? — Tak, obchodzi.

— Przywiązana do kaleki! Strasznie zabawne!

— Nie narzekam.

— Jesteś jak wszystkie kobiety; szczęśliwe, kiedy mogą traktować mężczyznę jak dziecko. Jestem zdany na ciebie, z czego, jak sądzę, masz niemało radości.

— Możesz mówić, co ci się żywnie podoba, ja i tak wiem swoje. Wiem, jakie to wszystko jest dla ciebie przerażające.

— Nie wiesz ani trochę. Nie możesz wiedzieć. Jakże żałuję, że nie umarłem! Dlaczego ci przekłęci lekarze nie skończą z człowiekiem raz na zawsze? To jedyna przyzwoita rzecz, jakiej można by się po nich spodziewać. No, dalej, powiedz coś jeszcze, coś kojącego, coś ociekającego litością!

— W porządku — powiedziała Shirley. — Zbierajmy się. Rzeczywiście jesteś gotów oszaleć. A to byłoby gorsze dla mnie niż dla ciebie.

Henry popatrzył na nią z furją, potem niechętnie roześmiał się.

— Udało mi się — powiedział. — Podpuściłem cię.

5

Shirley napisała do Laury miesiąc później.

Kochana Lauro. To bardzo miło z twojej strony, że chcesz nas gościć. Nie musisz przejmować się Henrym i tym, co wygaduje. Ciężko to wszystko znosi. Nigdy nie musiał niczemu się podporządkowywać, więc teraz dostaje napadów złości. To straszne. Kiedy taka rzecz przydarza się komuś takiemu jak on.

Odpowiedź Laury, pełna słów oddania i miłości, przysłała odwrotną pocztą.

Dwa tygodnie później Shirley i jej kaleki mąż przyjechali do Bellbury. Kiedy Laura otoczyła siostrę kochającymi ramionami, Shirley dziwiła się sama sobie, dlaczego od razu nie zdecydowała się tu przyjechać? Przecież należała do tego miejsca. Jak niegdyś znalazła się w centrum zainteresowania Laury. Shirley poczuła się znowu jak małe dziecko.

— Lauro, kochana, tak się cieszę, że jestem tutaj... Jestem tak zmęczona... tak koszmarne zmęczona...

Laurą wstrząsnął wygląd siostry.

— Shirley, mój skarbie, tak wiele przeszłaś... przestań się już zamartwiać.

— Tylko nie przejmuj się Henrym — poprosiła lęklonie Shirley.

— Och, daj spokój. Jakże mogłabym mieć mu cokolwiek za złe? To straszne dla mężczyzny, zwłaszcza takiego jak Henry, być tak kompletnie bezradnym. Niech się wyładowuje do woli. Niech mówi czy robi, co chce.

— Och, Lauro, a więc potrafisz to zrozumieć...

— Oczywiście, że tak.

Shirley westchnęła z ulgą. Aż do tego ranka prawie nie zdawała sobie sprawy, w jakim żyje napięciu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

1

Richard Wilding znów wyjechał za granicę. Lecz nim to zrobił, najpierw pojawił się w Bellbury.

Shirley przeczytała jego list przy śniadaniu, po czym wręczyła go Laurze.

— Richard Wilding. Czy to ten słynny podróżnik?

— Tak.

— Nie wiedziałam, że jest twoim przyjacielem.

— Cóż, jak widzisz... Myślę, że polubiłabyś go. — Mógłby przyjść na lunch. Od dawna go znasz? — Od pewnego czasu. Chyba byłam w nim zakochana.

— Och! — zawołała zaskoczona Laura i zamyśliła się...

Richard przyszedł trochę wcześniej, niż się spodziewały. Shirley była na piętrze, w pokoju Henry'ego, wobec czego powitała go Laura i następnie poprowadziła do ogrodu. Oto mężczyzna, pomyślała natychmiast, którego Shirley powinna poślubić. Łagodny, serdeczny i współczujący, a także poważny i stateczny. Że też musiała spotkać Henry'ego, Henry'ego z tym całym jego wdziękiem, niestałością i skrywaną bezwzględnością.

Richard zapytał uprzejmie o chorego. Po kilku konwencjonalnych pytaniach i odpowiedziach, wyznał:

— Spotkałem go zaledwie kilka razy. Nie spodobał mi się. — I nagle, ni stąd, ni zowąd, dodał: — Dlaczego pani nie powstrzymała jej przed poślubieniem kogoś takiego?

— A to w jaki sposób?

— Mogła pani coś wymyślić.

— Mogłam? Ciekawe.

Żadne z nich nie czuło, by poufały sposób, w jaki rozmawiali, był czymś niezwykłym.

— Nie mam zamiaru ukrywać, jeśli pani sama na to nic wpadła, że szczerze kocham Shirley.

— Tak też mi się zdawało.

— Choć nic z tego nie wynika. Ona go nigdy nie opuści.

— Czyżby pan na to liczył?

— Skądże. Nie byłaby sobą, gdyby tak postąpiła. Jak pani myśli, czy nadal jest do niego bardzo przywiązana?

— Nie wiem. Niezwykle mu współczuje, ale to oczywiste.

— A jak on to znosi?

— On jest nie do wytrzymania! — rzuciła ostro Laura. — Brakuje mu i hartu ducha, i cierpliwości. Powiem wprost: żeruje na jej uczuciach.

— Bydlę!

— Powinniśmy mu współczuć.

— Toteż w pewnym sensie współczuję. Ale on zawsze traktował ją bardzo źle. Wszyscy o tym wiedzieli. A pani? Wiedziała pani?

— Shirley nigdy nic nie mówiła. Jednak przyznaję, słyszałam to i owo.

— Shirley jest lojalna. Lojalna od początku do końca. — Właśnie. — Po chwili milczenia dodała dziwnie szorstkim głosem: — Ma pan rację. Powinnam zapobiec temu małżeństwu. Powinnam znaleźć jakiś sposób. Shirley była taka młoda, a jej znajomość z Henrym trwała tak krótko. Cóż, chcąc nic chcąc, narobiłam dużo zamieszania.

— Będzie pani nadal się nią opiekować, prawda? — zapytał zduszonym głosem.

— Shirley jest jedyną osobą na świecie, o którą się troszczę.

— O, właśnie nadchodzi — powiedział.

Shirley szła ku nim przez trawnik. Obserwowali ją oboje.

— Strasznie zmizerniała i zbladła — wyszeptał Richard Wilding. — Moje biedne dziecko. Moje biedne, dzielne dziecko...

2

Po lunchu Shirley poszła z Richardem na spacer nad brzeg strumyka.

— Henry zasnął. Dlatego mogłam wyjść na chwilę.

— Czy on wie, że jestem tutaj?

— Nie mówiłam mu.

— Czy jest ci bardzo ciężko?

— Dość. W żaden sposób nie potrafię mu pomóc. I to jest najgorsze.

— Nie masz mi za złe, że przyjechałem?

— Nie, jeśli jest to pożegnanie.

— Istotnie, to pożegnanie. Teraz już nigdy nie opuścisz Henry'ego?

— Nie. Nigdy.

Richard przystanął i ujął jej rękę.

— Posłuchaj, kochanie. Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować, napisz do mnie jedno słowo: „Przyjedź”. Przybędę z końca świata.

— Jesteś kochany, Richardzie.

— A zatem żegnaj.

Wziął ją w ramiona. Jej zmęczone, wygłodniałe ciało rwało się do życia. Pocałowała go namiętnie, rozpaczliwie.

— Kocham cię, Richardzie, kocham cię, kocham...— I wyszeptała: — Żegnaj. Nie, nie idź ze mną...

Oderwała się od niego i pobiegła ku domowi. Richard Wilding zaklął pod nosem. Przeklinał Henry'ego i jego chorobę zwaną poliomyelitis.

3

Pan Baldock był przykuty do łóżka. Co więcej, miał do towarzystwa dwie pielęgniarki. Pan Baldock nienawidził i łóżka, i pielęgniarek. Jedynymi jasnymi chwilami jego dnia były wizyty Laury.

Pielęgniarka pełniąca dyżur wycofała się taktownie. Pan Baldock tylko na to czekał. Kiedy Laura usiadła, natychmiast wyrzucił z siebie, co myśli o owej pielęgniarce, wyliczając wszystkie jej wady.

— Ta jej cholerna figlarność. „No i jak się dzisiaj czujemy?” Jestem jeden, powiadam. Jeśli jest tu ktoś drugi, to chyba tylko ta szczerząca zęby małpa o kłocowatej twarzy.

— To okrutne z pana strony, Baldy.

— Phi! Pielęgniarki są gruboskórne. Wszystko po nich sływa. Albo podnosi palec i mówi: „Niegrzeczny! Niegrzeczny!” Jakżebym chciał usmażyć to babsko w oleju!

— Proszę się tak nie ekscytować. To może panu zaszkodzić.

— Co u Henry'ego? Wciąż podbija wam bębenka?

— Tak. Doprawdy trudno z nim wytrzymać. Staram się mu współczuć, lecz nie potrafię.

— Wy kobiety! Bezlitosne istoty! Rozczulacie się naci martwym ptaszkiem i temu podobnymi głupstwami, a jesteście twarde jak skała w obliczu piekielnych mąk jakiegoś biedaka.

— To Shirley ma piekło na ziemi. On po prostu się na niej odgrywa.

— A jakże. Shirley to jedyna osoba, wobec której może mu to ująć płazem. Po to się ma żonę, by było na kim wyładować złość, kiedy się wpada w tarapaty. Źle mówię?

— Boję się potwornie, że ona dostanie rozstroju nerwowego.

Pan Baldock prychnął pogardliwie.

— Nie ona. Shirley jest twarda. Ma charakter.

— Jest nieustannie spięta.

— No, to chyba prawda. Cóż, poślubiła, kogo poślubiła.

— Nie wiedziała, że jej mąż zachoruje na poliomyelitis.

— Przecież to by jej nie powstrzymało! Ale, ale. Doszły mnie słuchy o jakimś romantycznym zawadiace, zjawiającym się tutaj z czułym pożegnaniem. No więc dowiem się czegoś więcej od ciebie czy nie?

— Baldy, jak pan to robi, że nic się przed panem nie ukryje?

— Nie zatykam sobie uszu. A poza tym od czego jest pielęgniarka, jeśli nie od donoszenia o miejscowych skandalach?

— To był Richard Wilding, sławny podróżnik.

— No tak, z tego co ludzie mówią, dość porządne chłopisko. Choć głupio się przed wojną ożenił. Jak chcesz wiedzieć, ze sławną kokotą z Piccadilly. Zaraz po wojnie musiał się jej pozbyć. Bardzo się tym przejął i wcale mu się nie dziwię. Zrobić z siebie durnia, żeniąc się z taką? Ci idealisci!

— On jest... jest bardzo miły.

— Zakochałaś się w nim?

— To jego powinna poślubić Shirley.

— Och, znów ta Shirley. A już myślałem, że wreszcie i tobie ktoś wpadł w oko. Szkoda.

— Ja nigdy nie wyjdę za mąż.

— Tra ta ta ta — powiedział pan Baldock ze złością.

— Powinna pani wyjechać, pani Glyn–Edwards — poradził młody lekarz. — Potrzebny jest pani odpoczynek i zmiana klimatu.

— To niemożliwe — oburzyła się Shirley.

— Pani jest bardzo wyczerpana. Ostrzegam. Dostanie pani całkowitego rozstroju nerwowego, jeśli nie zadba o siebie.

— Nic mi nie będzie — zaśmiała się.

Lekarz potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Pan Glyn–Edwards jest bardzo uciążliwym pacjentem — oświadczył zwięźle.

— Gdyby tylko mógł choć trochę pogodzić się z losem — westchnęła Shirley.

— Tak, pani mąż widzi wszystko w ciemnych barwach.

— Nie sądzi pan, doktorze, że to ja mu szkodzę? To znaczy, że może go denerwuję?

— Pani jest jego zaworem bezpieczeństwa. To zbyt duża odpowiedzialność, pani Glyn–Edwards, ale proszę mi wierzyć, wykonuje pani dobrą robotę.

— Dziękuję.

— Zostańmy nadal przy pigułkach nasennych. To dość duża dawka, ale kiedy pacjenta zjadają nerwy, powinien odpoczywać przynajmniej w nocy. I proszę pamiętać, nie należy zostawiać ich w zasięgu ręki męża.

Twarz Shirley zblęśniała. — Chyba nie myśli pan, że on...

— Nie, ale skąd — przerwał pośpiesznie lekarz. — Zapewniam panią, że nie zaliczam pani męża do grupy ludzi o skłonnościach samobójczych. Tak, wiem, od czasu do czasu powtarza, że chce ze sobą skończyć, ale to zwykła histeria. Nie, niebezpieczeństwo polega jedynie na tym, że ktoś wyrwany ze snu, na pół otumaniony, zapomina, że połknął już swoją dawkę i sięga po następną. Dlatego proszę zachować ostrożność.

— Oczywiście, będę ostrożna. Pożegnała lekarza i wróciła do Henry'ego. Henry był w jednym ze swych najgorszych nastrojów.

— No i co? Co powiedział? Wszystko przebiega w zadowalający sposób, tak?! Pacjent jest, być może trochę poirytowany, ale nie martwmy się tym!

— Och, Henry. — Shirley osunęła się na krzesło. — Czy nie mógłbyś czasami... być odrobinę miłszy?

— Miłszy? Dla ciebie?

— Tak. Jestem tak bardzo zmęczona. Tak potwornie zmęczona. Gdybyś tylko mógł być... proszę, choćby czasami... trochę miłszy.

— Ty, oczywiście, nie masz na co narzekać. Nie jesteś workiem pokręconych, bezużytecznych kości. Z tobą jest wszystko w porządku.

— Tak uważasz?

— Czy lekarz przekonuje cię, żebyś wyjechała?

— Istotnie, obstaje przy tym, że powinnam mieć jakąś odmianę i że należy mi się odpoczynek.

— A ty, jak przypuszczam, posłuchasz go! Miłego tygodnia w Bournemouth!

— Nie, nie zrobię tego. Nigdzie nie wyjadę.

— Dlaczego?

— Nie chcę cię zostawić.

— Nie dbam o to, czy pojedziesz, czy nie. Bo i jaki ja mam z ciebie pożytek?

— Nie zdaje mi się, by ktokolwiek miał — powiedziała głucho.

Henry odwrócił niespokojnie głowę.

— Gdzie są moje pigułki na sen? Ubiegłej nocy wcale mi ich nie dałaś.

— Dałam, jestem tego pewna.

— Nie, nie dałaś. Obudziłem się i poprosiłem o nie, ale bez skutku. Pielęgniarka uparcie twierdziła, że już je brałem.

— Bo brałeś. Tylko zapomniałeś.

— Czy wybierasz się dziś wieczorem na plebanię?

— Jeśli chcesz, zostanę w domu — odparła.

— Och, lepiej idź"! W przeciwnym wypadku będą gadać, jaki to ze mnie cholerny egoista. Powiem pielęgniarce, że też może sobie pójść.

— Zostanę, Henry.

— Nie musisz. Laura na pewno do mnie zajrzy. Zabawne, nigdy za bardzo nie lubiłem Laury, lecz w niej jest coś takiego, co teraz, kiedy jestem chory, działa na mnie bardzo kojąco. To coś, to rodzaj siły.

— Tak. Laura zawsze taka była. Ona zawsze coś z siebie daje. Jest lepsza ode mnie. Ja chyba wzbudzam w tobie jedynie złość.

— Czasami istotnie jesteś bardzo irytująca.

— Henry... — Tak?

— Ach nie, już nic.

Kiedy weszła do pokoju Henry'ego tuż przed udaniem się na plebanię na turniej wista, pomyślała najpierw, że Henry śpi. Nachyliła się nad nim. Łzy napłynęły jej do oczu. Już miała odejść, kiedy pociągnął ją za rękaw.

— Shirley. — Tak, kochanie?

— Shirlej, nie nienawidź mnie.

— Nienawidzić ciebie? Jakbym mogła?

— Jesteś taka blada, taka mizerna... — wyszeptał. — Zniszczyłem cię. Nie potrafiłem być inny... nie potrafię. Nigdy nie znośm czegoś takiego jak choroba czy ból. Na wojnie pogodziłem się z myślą, że mogę zostać zabity, lecz nigdy nie rozumiałem, jak faceci mogą znosić oparzenia, oszpeccenia czy... czy okaleczenia.

— Tak, Henry...

— Jestem potwornym egoistą, wiem o tym. Ale zmienię się na lepsze, na lepsze na duszy, nawet gdyby moje ciało na zawsze pozostało kalekie. Jeżeli będziesz cierpliwa, być może wyjdziemy z tego, może przewyciężymy wszystko. Tylko mnie nie opuszczaj.

— Nigdy cię nie opuszczę, nigdy.

— Naprawdę cię kocham, Shirley... wierz mi... I zawsze kochałem. Nigdy nie było nikogo poza tobą i nigdy nie będzie. Jak wspomnę wszystkie te miesiące... Byłaś dla mnie taka dobra, taka cierpliwa, podczas gdy ja byłem potworem. Powiedz, że mi wybaczasz.

— Nie mam nic do wybaczenia. Kocham cię.

— Życiem można się cieszyć, nawet jak się jest kaleką.

— Będziemy się nim cieszyć. — I to jak!

— Zawsze pozostaje przyjemność jedzenia — powiedziała Shirley drżącym głosem.

— I picia — dodał Henry. Na jego twarzy pojawił się nikły cień dawnego uśmiechu. — Mógłbym zająć się wyższą matematyką.

— A ja krzyżówkami.

— Jutro, jak sądzę, znów będę cię zamęczać.

— Pewnie będziesz. Ale to się nie liczy.

— Gdzie są moje pigułki?

— Już ci je podaję. Połknął je posłusznie.

— Biedna stara Muriel — powiedział znienacka.

— Dlaczego ją wspominasz?

— Przypomniało mi się, jak cię pierwszy raz do niej zabrałem. Miałaś żółtą sukienkę w pasy. Powinienem kiedyś częściej odwiedzać pocziwinę, tylko że ciotka Muriel zawsze była laka nudna, a ja nie znośm nudziarzy. A teraz sarn nim jestem.

— To nieprawda, nie jesteś.

Z hali u na parterze dobiegło wołanie Laury:

— Shirley!

Pocałowała go. Zbiegła ze schodów, z sercem wezbranym szczęściem. Szczęściem i czymś w rodzaju triumfu.

Usłyszała od Laury, że pielęgniarka już wyszła.

— Och, jestem spóźniona? Zatem biegnę. — Biegąc podjazdem, odwróciła głowę i zawołała: — Dałam już Henry'emu pigułki na sen.

Lecz Laura właśnie zamykała za nią drzwi.

CZĘŚĆ TRZECIA

LLEWELLYN — 1956

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Llewellyn Knox podciągnął żaluzje hotelowego okna i wpuścił do środka słodko pachnące nocne powietrze. Pod nim, w dole, migotały światła miasta, a za nimi światła portu.

Pierwszy raz od kilku tygodni Llewellyn poczuł się spokojny i odprężony. Być może tu, na tej wyspie, będzie mógł złapać oddech i zastanowić się nad sobą i swoją przyszłością. Jego przyszłość w ogólnych zarysach była jasna i oczywista, lecz jeśli chodzi o szczegóły — te były zamazane. Przeszedł przez katusze, przez pustkę, znużenie. Teraz miał nadzieję, że zacznie nowe życie, proste i bezpretensjonalne, życie mężczyzny podobnego do wielu innych; jedyną ujemną stroną będzie to, że zacznie je, mając czterdzieści lat.

Odrzucił się w stronę pokoju. Było to pomieszczenie skromnie umeblowane, lecz czyste. Umył twarz i ręce, rozpakował parę osobistych drobiazgów, a następnie opuścił sypialnię i zszedł dwa piętra niżej do hotelowego hallu. Urzędujący recepcjonista coś pisał. Spojrzał na Llewellyna uprzejmie, aczkolwiek bez szczególnego zainteresowania, i od nowa skupił się na swojej pracy.

Llewellyn pchnął drzwi obrotowe i wyszedł na ulicę. Aromatyczne, wilgotne powietrze nie miało w sobie nic z omdlewającej o ciężałości tropików, a jego łagodne ciepło znakomicie rozładowywało uczucie napięcia. Gorączkowe tempo cywilizacji nie docierało tego miejsca. Można było odnieść wrażenie, że tu, na tej wyspie, czas cofnął się do epoki, w której ludzie krzatali się wokół swoich spraw wolno i z namysłem, bez pośpiechu, bez napięcia, niemniej nie tracąc z oczu wytkniętego celu. Być może nie brakowało tu ubóstwa i cierpienia, i różnorodnych chorób ciała, lecz na pewno nie było poszarpanych nerwów, gorączkowego zapędzenia, lękliwych myśli o jutrze — tej stałej siły napędowej wyżej rozwiniętych cywilizacji. Zacięte twarze kobiet, robiących karierę, bezwzględne twarze matek, stawiających na przyszłość swoich dzieci, szare, poorane bruzdami oblicza biznesmenów, konkurujących nieprzerwanie o utrzymanie się na rynku, niespokojne, znużone twarze pospólstwa, walczącego o poprawę swoich warunków bytowych czy choćby o zachowanie obecnego poziomu życia — nic z ich cech nie znajdowało odbicia w twarzach mijających go przechodniów. W większości spojrzeń, jakimi bywał obrzucany, nie było śladu natarczywości: tubylcy, uprzejmie zarejestrowawszy obecność cudzoziemca, odwracali głowy i myśli ku własnemu życiu. Szli wolno, bez pośpiechu. Być może opuścili domy, aby zaczerpnąć powietrza, lecz nawet jeśli mieli na uwadze wytknięty cel marszruty, nie pędzili do niego. To, co nie zostanie zrobione dzisiaj, można będzie zrobić jutro; przyjaciele, którzy czekają na ich przyjście, spokojnie poczekają odrobinę dłużej.

Poważni, uprzejmi ludzie, pomyślał Llewellyn, ludzie, którzy uśmiechają się rzadko, choć ich powściągliwość wcale nie wynika ze smutku, a jedynie z braku powodu do śmiechu. Tutaj nie posługiwano się uśmiechem jako bronią towarzyską.

Podeszła do niego kobieta z dzieckiem na ręku, po prośbie. Nie zrozumiał, co powiedziała, lecz wyciągnięta dłoń i melancholijny zaśpiew jej słów przemawiały same za siebie i były zgodne ze starym jak świat wzorcem. Po otrzymaniu drobnej monety podziękowała zdawkowo i odeszła. Dziecko spało na jej ramieniu i wyglądało na zadbane i dobrze odżywione, a twarz kobiety, chociaż zniszczona, wcale nie była wychudła czy wymizerowana. Prawdopodobnie, pomyślał, zebranie w jej wypadku nie jest potrzebą, nieszczęśliwym zrzędzeniem losu, a zwykłym zawodem, wykonywanym mechanicznie, uprzejmie i, co więcej, z wystarczającym powodzeniem, jeśli potrafiła zapewnić pożywienie i schronienie dla siebie i dla dziecka.

Skręcił za róg i udał się stromą uliczką w stronę portu. Minęły go dwie spacerujące dziewczyny. Rozmawiały i śmiały się, a także, co było oczywiste, doskonale zdawały sobie sprawę, że w niewielkiej odległości podąża za nimi grupka czterech młodych mężczyzn.

Llewellyn uśmiechnął się do siebie. Oto tutejsze zaloty, pomyślał. Dziewczęta były piękne, o egzotycznej urodzie, takiej, która na ogół przemija razem z młodością. Za dziesięć lat, a może mniej, myślał dalej, będą wyglądały jak ta podstarzała kobieta, która wsparta na ramieniu męża wolno człapała pod górę, otyła, dobroduszna i wciąż pełna dostojeństwa, mimo że jej kształty dawno przestały być atrakcyjne.

Llewellyn, podążył dalej tą samą uliczką, która prowadziła do portu. Znajdowały się tu liczne kawiarnie, niektóre z obszernymi tarasami. W kawiarniach i przed nimi siedzieli ludzie, popijając z małych szklaneczek jasno zabarwione napoje; w jedną i w drugą stronę płynął nieprzerwany potok spacerowiczów. Tutaj również postrzegano Llewellyna jako cudzoziemca, lecz tu cudzoziemiec dla nikogo nie był nowością. Statki przybijały do nabrzeża, a obcokrajowcy schodzili na ląd, czasami na kilka godzin, czasami na dłużej, choć to „dłużej” zwykle nie trwało długo, jako że tutejsze hotele były pośledniej kategorii i nie miały nowoczesnej kanalizacji. Cudzoziemcy, jak zdawały się mówić ich spojrzenia, nie byli nimi zainteresowani. Cudzoziemcy byli obcy i nie mieli nic wspólnego z życiem wyspy.

Llewellyn zwolnił. Do tej pory szedł właściwym sobie, dziarskim krokiem, jakim zwykle chodził po drugiej stronie Atlantyku, krokiem mężczyzny, zmierzającego do konkretnego miejsca i starającego się dotrzeć tam tak prędko, jak to możliwe, a przy tym się nie zmęczyć.

Ale teraz nie było takiego miejsca, do którego by dążył. Ani w sensie duchowym, ani też fizycznym. Był jedynie zwykłym mężczyzną pośród innych zwykłych mężczyzn.

Te myśli sprawiły, że ogarnęła go fala ciepła i radosne poczucie braterstwa. Rzecz prawie niemożliwa do opisanego: specyficzne poczucie więzi, współodczuwania z bliźnimi. Uczucia, które go ogarniały nie wiązały się z żadnym zamiarem czy celem i nie miały absolutnie nic wspólnego z dobroczynnością. Były one przesycone taką miłością i taką życzliwością, które nic nie dają i nic nie biorą, które nie pragną ani wyświadczać dobra, ani go otrzymywać. Ktoś mógłby określić taki stan mianem miłości czystej, miłości nieskończonej satysfakcjonującej, miłości, której w istocie nie ma.

Jakże często, pomyślał Llewellyn, słyszał i wypowiadał te słowa: „Twoja nieskończenie czuła miłość do nas i do wszystkich ludzi”.

W człowieku mogło się zrodzić takie uczucie, choć człowiek nie był w stanie nosić go w sobie długo.

I nagle zobaczył, że to właśnie tu kryła się kompensata, obietnica przyszłości, czego dotychczas nie pojmował. Przez piętnaście czy więcej lat był pozbawiony poczucia braterstwa z innymi ludźmi. Poświęcając się swojej służbie, zajął miejsce z boku, z dala od innych. Ale teraz, kiedy sława pospołu z krańcowym wyczerpaniem minęły, mógł się stać raz jeszcze istotą ludzką pośród innych istot ludzkich. Nie musiał dłużej służyć — mógł żyć.

Llewellyn skręcił w bok, na taras jakiejś kawiarni. Wybrał stolik w głębi, pod ścianą, skąd spoglądając ponad innymi stolikami, mógł obserwować ludzi, przechodzących ulicą, a także światła portu i przybijające do brzegu statki.

Kelner, który przyszedł z jego zamówieniem, zapytał uprzejmym, melodyjnym głosem:

— Pan jest Amerykaninem, prawda?

Tak, przytaknął Llewellyn, jest Amerykaninem.

Na poważnej twarzy kelnera pojawił się uprzejmy uśmiech.

— Mamy tutaj amerykańskie gazety. Przyniosę je panu.

Llewellyn powstrzymał się od odmowy.

Kelner wrócił po chwili i z dumną miną wręczył mu dwa ilustrowane amerykańskie magazyny.

— Dziękuję.

— Nie ma za co, se?or.

Periodyki miały datę sprzed dwóch lat, jak z zadowoleniem zauważył Llewellyn. Wyspa najwyraźniej pozostawała poza aktualnym nurtem światowych wydarzeń. Tutaj przynajmniej, pomyślał, nie powinienem zostać rozpoznany.

Zamknął na chwilę oczy, przypominając sobie przeróżne zdarzenia z ostatnich miesięcy.

„Czy pan nie jest... Ach, to omyłka? Doprawdy, byłem przekonany, że rozpoznaję w panu...”

„Och, proszę mi powiedzieć, to pan jest tym doktorem Knoxem...?”

„Mam przyjemność z panem Llewellynem Knoxem, prawda? Och, proszę mi wierzyć, strasznie zmartwiłam się wiadomością...”

„Wiedziałam, że to musi być pan! Jakie ma pan plany, doktorze Knox? Pańska choroba była tak potworna. Słyszałam, że pisze pan książkę? Można się było tego spodziewać. Dostaniemy w porę stosowną wiadomość?”

I tak dalej, i tak dalej. Na statkach, na lotniskach, w drogich hotelach, w podrzędnych hotelikach, w restauracjach, w pociągach. Rozpoznawany, wypytywany, traktowany ze współczuciem, zagłaskiwany pochlebstwami — tak, to było najtrudniejsze. Kobiety... Kobiety z oczami jak u spaniela. Kobiety ze swoim kultem bohaterów.

No i była oczywiście prasa, a doktor Knox nadal był postacią godną zainteresowania. (Na szczęście to nie powinno trwać długo.) Tak wiele zuchwałych pytań: Jakie są pańskie plany? Czy zechciałby pan powiedzieć...? Czy mogę zacytować, jako wiarygodne, pańskie...? Czy zechciałby pan przekazać nam odpowiednią wiadomość?

Wiadomość, wiadomość, nic, tylko wiadomość! Dla czytelników jakiegoś szczególnego czasopisma, dla kraju, dla mężczyzn i kobiet, dla świata...

Nigdy nie miał żadnej wiadomości do przekazania. Był posłańcem, a to znaczyło coś zupełnie innego. Tylko że nikt nie chciał tego zrozumieć.

Odpoczynek, tak, to było to, czego potrzebował. Potrzebował odpoczynku i czasu. Czasu, żeby objąć umysłem, kim jest i co powinien robić. Czasu, żeby ocenić swoje zalety i wady. Czasu, żeby zacząć żyć od nowa, w wieku czterdziestu lat, i żeby to było jego własne życie. Musi zrozumieć, co stało się z nim, z Llewellynem Knoxem, człowiekiem, mężczyzną, podczas minionych piętnastu lat, kiedy to odgrywał rolę posłańca.

Sącząc kieliszek kolorowego likieru, popatrując na ludzi, światła, port, myślał sobie, że ta wyspa mogłaby być niezłym miejscem do zastanowienia się nad samym sobą. Nie chciał samotności na pustyni, chciał być wśród swych współbraci. Nie był z natury ani samotnikiem, ani ascetą. Nie miał powołania do życia zakonnego. Wszystko, czego potrzebował, to dowiedzieć się, kim i czym jest Llewellyn Knox. A kiedy się już dowie, będzie mógł ruszyć do przodu i zacząć żyć od nowa.

Być może wszystko sprowadzało się do trzech pytań Kanta:

Co wiem?

Czego mogę się spodziewać?

Co powinienem zrobić?

W tej chwili mógłby odpowiedzieć tylko na jedno z powyższych pytań, na drugie.

Wrócił kelner i przystanął przy jego stoliku.

— Podobały się panu magazyny? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Tak. — Llewellyn uśmiechnął się.

— Nie są szczególnie nowe, niestety.

— Nie szkodzi.

— To prawda. To, co było dobre rok temu, jest dobre i teraz. — Kelner był najwyraźniej przekonany o słuszności swego spostrzeżenia. Dodał: — Zszedł pan ze statku? Z Santa Margherita? Stamtąd? — Kiwnął głową w stronę nabrzeża.

— Tak.

— Odplywa z powrotem jutro o dwunastej, prawda?

— Może. Nie wiem. Ja zostaję tutaj.

— Ach, pan jest turystą? Tutaj jest pięknie, tak mówią nasi goście. Zaczeka pan na następny statek? Do czwartku?

— Być może dłużej. Być może zabawię tu jakiś czas.

— Ach, więc prowadzi pan interesy!

— Nie, nie prowadzę.

— Ludzie na ogół nie zostają długo na naszej wyspie, chyba że w interesach. Mówią, że hotele nie są wystarczająco wygodne, no i nie ma tu nic do roboty.

— Czyż nie pracuje się tu tak samo, jak w każdym innym miejscu?

— To odnosi się do nas, stałych mieszkańców. My mamy swoje życie i swoją pracę. Ale nie obcy. Chociaż jest wśród nas kilku cudzoziemców. Na przykład sir Wilding, Anglik. Ma dużą posiadłość ziemską odziedziczoną po dziadku. Osiadł tu na stałe i pisze książki. To bardzo sławny se?or, i bardzo szanowany.

— Mówi pan o sir Richardzie Wildingu? Kelner skinął głową.

— Tak, istotnie. Znamy go od wielu, wielu lat. W czasie wojny nie było go tutaj, ale potem wrócił. Oprócz tego, że pisze, maluje obrazy. Mamy tutaj wielu malarzy. Jest pewien Francuz, który mieszka w domku na górze, w Santa Dolmea. Jest także Anglik z żoną, po drugiej stronie wyspy. Ci są bardzo biedni, a obrazy, które on maluje, są bardzo dziwne. Ona rzeźbi kamienne figurki...

Przerwał i rzucił się pędem do stolika w rogu, przy którym przechylone i oparte o kant stołu krzesło świadczyło o rezerwacji. Chwycił je i odsunął, kłaniając się na powitanie kobiecie, która zajęła miejsce przy stoliku.

Kobieta podziękowała samym uśmiechem. Chyba niczego nie zamówiła, mimo to kelner oddalił się natychmiast. Oparła ręce o blat stolika i zapatrzyła się na port.

Llewellyn obserwował ją z niejakim zaskoczeniem.

Miała na sobie haftowany w kwiaty, szmaragdowy hiszpański szal, jak wiele kobiet spacerujących po ulicy, ale była, w co prawie nie wątpił, albo Amerykanką, albo Angielką. Na tle pozostałych bywalców kawiarni jej jasna karnacja rzuciła się w oczy. Stolik, przy którym usiadła, był do połowy zasłonięty spletanym gąszczem bugenwilli o koralowych kwiatach. Każdy, kto tam siedział, musiał mieć uczucie, że patrzy na świat, a właściwie na światła statków i ich odbicie w wodach portu, z groty porośniętej roślinnością.

Dziewczyna, bo była to bardziej dziewczyna niż kobieta, siedziała w absolutnym spokoju, w pozie biernego oczekiwania. Niebawem kelner przyniósł jej coś do picia. Znów podziękowała jedynie uśmiechem. Ujęła kieliszek w obie dłonie i, nadal wpatrując się w port, od czasu do czasu pociągała łyk.

Llewellyn zauważył na jej palcach pierścionki, pojedynczy szmaragd na jednej ręce i wianuszek brylantów na drugiej. Pod egzotycznym szalem miała na sobie niewyszukaną, czarną sukienkę.

Ani się nie rozglądała, ani nie zwracała uwagi na siedzących wokół niej stałych bywalców kawiarni, ale także żaden z nich nie obrzucił jej więcej niż jednym spojrzeniem. Bez wątplenia była dobrze znaną postacią.

Llewellyn zastanawiał się, kim mogła być. Uważał, że to trochę niezwykle, iż młoda kobieta, zapewne pochodząca z wyższej sfery, siedzi tu sama, bez towarzystwa. Do tego widać było, że nie jest ani trochę skrupowana i że roztacza się wokół niej atmosfera kogoś, kto dobrze czuje się w swojej roli. Może należało oczekiwać, że za chwilę dołączy do niej jej towarzysz.

Czas upływał, a dziewczyna wciąż siedziała samotnie. Od czasu do czasu przyzywała lekkim gestem kelnera i na jej stoliku zjawiała się kolejna porcja alkoholu.

Po godzinie Llewellyn poprosił o rachunek i zaczął zbierać się do wyjścia. Przechodząc obok jej stolika, spojrzął na nią, ale nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Popatrywała to na kieliszek, to na morze, a wyraz jej twarzy pozostawał wciąż taki sam: daleki i nieobecny.

Kiedy Llewellyn opuścił kawiarnię i ruszył wąską uliczką, prowadzącą do hotelu, nagle zapragnął wrócić, rzucić jej jakieś słowo, ostrzec. Lecz niby z jakiego powodu przyszło mu do głowy słowo „ostrzec”? Czyżby sądził, że zagrażało jej jakieś niebezpieczeństwo?

Potrząsnął głową. Nic w tej chwili nie mógłby zrobić, choć jednak był przekonany, że ma rację.

2

Dwa tygodnie od tamtego wieczoru Llewellyn Knox nadal przebywał na wyspie. Jego dni były podobne do siebie jak dwie krople wody. Przechadzał się, odpoczywał, czytał, znów się przechadzał, spał. Wiezorami po kolacji szedł do portu i przesiadywał w jednej z okolicznych kawiarni. Prędko wykreślił czytanie z rozkładu dnia. Nie miał nic do czytania.

Żył wyłącznie samym sobą, i tak, z czego zdawał sobie sprawę, powinno być. Ale nie był sam. Był pośród wielu innych takich jak on, był jednym z nich, nawet jeśli nigdy do nikogo się nie odezwał. Ani nie szukał, ani nie unikał kontaktów. Rozmawiał z wieloma ludźmi, lecz zawsze kończyło się na zdawkowej, kurtuazyjnej wymianie zdań. Jego rozmówcy, ludzie tacy jak on, życzyli mu dobrze, on również życzył im dobrze, lecz żadna ze stron nie chciała się mieszać do cudzego życia.

A jednak miał zrobić pewien wyjątek. Otóż zastanawiał się wciąż nad dziewczyną, która przyszła do kawiarni i usiadła przy stoliku pod bugenwillą. Chociaż odwiedzał różne lokale portowe, najczęściej przesiadywał w tym, do którego trafił pierwszego dnia swego pobytu na wyspie. Tu, raz i drugi, udało mu się zobaczyć młodą Angielkę. Przychodziła zawsze późnym wieczorem, nieodmiennie siadała na tym samym miejscu i, jak zauważył, wychodziła prawie ostatnia. Nie wyglądało na to, by dla kogokolwiek poza nim była postacią zagadkową czy tajemniczą.

Któregoś dnia zagadnął o nią kelnera.

— Czy se?ora, która tam siedzi, jest Angielką?

— Tak, jest Angielką.

— Mieszka na wyspie?

— Tak.

— Nie bywa tutaj każdego wieczoru?

— Bywa, kiedy może.

Ta dziwna odpowiedź dała Llewellynowi wiele do myślenia.

Nie zapytał o nazwisko kobiety. Gdyby kelner chciał, powiedziałby je sam. Powiedziałby mniej więcej tak: „To se?ora taka a taka, mieszka w tym i w tym miejscu”. Ponieważ przemilczał takie informacje, Llewellyn wydedukował, że jest jakiś powód, dla którego nie podaje się jej nazwiska obcym. Zapytał o co innego:

— Co pije?

— Brandy — kelner rzucił krótko i odszedł.

Llewellyn uregulował rachunek. Przepięsnał się między stolikami i z zamiarem włączenia się w wieczorną falę spacerowiczów przystanął chwilę na chodniku.

Wtedy, nieoczekiwanie, okręcił się na pięcie i pomaszerował stanowczym, jak przystało na Anglika, krokiem do rogu sali, w którym stał stolik spowity koralową bugenwillą.

— Czy pozwoli pani — powiedział — abym przysiadł się na chwilę?

ROZDZIAŁ DRUGI

1

Wolno odwróciła wzrok od świateł portu i popatrzyła mu w twarz. Przez krótką chwilę jej oczy nadal były rozszerzone, a spojrzenie dalekie i nieobecne. Zobaczył, że z wysiłkiem wraca do rzeczywistości.

Zauważył także, z nagłym rozczarowaniem, że jest bardzo młoda. Nie tylko w sensie wieku (mogła mieć, jak mniemał, około dwudziestu trzech, dwudziestu czterech lat); chodziło raczej o swego rodzaju niedojrzałość. Było to tak, jak gdyby normalnie ukształtowany pączek róży został zmrożony i nie mógł rozwinąć swoich płatków w całej okazałości. Nie znaczy to, że w miarę upływu czasu miałby uschnąć; po prostu spadłby stulony na ziemię. Ona wygląda, pomyślał Llewellyn, jak zagubione dziecko. Docenił, naturalnie, jej urodę: dziewczyna była po prostu śliczna. Mężczyźni z pewnością zawsze to zauważali i niewątpliwie byli skory służyć jej pomocą i opieką lub stawać w jej obronie. Ktoś mógłby powiedzieć, że kości, które wyrzucił za nią los, miały same szóstki. A jednak siedziała tu, wpatrując się w bezkresną dal, a jednak niewątpliwie zagubiła się gdzieś na prostej i pełnej szczęścia ścieżce swego życia.

Intensywnie niebieskie oczy o rozszerzonych źrenicach taksowały go powoli.

— Och...? — zaczęła trochę niepewnie, lecz widząc, że mężczyzna czeka na odpowiedź, uśmiechnęła się i dodała: — Proszę usiąść.

Odstawił krzesło i usiadł.

— Jest pan Amerykaninem?

— Tak.

— Zszedł pan ze statku?

Znów powędrowała spojrzeniem ku portowi. Na nabrzeżu, jak zwykle, stał jakiś statek.

— Zszedłem, lecz nie z tego. Jestem już tutaj tydzień czy dwa.

— Większość ludzi — powiedziała — nie zostaje na wyspie tak długo.

W tym stwierdzeniu nie kryła się żadna ciekawość. Llewellyn skinął na kelnera i zamówił curaçao.

— Czy poprosić o coś dla pani?

— Dziękuję — odparła. — On wie, co piję.

Kelner twierdząco skinął głową i zniknął. Przez parę chwil oboje milczeli.

— Przypuszczam — powiedziała w końcu dziewczyna — że czuje się pan osamotniony. Tu nie ma wielu Amerykanów czy Anglików.

Pomyślał, że w ten sposób tłumaczy sobie fakt, iż dosiadł się do jej stolika.

— Nie — odparł bez namysłu. — Bynajmniej tak się nie czuję. A nawet cieszy mnie moja samotność.

— Och, tak czasami bywa z ludźmi. Żarliwość, z jaką to powiedziała, zaskoczyła go.

— Rozumiem — przyznał. — To dlatego pani tu przychodzi?

Skinęła głową.

— Aby być sama, tak? A ja się zjawiam i psuję nastrój chwili, prawda?

— Nie — odpowiedziała. — Pan się nie liczy. Pan jest kimś obcym.

— Rozumiem — powtórzył raz jeszcze.

— Nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

— A chciałaby pani wiedzieć?

— Nie. Wolę, żeby pan się nie przedstawiał. Ja też przemilczę swoje nazwisko. —
 Dodała z powątpiewaniem: — Choć, być może, ktoś już je panu wymienił. Każdy w tej kawiarni zna mnie, to oczywiste.

— Nie, oni chyba sądzą, że woli pani zachować anonimowość.

— Słusznie. Oni mają, i to wszyscy, taki wspaniały sposób bycia. Nie wyuczony, lecz wrodzony. Zanim znalazłam się tutaj, nigdy bym nie przypuszczała, że naturalna grzeczność jest tak niezaprzeczalnie cudowną rzeczą.

Kelner przyniósł alkohol dla obojga. Llewellyn od razu mu zapłacił.

Zerknął do kieliszka, który dziewczyna obejmowała dłońmi.

— Brandy?

— Tak. Brandy dobrze mi robi.

— Dzięki niej czuje się pani sama? To o to chodzi, tak?

— Tak. Pomaga mi czuć się wolną.

— A nie jest pani?

— Czy ktokolwiek może być wolny?

Zastanowił się. W jej słowach nie było goryczy, jaka nieodmiennie towarzyszy tego typu pytaniom czy stwierdzeniom. Zapytała ot tak sobie.

— Los każdego człowieka przytłacza go swym ciężarem niczym kamień młyński. Czy o to chodzi?

— Nie, nie sędzę. Przynajmniej niezupełnie. Powiedziałabym, że los każdego człowieka jest wykreślony na podobieństwo kursu okrętu i że należy się go trzymać, tak jak to robi okręt, i że wszystko jest w porządku, dopóki się to robi. Ale ja czuję się jak okręt, który zupełnie niespodziewanie zszedł z właściwego kursu. A czuć się tak, to znaczy być zagubionym. Taki człowiek nie umie określić swojego położenia i jest zdany na łaskę morza i wiatru, i wcale nie jest wolny, wprost przeciwnie, jest w uścisku czegoś, czego nie potrafi objąć rozumem, jest uwikłany i spętany. — Dodała: — Plotę bzdury. Pewnie przez brandy.

— Po części tak, bez wątpienia — zgodził się. — Dokąd, dzięki niej, pani odpływa?

— Och, daleko stąd... po prostu daleko...

— Od czego tak naprawdę chce pani uciec?

— Od niczego. Absolutnie od niczego. To tylko odzywa się we mnie niegodziwa część mojej duszy. Należę do szczęśliwców. Mam wszystko. — Powtórzyła posępnie: — Wszystko... Co nie znaczy, że nigdy nie miałam zmartwień ani że nie poniosłam żadnych strat, ale nie o to chodzi. Nie wzdycham ani nie użalam się nad przeszłością. Nie wskrzeszam jej ani nie przeżywam wciąż na nowo. Nie chcę zawrócić, choć nie chcę też iść do przodu. Chcę jedynie gdzieś odejść. Siedzę tutaj i piję brandy, ale w rzeczywistości znajduję się daleko za portem, coraz dalej i dalej, w jakimś nierealnym miejscu, którego tak naprawdę wcale nie ma. To coś na kształt snów o lataniu, jakie miewają dzieci: brak stałej substancji, ciężaru, sama lekkość, szybowanie w powietrzu.

Żrenice jej oczu rozszerzyły się, a spojrzenie stało się dalekie i nieobecne. Llewellyn siedział bez słowa i obserwował ją.

Niebawem przyszła do siebie. Zadrżała lekko.

— Przepraszam.

— Proszę pozostać tam, gdzie pani jest. Już wychodzę. — Podniósł się. — Czy pozwoli pani, bym od czasu do czasu dosiadł się i porozmawiał? Jeśli nie, proszę mi to wprost powiedzieć. Potrafię panią zrozumieć.

— Ależ nie, ucieszę się, kiedy pan przyjdzie. Dobranoc. Jeszcze trochę zostanę. Widzi pan, nie zawsze mogę wyjść z domu.

2

Mniej więcej w tydzień później znów rozmawiali ze sobą.

— Cieszę się, że pana widzę — powiedziała, ledwo zdążył usiąść przy stoliku. — Bałam się, że być może już pan wyjechał.

— Na razie nigdzie się nie wybieram. Nie nadszedł właściwy czas.

— Dokąd pan stąd wyruszy?

— Nie wiem.

— Czy to znaczy, że czeka pan na jakieś rozkazy?

— Można by tak powiedzieć.

— Ostatnim razem — zaczęła powoli — nasza rozmowa obracała się wokół mnie. O panu w ogóle nie rozmawialiśmy. Dlaczego pan tu przybył? Na tę wyspę? Czy był ku temu jakiś powód?

— Być może taki sam, jaki skłania panią do picia brandy: odejść gdzieś. W moim przypadku od ludzi.

— Od ludzi w ogóle czy tylko od niektórych?

— Nie, nie od ludzi w ogóle. Mam na myśli jedynie tych, którzy mnie znają, a raczej znali takim, jakim byłem.

— Czy... czy coś się w pana życiu zdarzyło?

— Owszem. Pochyliła się do przodu.

— Coś takiego jak ze mną? Coś, co zepchnęło pana z raz obranego kursu?

Potrząsnął głową niemal gwałtownie.

— Nie, to nie tak. To, co mi się zdarzyło, było wypadkową mojego życia. Miało swoją wagę i cel.

— Ale to, co pan powiedział o ludziach...

— Widzi pani, ludzie nie rozumieją niczego. Współczują mi, lecz chcą, abym wrócił. Miałbym wrócić do czegoś, co się skończyło?

Zakłopotana ściągnęła brwi.

— Nie bardzo potrafię...

— Cóż, miałem pracę — powiedział z uśmiechem — a teraz ją straciłem.

— Czy to była ważna praca?

— Nie wiem. — Zamyślił się. — Choć przypuszczam, że tak. Ale czasami trudno oszacować, co jest ważne. Człowiek nie powinien dowierzać własnej wartości. Ona jest zawsze względna.

— A więc rzucił pan pracę, tak?

— Nie. — Jego twarz znów rozbłysła w uśmiechu. — To mnie wyrzucono.

— Och — powiedziała przepraszająco. — Miał pan coś przeciwko temu?

— O tak, miałem. Każdy by miał. Ale teraz już po wszystkim.

Zamyśliła się nad pustym kieliszkiem. Kiedy uniosła głowę, stojący od kilku chwil przy stoliku kelner zamienił pusty na pełny.

Pociągnęła kilka łyków i powiedziała:

— Mogę o coś zapytać?

— Proszę bardzo.

— Jak pan sądzi, czy szczęście wiele znaczy?

— Bardzo trudno dać na takie pytanie jednoznaczną odpowiedź. Gdybym rzekł, że szczęście stanowi o życiu i śmierci człowieka i że jednocześnie ogóle nic nie znaczy, pomyślałaby pani, że jestem szalony.

— Nie mógłby pan wyrazić tego nieco jaśniej?

— Widzi pani, szczęście można porównać do miłości fizycznej. Jest bardzo „ważna, choć z drugiej strony nic nie znaczy. Czy pani jest mężatką?

Zauważył na jej palcu cienką, złotą obrączkę.

— Jestem, i to po raz drugi.

— Kochała pani swego męża?

Zapytał w liczbie pojedynczej, a ona odpowiedziała wprost, nie uciekając się do wykrętów:

— Kochałam go bardziej niż kogokolwiek na świecie.

— Kiedy patrzy pani teraz na tamto wspólne życie, co przede wszystkim przypomina się pani? Pytam o coś, o czym chciałaby pani zawsze pamiętać. Czy to była pierwsza noc we wspólnym łóżku, czy coś zupełnie innego?

Roześmiała się nieoczekiwanie i wpadła w rozbawienie.

— Jego kapelusz — powiedziała.

— Kapelusz?

— Tak. To był nasz miesiąc miodowy. Kapelusz odfrunął, a wtedy on kupił miejscowy, taką śmieszna rzecz ze słomy. Powiedziałam, że to „coś” bardziej pasowałoby na moją

głowę. Włożyłam zatem to coś, a on włożył mój kapelusz (jeden z tych bzdurnych stroików, które kobiety tak chętnie noszą), popatrzyliśmy na siebie i wybuchliśmy niepohamowanym śmiechem. Mój mąż powiedział, że wszyscy wycieczkowicze zamieniają się kapeluszami i dodał: „O Boże, ależ ja cię kocham...” — Jej głos się załamał. — Nigdy tego nie zapomnę.

— Widzi pani? — rzekł Llewellyn. — Są takie chwile pełne magii, chwile przedziwne, niewypowiedziane słodkie. Nie mają nic wspólnego z miłością fizyczną. A przecież jeśli małżonkom nie wychodzi ta właśnie miłość, małżeństwo staje się kompletną ruiną. To samo można by powiedzieć o jedzeniu: jedzenie jest ważne, bez niego nie da się żyć, lecz tak długo, jak długo jest się sytym, nie zaprzęta niczych myśli. Szczęście, jak jedzenie, podtrzymuje życie, stymuluje je, jest także wielkim nauczycielem, ale nie stanowi celu samego w sobie i samo w sobie nie daje ostatecznej satysfakcji. — Dodał ciszej: — Czy szczęście jest tym, czego pani pragnie?

— Nie wiem. Powinam być szczęśliwa. Mam wszystko, co może uczynić człowieka szczęśliwym.

— Ale chce pani czegoś więcej, czyż nie mam racji?

— Chcę mniej — odparła pośpiesznie. — Chcę od życia mniej. Mam za dużo, wszystkiego mam za dużo. — Dodała, dość niespodziewanie: — To wszystko mnie przygniata.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu.

— Gdybym wiedziała — rzekła wreszcie — gdybym przynajmniej wiedziała, czego tak naprawdę chcę. A ja wciąż zachowuję się idiotycznie i wciąż wszystkiemu się sprzeciwiam.

— Lecz przecież pani wie, czego chce: pani chce uciec. Więc dlaczego pani nie ucieka?

— Dlaczego?

— No właśnie. Co panią zatrzymuje? Pieniądze?

— Nie, na pewno nie one. Mam pieniądze, może nie mnóstwo, lecz wystarczająco dużo.

— A zatem o co chodzi?

— O wiele rzeczy. Pan nie może tego zrozumieć. — Jej usta wygięły się w nagłym ironicznym uśmiechu. — Przypominają mi się trzy siostry Czechowa, którym tylko jedno było w głowie: wyrwać się do Moskwy. Nigdy tam nie były i nigdy nie miały pojechać, chociaż, jak przypuszczam, mogłyby wsiąść do pierwszego przejeżdżającego przez ich stacyjkę pociągu. Podobnie i ja mogłabym kupić bilet i odpłynąć stąd jeszcze tej nocy.

— Więc dlaczego nie? Obserwował ją.

— Pan myśli, że zna odpowiedź. Potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie znam. Próbuję jedynie pomóc pani ją znaleźć.

— Możliwe, że jestem jak tamte trzy siostry. Możliwe, że tak naprawdę wcale nie chcę odejść.

— Możliwe.

— Możliwe, że ucieczka jest jedynie jakimś pomysłem, który mnie bawi.

— Możliwe. Wszyscy uciekamy w świat fantazji, co pozwala nam łatwiej znosić życie.

— A moją ułudą jest ucieczka, tak pan sądzi?

— Nie wiem. To pani powinna wiedzieć.

— Nie wiem niczego. Niczego w ogóle. Los się do mnie zawsze uśmiechał, ale ja postąpiłam źle. A kiedy się już raz postąpi źle, nie ma odwrotu. Mam rację?

— Nie wiem.

— Czy musi pan wciąż powtarzać to swoje „nie wiem”?

— Przykro mi, lecz taka jest prawda. Prosi mnie pani o wyciągnięcie wniosków z czegoś, o czym nie mam pojęcia.

— Chodzi o generalne zasady.

— Nie istnieje coś, co się nazywa generalną zasadą. — Chce pan powiedzieć — popatrzyła na niego uważnie — że nie istnieje coś, co określa się mianem absolutnego dobra i zła?

— Bynajmniej. To jasne, że jest absolutne dobro i absolutne zło, ale oba pojęcia wykraczają na tyle daleko poza nasze poznanie i zrozumienie, że możemy mieć o nich jedynie mgliste wyobrażenie.

— Lecz przecież każdy wie, co jest dobre. — Tak, dobra uczą zwykłe reguły zachowania.

Czy, idąc dalej, dobro wyczuwa się instynktownie. A mimo to do poznania go jest jeszcze daleka droga. Ludzie byli paleni na stosach nie przez sadystów czy zbirów, lecz przez sumiennych i szlachetnych ludzi, którzy wierzyli w słuszność swego postępowania. Proszę przeczytać sprawozdania z kilku procesów sądowych w starożytnej Grecji, choćby o właścicielu, który nie zgadzał się na torturowanie swoich niewolników, jak to było w powszechnym zwyczaju, aż do wydobycia z nich prawdy. Takiego człowieka postrzegano jako kogoś, kto świadomie utrudnia zbadanie całej sprawy. Był taki gorliwy, bogobożny

pastor w Stanach, który zakatował na śmierć swego ukochanego trzyletniego syna tylko dlatego, że malec nie chciał się modlić.

— To straszne!

— Tak, to prawda. Na szczęście czas zmienia nasze poglądy.

— Zatem cóż możemy zrobić?

Pochyliła ku niemu uroczą twarz, na której malował się wyraz zdezorientowania.

— Trzeba z pokorą poddać się losów. No i trzeba mieć nadzieję.

— Poddać się losowi, zgoda, lecz mój los jest w jakiś sposób wypaczony. — Zaśmiała się. — To jest tak, jak przy robieniu swetra na drutach, kiedy wiele rzędów wcześniej zgubi się jedno oczko.

— Nic mi o tym nie wiadomo — powiedział. — Nigdy nie robiłem na drutach.

— Dlaczego nie chce pan wyrazić swej opinii o tak, po prostu?

— Byłaby to opinia dla samej opinii.

— No więc?

— No i mógłbym wyrzeć na panią jakiś wpływ... Zdaje mi się, że pani łatwo poddaje się wpływom innych.

Jej twarz znów spochmurniała.

— Tak. Może właśnie w tym kryje się zło. Odczekał kilka chwil, a potem zapytał rzeczowym tonem:

— Umiąaby pani określić to zło?

— Nie. — Popatrzyła na niego z rozpaczą w oczach. — Nie. Mam wszystko, czego może pragnąć kobieta.

— Znów pani mówi ogólnikami. Pani nie jest jakąś kobietą. Pani to pani. Czy pani ma wszystko, czego pragnie?

— Tak, tak, tak! Miłość i dobroć, pieniądze i luksus, piękne otoczenie i towarzystwo, po prostu wszystko. Wszystko, co sama wybrałabym dla siebie, gdybym stanęła przed podobnym wyborem. Nie, tu chodzi o mnie. To ze mną stało się coś złego. — Popatrzyła na niego wyzywająco. Nie wyglądała na zmartwioną, kiedy dodała trzeźwo: — Tak. Coś jest ze mną nie w porządku, to oczywiste.

3

Odsunęła kieliszek.

— Czy mogę dalej mówić o sobie?

— Jak pani sobie życzy.

— To, być może, pozwoliłoby mi dojść do tego miejsca czy tego momentu mego życia, w którym wszystko zaczęło się psuć. Myślę, że głośno wypowiedziane słowa mogą się okazać pomocne.

— Tak, być może.

— Wszystko było miłe i zwyczajne. Mówię o swoim życiu. Szczęśliwe dzieciństwo, kochający dom. Posłano mnie do szkoły. Robiłam zwykłe rzeczy. Nie było nikogo, kto by mnie nie lubił. Być może, gdyby znalazł się ktoś taki, wyszłoby mi to na zdrowie. Być może byłam zepsutym dzieckiem, chociaż nie sądzę. Po powrocie ze szkoły grałam w tenisa, chodziłam na tańce, spotykałam się z młodymi ludźmi i zastanawiałam się, jaką podjąć pracę. To wszystko mieści się, jak sądzę, w normie.

— Tak. I brzmi całkiem jednoznacznie.

— A potem zakochałam się i wyszłam za męża. — Jej głos nabrał nieco innego brzmienia. — I wiodłam szczęśliwe życie... Nie. — Zamyśliła się. — Kochałam go, lecz bardzo często byłam nieszczęśliwa. — Dodała: — To dlatego pytałam pana, czy szczęście istotnie coś znaczy. — Przerwała, by po chwili ciągnąć dalej: — Tak trudno jest to wyjaśnić. Nie byłam bardzo szczęśliwa, lecz w jakiś niezrozumiały sposób wszystko miało określony porządek: to był mój wolny wybór, miałam to, czego chciałam. Nie weszłam w ten związek z zamkniętymi oczami. Naturalnie, idealizowałam swego męża tak jak każda inna zakochana istota. Lecz teraz przypominam sobie pewną chwilę: budzę się bardzo wcześnie, około piątej, tuż przed świtem. To taka pora na chłodną, wyważoną szczerłość wobec samej siebie, prawda? I widzę, zdaję sobie sprawę, co może przynieść przyszłość. Widzę, że nie zanoszę się na to, bym była prawdziwie szczęśliwa, widzę, że mój wybrany ukrywa egoizm i bezwzględność pod maską beztroski i wdzięku, lecz widzę także, że jest czarujący, wesoły, niefrasobliwy i że ja go kocham, że kocham tylko jego i że raczej wolałabym być nieszczęśliwa w małżeństwie z nim, niż wieść drobnomieszczański, spokojny żywot bez niego. Myślę zatem, że istnieje szansa, by przy odrobinie szczęścia i zachowaniu rozsądku udało mi się. Akceptuję fakt, że kocham go bardziej, niż on kiedykolwiek mógłby pokochać mnie, i że nie powinnam nigdy prosić go o więcej, niż chciałby mi dać.

Znów przerwała i znów mówiła dalej:

— Oczywiście, nie wyłożyłam sobie tego tak dokładnie jak w tej chwili. Teraz staram się przedstawić panu stan moich uczuć z tamtego okresu. Ale nie mijam się z prawdą. Istotnie uważałam, że on jest cudowny i przypisywałam mu różne szlachetne cechy, których tak naprawdę wcale nie posiadał. Lecz miałam swoją chwilę; chwilę, kiedy człowiek widzi, jakie czekają go kłamstwa, i kiedy może zawrócić albo iść dalej. Myślałam, i owszem, w tych wczesnych, chłodnych minutach świtu, doskonale zdając sobie sprawę, jak trudne i przerażające jest moje położenie, myślałam o zawróceniu z drogi. Lecz zamiast tego poszłam dalej.

— I żałuje pani...? — zapytał cicho.

— Nie, absolutnie nie! — Była wzburzona. — Nigdy nie żałowałam. Każda minuta wspólnego życia była tego warta. Żałuję jednego: tego, że on umarł. — Jej oczy ożywiły się. Kobieta, która nachylała się ku niemu nad stolikiem kawiarnianym, przestała być istotą bezwładnie dryfującą ku zaczarowanej krainie; była żywa, przejmująco żywa. — Umarł za prędko — powiedziała. — Jak to powiada Makbet? „Powinna umrzeć później”. Tak właśnie czuję. Powinien umrzeć później.

Potrząsnął głową.

— Wszyscy tak czujemy w chwili czyjejś śmierci.

— Naprawdę? Nie jestem pewna. Wiem, że był chory. Zdaję sobie sprawę, że byłby kaleką do końca życia. Znosił swoją chorobę źle i nienawidził życia, za swoje nieszczęście wyzywał się na wszystkich, a zwłaszcza na mnie. Ale nie chciał umierać. Na przekór wszystkiemu nie chciał umierać. To dlatego tak niezmiernie mi go żal. Miał w sobie wolę życia. Niechby było ono okrojone do granic możliwości, a i tak cieszyłby się nim. Och! — Uniosła ręce w gwałtownym geście. — Nienawidzę Boga, bo pozwolił mu umrzeć. — Zamilkła i popatrzyła na niego niepewnie: — Nie powinnam tak mówić. Nie powinnam mówić, że nienawidzę Boga.

— Lepiej nienawidzić Boga niż towarzysza życia. Boga nie można zranić — powiedział spokojnie.

— Nie. Ale Bóg może zranić człowieka.

— Och, nie, moja droga. To my ranimy się nawzajem i ranimy samych siebie.

— A z Boga robimy kozła ofiarnego, tak?

— On zawsze nim był. To on niesie na swoich barkach pani brzemię, brzemię pani buntu, pani nienawiści i miłości.

ROZDZIAŁ TRZECI

1

Llewellyn polubił długie popołudniowe spacerunki. Zaczynał od gwałtownie zakręcającej uliczki, wyprowadzającej go zakosami powoli do góry, ponad miasto i zatokę, które wyglądały dziwnie nierealnie w ciszy i bezruchu popołudnia. To była pora sjeisty i ani nabrzeże, ani wyłaniające się tu i tam w dole ulice i drogi nie cieszyły oka żadnym kolorowym punkcikiem. Wysoko na wzgórzach spotykał jedynie pastuchów strzegących kóz, małych chłopców, którzy wędrowali z miejsca na miejsce w słońcu, podśpiewując coś pod nosem lub grali w kamyki. Nic nie zakłócało powagi i spokoju takich popołudni. Chłopcy byli przyzwyczajeni do cudzoziemców, którzy przechadzali się w rozpiętych pod szyją koszulach. Ci obcy przybysze, o czym mali pastuszkowie dobrze wiedzieli, byli albo pisarzami, albo malarzami. Chociaż nie było ich wielu, bynajmniej nie stanowili nowości. Ponieważ Llewellyn nie miał ze sobą ani płótna, ani sztalug, ani nawet szkicownika, brali go za pisarza i kłaniali się grzecznie na powitanie.

Llewellyn odpowiadał im i szedł dalej.

Nie miał przed sobą żadnego celu, a widoki, które podziwiał, nie miały dla niego szczególnego znaczenia. To w nim samym było coś, co przykuwało jego uwagę, jeszcze nie rozpoznane i niejasne, lecz powoli nabierające kształtu i formy.

Jego ścieżka prowadziła przez gaj bananowców. Kiedyś pośród zielonego bezkresu został porażony myślą, jak mało obchodzi go cel czy kierunek marszu. Nie miał pojęcia, jak rozległa jest ta plantacja, albo gdzie i kiedy się z niej wynurzy. Równie dobrze mógł to być wąski pas gruntu, jak i połączenie ziemi, rozciągające się na mile. Jemu pozostawało jedynie iść dalej. W końcu i tak dojdzie tam, gdzie doprowadzi go ścieżka. To miejsce już istniało, już było ustalone. Nie do niego należało decydowanie o nim. On mógł jedynie decydować o własnym marszu: jego stopy, przemierzające ścieżkę, podporządkowywały się jego woli. Mógł zawrócić albo iść dalej. Nie zależał od nikogo, był wolny. Wędrował z nadzieją na przyszłość...

Raptem, nieoczekiwanie dla samego siebie, wyszedł z zielonej ciszy na nagi stok wzgórza. Trochę poniżej, z boku ścieżki, która zakosami biegła na dół, siedział przy sztalugach jakiś mężczyzna.

Był zwrócony rylem do Llewellyna, który widział jedynie zarys mocnych ramion pod cienką, żółtą koszulą i zsunięty na tył głowy podniszczony, szerokoskrzydły filcowy kapelusz.

Llewellyn zwolnił kroku, zszedł ze ścieżki, przystanął i z prawdziwym zainteresowaniem przyjrzał się powstającemu na płótnie obrazowi. Ostatecznie, jeśli malarz usadowił się przy czymś, co wyraźnie było często uczęszczaną ścieżką, nie mógł mieć za złe, że ktoś obserwuje jego zmagania z pędzlem.

Obraz, malowany w ostrych kolorach, był efektowny, acz niezbyt dopracowany w szczegółach. Dobry kawałek rzemiosła, pomyślał Llewellyn, nie zaszkodziłoby jednak dodać mu trochę głębi.

Malarz odwrócił głowę i uśmiechnął się.

— Nie jest to mój zawód — powiedział pogodnie. — Ot, zwykłe hobby.

Był mężczyzną między czterdziestką a pięćdziesiątką, o ciemnych włosach ledwo dotkniętych siwizną. Był przystojny, lecz Llewellyn zdawał sobie sprawę, że o jego osobowości decyduje nie wygląd zewnętrzny, lecz urok i wewnętrzny magnetyzm. Biło od niego ciepło, jakaś promieniejąca łagodnością żywotność, dzięki której ten człowiek raz spotkany, niełatwo dawał się zapomnieć.

— To nadzwyczajne — stwierdził malarz z zadumą w głosie — jaką przyjemność może sprawiać wyciskanie soczystych, różnobarwnych farb na paletę i chlapanie nimi po całym płótnie! Czasami człowiek wie, do czego zmierza, a czasami nie, ale za każdym razem jednakowo się cieszy. — Rzucił do tyłu jedno krótkie spojrzenie. — Pan nie jest malarzem?

— Nie. Zatrzymałem się tu przypadkowo. — Rozumiem. — Pociągnął znowu pędzlem, tym razem była to całkiem niespodziewana różowa smuga na błękitie malowanego morza. — Zabawne — rzekł. — Dobrze wygląda. Tak też myślałem. I czym to wytłumaczyć?!

Rzucił pędzel na paletę, westchnął, przesunął swój zniszczony kapelusz jeszcze bardziej do tyłu i zrobił pół obrotu, aby lepiej widzieć swego towarzysza. W jego nagle zwężonych oczach pojawił się wyraz zainteresowania.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział — lecz czy mam przyjemność z doktorem Llewellynem Knoxem?

Po chwilowym zmaganiu się z sobą Llewellyn powiedział bezbarwnym głosem:

— Istotnie.

Chwilę później uświadomił sobie natychmiastową zmianę w zachowaniu swego rozmówcy.

— Ależ ze mnie głupiec — rzekł tamten. — Miał pan kłopoty ze zdrowiem, prawda? Przypuszczam, że ta wyspa to pańskie schronienie przed ludźmi. W porządku, nie ma powodu do zmartwienia. Amerykanie rzadko tu zagląдают, a tutejsi mieszkańcy interesują się wyłącznie własnymi kuzynami i kuzynami kuzynów, ich narodzinami, pogrzebami i ślubami, no a ja się nie liczę. Ja tu po prostu żyję. — Obrzucił przybysza krótkim spojrzeniem. — Zaskakuje to pana?

— Tak, owszem.

— Dlaczego?

— Życ tutaj? Nie przyszłoby mi na myśl, że życie na tej wyspie może kogoś cieszyć.

— Ma pan rację, oczywiście. Początkowo nie zamierzałem zostać tu na stałe. Wujeczny dziadek zostawił mi w spadku wielką posiadłość. Była w dość złym stanie, kiedy się nią zająłem, po czym stopniowo zaczęła przynosić dochody. Interesujące. — Dodał: — Nazywam się Richard Wilding.

Llewellyn znał to nazwisko; podróżnik, pisarz, człowiek o różnorodnych zainteresowaniach i rozległej wiedzy z zakresu takich dziedzin, jak archeologia, antropologia i entomologia. Mówiono, że nie ma takiej gałęzi nauki, na temat której sir Richard Wilding nie mógłby czegoś istotnego powiedzieć, zarazem jednak nigdy nie uważał się za profesjonalistę. Jedną z jego licznych cnot była bowiem skromność.

— Naturalnie słyszałem o panu — odrzekł Llewellyn. — I przyznam, że z przyjemnością przeczytałem kilka pańskich książek.

— A ja, doktorze Knox, uczestniczyłem w pańskich spotkaniach, dokładnie mówiąc, w jednym; w londyńskiej „Olimpii” półtora roku temu.

Llewellyn spojrzał na niego z niejakim zaskoczeniem.

— Dziwi to pana? — spytał Wilding, uśmiechając się żartobliwie.

— Szczerze mówiąc, tak. Ciekawe, po co pan tam przyszedł.

— Cóż, powiem wprost: chyba po to, aby sobie pokpić.

— To mnie nie zaskakuje.

— Ani nie wyprowadza, jak widzę, z równowagi.

— A powinno?

— Och, jest pan zwykłym śmiertelnikiem, no i wierzy pan w swoje powołanie, a przynajmniej tak przypuszczam.

Llewellyn uśmiechnął się lekko.

— Istotnie, wolno panu tak przypuszczać.

Wilding milczał przez chwilę. W końcu odezwał się z rozbrajającą szczerością:

— Przyznam, że poznanie kogoś takiego jak pan, to dla mnie fantastyczna sprawa. Na zakończenie tamtego wieczoru niczego tak bardzo nie pragnąłem, jak spotkania z panem.

— Chyba nie nastęczało to zbyt wielkich trudności?

— W pewnym sensie nie. To należało do pańskich obowiązków. Ale ja chciałem porozmawiać z panem w innych okolicznościach, a mianowicie w takich, by wolno było panu posłać mnie do wszystkich diabłów.

Llewellyn znów się uśmiechnął.

— Świetnie. Oto mamy odpowiednie okoliczności. Nie krępują mnie już żadne zobowiązania.

Wilding zmierzył go badawczym spojrzeniem.

— Zastanawiam się, czy nawiązuje pan do zdrowia, czy do swoich zapatrywań.

— Powiedziałbym raczej, że do odpowiedzialności.

— Hm, nie bardzo pojmuję. Ten drugi nic nie odpowiedział.

Wilding zajął się pakowaniem przyborów malarskich.

— Chciałbym wyjaśnić panu, jak to się stało, że usłyszałem o pańskim odczycie w „Olimpii”. Pozwolę sobie na szczerłość, ponieważ nie sądzę, by był pan człowiekiem, który obraża się, słysząc słowa prawdy, zwłaszcza że nie mam zamiaru pana obrazić. Bardzo mi się nie podobały i nadal nie podobają te wszystkie zgromadzenia w „Olimpii”. Nie podoba mi się bardziej, niż potrafię wyrazić, idea mszy, nagłaśnianej przez megafon. To obraża, wszystkie moje zmysły. — Widząc na twarzy Llewellyna wyraz rozbawienia, dodał: — Czy wydają się panu bardzo angielski i śmieszny?

— Nie, każdemu wolno mieć swój punkt widzenia.

— Poszedłem tam, jak to już panu powiedziałem, dla kpin. Spodziewałem się, że zostaną znieważone moje co bardziej subtelne uczucia.

— I został pan aż do błogosławieństwa? — Pytanie było bardziej żartobliwe niż poważne.

— Nie. Ogółem wzięwszy, moje poglądy nie uległy zmianie. Nie podoba mi się sprowadzanie Boga na grunt komercyjny.

— Nawet przez komiwojażerów w epoce komercji? Czyż nie jest to przynoszenie Bogu plonów z naszych pól, tyle że w innej formie?

— To prawda, lecz nie o tym mówię. Wie pan, co mnie najbardziej uderzyło? Czego się nie spodziewałem? Pańskiej osobliwej szczerości.

Llewellyn spojrział na niego z niekłamanym zaskoczeniem.

— Sądziłbym raczej, że moja szczerość jest czymś całkowicie naturalnym.

— Teraz, kiedy pana poznałem, tak. Lecz wówczas mogłem wziąć to za zwykłe awanturnictwo, bezczelne i dobrze płatne awanturnictwo. Są awanturnicy polityczni, dlaczego nie miałyby być awanturników religijnych? Założywszy, że ma pan dar przekonywania, a na pewno tak jest, wyobrażam sobie, że doskonale poradziłby pan sobie w takiej roli, wystarczyło po prostu zdobyć sobie szeroką publiczność albo mieć kogoś, kto by to za pana zrobił. To ostatnie, jak przypuszczam?

To było pół pytanie, pół stwierdzenie.

— Tak, zdobyłem szeroką publiczność — spokojnie odparł Llewellyn.

— Ale poszły na to duże pieniądze?

— Nie przeczę.

— I to właśnie mnie intryguje. To znaczy intrygowało po tym, kiedy zobaczyłem pana i usłyszałem. Jak mógł pan przystać na coś takiego? — Zarzucił na ramię swój sprzęt malarski. — Czy nie zjedlibyśmy kiedyś razem kolacji? Jestem ogromnie zainteresowany rozmową z panem. Tam poniżej widać mój dom. Biała willa z zielonymi okiennicami. Jeśli nie ma pan ochoty, proszę odmówić wprost. Nie musi się pan uciekać do wykrętów.

Llewellyn zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

— Przyjdę z wielką przyjemnością — rzekł wreszcie.

— To świetnie. Dzisiaj wieczorem?

— Dziękuję.

— O dziewiątej. Proszę nie zawieść.

Ruszył w dół zbocza wielkimi krokami. Llewellyn patrzył za nim jeszcze przez chwilę, po czym postanowił jeszcze trochę pospacerować.

— A więc wybiera się pan do domu se?ora sir Wildinga? — Woźnica rozklekotanej Wiktorii* nie ukrywał ciekawości. Zniszczony wehikuł przyozdabiał wesoły szlaczek malowanych kwiatów, a zaprzężony do niego koń był wystrojony w naszyjnik z niebieskich paciorków. Koń, powóz i woźnica sprawiali wrażenie jednakowo pogodnych i wesołych. — Sławny se?or sir Wilding to bardzo życzliwy człowiek — mówił dalej. — On tu nie jest obcy. Jest jednym z nas. Don Estobal, właściciel willi i ziemi, o, ten to był stary, bardzo stary. Pozwalał się okradać, całymi dniami czytał książki i wciąż dostawał nowe. W willi są pokoje zastawione książkami do samego sufitu. To nie do wiary, żeby człowieka tak ciągnęło do książek. No ale zmarło mu się, don Estobalowi. Stary umiera, a my tu wszyscy zachodzimy w głowę, czy jego willa zostanie sprzedana. Wtedy przyjeżdża sir Wilding. Znaliśmy go od chłopca, bo siostra don Estobala wyszła za Anglika, a jej dzieci i dzieci jej dzieci spędzały tutaj wakacje. Ale po śmierci don Estobala posiadłość przechodzi na sir Wildinga i on przyjeżdża tutaj, aby ją odziedziczyć, i od samego początku zaczyna zaprowadzać porządku, i wydaje na to dużo pieniędzy. Ale potem przychodzi wojna, a nasz senor zabiera się stąd na wiele lat, tylko że przed wyjazdem ma jedno w głowie: jak go nie zabiją, to wróci na wyspę, nie inaczej. No i postawił na swoim. Już dwa lata, jak wrócił, do tego z nową żoną, i jak osiadł tu na stałe.

— A zatem żenił się dwa razy?

— Tak. — Woźnica konfidencyjnie zniżył głos. — Pierwsza żona była złą kobietą. Nie powiem, nie zbywało jej na urodzie, ale wciąż go zdradzała z innymi mężczyznami, nawet tutaj, na wyspie. Po co się z taką żenić? Po mojemu to on nie umie sobie radzić z kobietami, za bardzo im ufa. Powiem jedno: mężczyzna powinien wiedzieć, komu wierzyć, a komu nie. Sir Wilding tego nie pojmuje. Nie zna się na kobietach. I chyba nigdy się nie pozna.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gospodarz przyjął Llewellyna w długim, niskim pokoju, całkowicie wypełnionym książkami. Okna były otwarte na oścież. Z pewnej odległości dochodził łagodny poszum morza. Napoje były ustawione na niskim stoliku pod jednym z okien.

Wilding powitał gościa z nie ukrywanym zadowoleniem i przeprosił za nieobecność żony.

— Cierpi nieznośnie z powodu migreny — powiedział. — Mam nadzieję, że spokój i cisza, panujące na wyspie, mogą złagodzić te dolegliwości, ale na to trzeba trochę czasu. Jeśli chodzi o lekarzy, ci rozkładają bezradnie ręce.

Llewellyn wyraził swoje współczucie w kilku uprzejmych słowach.

— Życie ją ciężko doświadczyło — — wyznał Wilding. — Ciężej niż każdą inną dziewczynę w jej wieku. A była wówczas taka młoda. Wciąż jest bardzo młoda.

Czytając z jego twarzy, Llewellyn powiedział cicho:

— Pan ją bardzo kocha.

— Być może za bardzo, choć przyznaję, że ku mojemu własnemu szczęściu — westchnął Wilding.

— Czy także ku jej szczęściu?

— Żadna miłość na świecie nie jest w stanie powetować tego, co wycierpiała — powiedział gwałtownie.

We wzajemnym stosunku obu mężczyzn wyczuwało się dziwną nutę zażyłości, która tak naprawdę zrodziła się już w pierwszej chwili poznania. Być może to, że nie łączyło ich nic wspólnego (narodowość, wychowanie, sposób bycia, przekonania) pozbawiało ich zwykłej w takich okolicznościach powściągliwości czy wyzwalalo z oków konwenansu, a także sprawiało, że łatwo gotowi byli zaakceptować jeden drugiego. Byli niby rozbitkowie wyrzuceni przez morze na bezludną wyspę albo unoszeni na tratwie nie wiadomo jak długo. Mogli rozmawiać ze sobą otwarcie, niemal z dziecięcą naturalnością.

Niebawem zasiedli do kolacji. Była niewyszukana, za to wyborna w smaku i pięknie podana. Llewellyn odmówił wina.

— Jeśli woli pan whisky...

Gość jeszcze raz potrząsnął przecząco głową.

— Dziękuję, zadowolony mnie woda.

— Proszę wybaczyć pytanie: czy to pańskie zasady?

— Nie. Skończyłem z zasadami. Teraz nie mam żadnego powodu, dla którego miałbym nie napić się z panem wina. Picie nie weszło mi w krew, to wszystko.

Kiedy wymawiał słowo „teraz”, Wilding gwałtownie uniósł głowę. Wyglądał na ogromnie zaniepokojonego. Już chciał otworzyć usta, aby coś powiedzieć, kiedy w sposób oczywisty powstrzymał się i zaczął mówić o postronnych sprawach. Był interesującym gawędziarzem i można z nim było porozmawiać na wiele tematów. Nie tylko dlatego że wiele podróżował i że bywał w najdalszych zakątkach kuli ziemskiej: posiadał rzadki talent

przedstawiania wszystkiego, co się widzi i doświadcza, w rzeczywistym świetle. Jeśli ktoś chciał się wybrać na pustynię Gobi, do Fezzanu czy Samarkandy, kiedy porozmawiał o tych miejscach z Richardem Wildingiem, czuł się tak, jakby tam był.

Wilding nie przemawiał ani też nie narzucał swego zdania; mówił w sposób naturalny i spontaniczny. Llewellyn chłonał jego słowa z przyjemnością, choć bardziej niż barwna opowieść zaczynała go interesować osobowość gospodarza. Zdążył już zauważyć, że siedzący naprzeciw niego mężczyzna jest bezsprzecznie obdarzony naturalnym wdziękiem i magnetyzmem i że promienieje nimi jakby bez udziału własnej woli. Zauważył także, że oto ma do czynienia z człowiekiem uzdolnionym, o przenikliwym, pozbawionym buty rozumie, z człowiekiem o szerokich zainteresowaniach skierowanych tak ku ideom, jak ludziom i miejscom. Gdyby tylko, pomyślał Llewellyn, ktoś taki jak on zdecydował się na zgłębianie jednej gałęzi wiedzy, gdyby... Lecz w tym, być może, krył się cały sekret: Richard Wilding nigdy nie musiał i nigdy nie zamierzał dokonywać wyboru. Zapewne dzięki temu był ludzki, serdeczny i z natury przystępny.

Mimo to Llewellyn nie do końca umiałby odpowiedzieć sobie na własne pytanie, pytanie tak proste jak te, które stawiają dzieci: dlaczego tak bardzo lubię tego człowieka?

Odpowiedzi nie należało szukać w uzdolnieniach Wildinga. Kryła się ona w człowieku jako takim.

I nagle, jak zdawało się Llewellynowi, znalazł ją. Otóż przy całej swojej mądrości i przy wszystkich talentach, jakie posiadał, ten człowiek był omylny. Co więcej, potrafił, wciąż i wciąż, przyznawać się do popełnionych błędów. Należał do ludzi szczodrych i dobrotliwych, którzy niezmiennie doznają niepowodzenia, ponieważ nigdy nie są pewni własnych osądów.

Osoby o takiej naturze nie są zdolne do jasnej, chłodnej, logicznej oceny ludzi i rzeczy; one się skłaniają do płynącej z głębi serca impulsywnej wiary, głównie w ludzi, wiary z góry skazanej na klęskę, ponieważ ta wiara bazuje na ogół na pobożnych życzeniach, a nie na faktach. Tak, ten mężczyzna był omylny, a tym samym był sympatyczny. Oto ktoś, pomyślał Llewellyn, kogo za żadne skarby nie powinienem zranić.

Wrócili do biblioteki i zagłębili się wygodnie w obszernych fotelach. Płonęły drwa, bardziej dla podkreślenia przydatności paleniska, niż z istotnej potrzeby. Na zewnątrz pohukiwało morze, a do pokoju wkradał się zapach jakichś rozkwitających nocą kwiatów.

— Widzi pan, tak bardzo interesują mnie ludzie — zwierzył się Wilding rozbrajająco szczerze. — Zawsze mnie interesowali. Ciekaw jestem, co sprawia, że zachowują się tak, a nie inaczej. Czy to brzmi bardzo bezdusznie i analitycznie?

— Nie w pana ustach. Pańskie zainteresowanie bliźnimi wynika z troski o nich.

— Tak, to prawda. — Zrobił przerwę. Po jakimś czasie podjął na nowo swoją myśl: — Jeśli ktoś może pomóc innej ludzkiej istocie, to taka pomoc wydaje mi się najważniejszą rzeczą na świecie.

— Jeśli — dodał Llewellyn.

Tamten spojrzał na niego przenikliwie.

— To z kolei w pana ustach zdaje się brzmieć dziwnie sceptycznie.

— Nie, ja tylko chcę zauważyć, jak niezwykle trudno jest robić to, o czym pan mówi.

— Czyżby? Ludzie chcą, by im pomagano.

— Tak, wszyscy jesteśmy przekonani o tym, że w pewien magiczny sposób inni mogą uzyskać dla nas to, czego my nie potrafimy czy nie chcemy sami dla siebie zdobyć.

— Z jednej strony nasze współczucie, z drugiej czyjaś wiara — rzekł z przejęciem Wilding. — Uwierzyć w to, co najlepsze w człowieku, to znaczy obudzić to w nim. Ludzie są wrażliwi na pokładaną w nich wiarę. Odkrywam tę prawdę wciąż na nowo. — Od jak dawna?

Wilding skrzywił się, jak gdyby ktoś ugodził go w czułe miejsce.

— Można prowadzić rękę dziecka po kartce papieru, lecz przychodzi chwila, kiedy trzeba cofnąć pomocną dłoń, i wtedy okazuje się, że dziecko nadal nie umie pisać. Mało tego, ten, kto śpieszy dziecku z pomocą, może tylko opóźnić proces nauczania.

— Czy próbuje pan zniweczyć moją wiarę w ludzką naturę?

— Raczej proszę, by miał pan nad nią litość — rzekł Llewellyn, uśmiechając się.

— Zachęcać ludzi, aby sami dali z siebie to, co w nich najlepsze...

— Znaczy zmuszać ich do ciągłego wznoszenia się na wyżyny. Podtrzymywać kogoś w przekonaniu, że może być tym, kim nie jest, znaczy zgotować mu życie w wielkim napięciu. Zbyt wielki stres prowadzi ostatecznie do załamania.

— A zatem czy trzeba spodziewać się po ludziach najgorszego? — zapytał przekornie Wilding.

— Nie, ale to najgorsze trzeba również brać pod uwagę.

— I to mówi pan, człowiek zajmujący się sprawami religii!

Llewellyn uśmiechnął się.

— Chrystus powiedział Piotrowi, że nim kur zapieje, on się go trzy razy zaprze. Znał naturę Piotra lepiej niż on sam, lecz z powodu tej słabości wcale go mniej nie kochał.

— Nie — zaprotestował energicznie Wilding. — Nie mogę się z panem zgodzić. Jeśli chodzi o moje pierwsze małżeństwo... — urwał, by po chwili ciągnąć dalej: — Moja żona miała, a raczej mogłaby mieć, naprawdę wspaniały charakter. Jedyne, co było jej potrzebne, to miłość, zaufanie, wiara w nią. Gdyby nie wojna... — Zamilkł. — Cóż, była to jedna z pomniejszych wojennych tragedii. Ja byłem daleko, ona została sama, bezbronna wobec złych wpływów. — Znów zamilkł, a po chwili powiedział szorstko: — Nie obwiniam jej. Biorę pod uwagę to, że stała się ofiarą okoliczności. Wówczas, przyznaję, byłem załamany. Zdawało mi się, że już nigdy nie będę tym samym człowiekiem. Ale czas leczy rany... — Zrobił nieokreślony ruch ręką. — Sam nie wiem, dlaczego opowiadam panu historię mojego życia. Wolałbym raczej dowiedzieć się czegoś o panu. Pan jest dla mnie kimś absolutnie nie znanym. Chciałbym poznać pańskie pytania o sposoby i przyczyny. Na tamtym spotkaniu byłem pod wrażeniem, pod wielkim wrażeniem. Nie dlatego, że poruszył pan publiczność. To było dla mnie dość zrozumiałe. Hitler też to robił. I Lloyd George. Udaje się to w mniejszym lub większym stopniu różnym politykom, przywódcom religijnym i aktorom. To kwestia talentu. Nie, mnie interesowała wyłącznie pańska osoba i pańskie odczucia. Dlaczego ta szczególna sprawa była dla pana warta zachodu?

Llewellyn potrząsnął z wolna głową. — Pyta mnie pan o coś, czego doprawdy sam nie wiem.

— Oczywiście silne religijne przekonania. — Wilding powiedział to z lekkim skrępowaniem, co rozbawiło jego gościa.

— Ma pan na myśli wiarę w Boga? To prostsze określenie, nie sądzi pan? Ale to nie jest odpowiedź na pańskie pytanie. Jeśli wierzę w Boga, wystarczy, bym klękał w zaciszu własnego domu. To nie wyjaśnia tego, co dla pana jest zagadką. Dlaczego robiłem to na płaszczyźnie publicznej, tak?

Wilding zauważył dość niepewnie:

— Przypuszczam, że według pana, w ten sposób czyni się więcej dobra, dociera do większej liczby ludzi.

Llewellyn popatrzył na niego z namysłem.

— Wnioskuje z pańskich słów, że pan jest człowiekiem niewierzącym.

— Nie wiem, po prostu nie wiem. Cóż, na swój sposób wierzę. Chcę wierzyć... Na pewno wierzę w powszechnie uznawane cnoty: w dobroć, w pomaganie tym, którzy pomocy potrzebują, w uczciwość, w potrzebę przebaczenia.

Llewellyn przyglądał mu się przez kilka chwil.

— Cnotliwe życie — powiedział. — Cnotliwy człowiek. Tak, to o wiele łatwiejsze niż próba poznania Boga. Bo poznanie Boga nie jest łatwe, wręcz przeciwnie, jest bardzo trudne i bardzo straszne. Ale jeszcze straszniejsza jest świadomość, że Bóg przejrzał człowieka.

— Czy człowiek może się tego przestraszyć?

— Hiob się przestraszył. — Llewellyn uśmiechnął się nagle: — Wie pan, biedaczysko nie miał pojęcia, o co w ogóle chodzi. W świecie drobiazgowych reguł i norm, nagród i kar, którymi, stosownie do zasług, szafował Wszechmogący Bóg, Hiob został wyróżniony w sposób wyjątkowy. (Dlaczego? Nie wiemy. Czy miał jakiś przymiot, dzięki któremu wyprzedzał swoje pokolenie? Jakaś nadzwyczajną zdolność percepcji daną mu przy narodzinach?) Tak czy inaczej jego pobratymcy żyli w świecie nagród i kar, lecz Hiob miał — wejść w coś, co z pewnością było dla niego nowym wymiarem. Za swoje chwalebne życie wcale nie miał być nagrodzony stadami i wszelkim dobytkiem. Zamiast tego miał znosić cierpienia, przechodzące ludzką wytrzymałość, miał zachwiać się w swoich przekonaniach, miał zobaczyć, jak odwracają się od niego przyjaciele. Musiał przetrwać trąbę powietrzną. A później, być może, odstawiony niczym na paradę gwiazd, jak mówimy w Hollywood, mógł usłyszeć głos Boga. I po co to wszystko? Po to, by pojął, z jakim Bogiem faktycznie ma do czynienia. „Zamilcz i dowiedz się, że jestem Bogiem”. Prerażające doświadczenie. Najwyższy szczyt, który człowiek jak dotąd miał osiągnąć. Oczywiście, to nie trwało długo. Nie mogło trwać. Potem Hiob, usiłując opowiedzieć, co go spotkało, prawdopodobnie narobił niemało zamieszania, bo czyż można opisać ziemskimi słowami przeżycia duchowe? Ten, w którym umyśle zrodziła się Księga Hioba, nie miał pojęcia, o czym ona tak naprawdę traktuje. Temu komuś zależało jedynie na szczęśliwym i umoralniającym zakończeniu, zgodnym z duchem czasów, w których przyszło mu żyć.

Llewellyn zrobił przerwę.

— A więc proszę zrozumieć — podjął na nowo — że kiedy pan myśli, iż dlatego wybrałem płaszczyznę publiczną, by móc zrobić więcej dobra i przyciągnąć więcej ludzi, błędzi pan po manowcach. Nie chodzi o liczbę ludzi, do których się dociera, ani o tak zwane czynienie dobra. Bo czymże jest czynienie dobra? Palenie ludzi na stosach dla

ocalenia ich dusz? Być może. Palenie żywych czarownic, gdyż są uosobieniem zła? Można mnożyć takie przykłady. A przejdźmy do czasów współczesnych: podnoszenie stopy życiowej pechowców? Walka z okrucieństwem i niesprawiedliwością? Czyż nie zdaje nam się, że to jest ważne?

— Chyba i pan tak uważa?

— Według mnie są to zwykłe problemy bytu człowieczego. Jakie dobro należy czynić? Co jest słuszne? Co jest niesłuszne? Jesteśmy istotami ludzkimi i powinniśmy odpowiedzieć na te pytania najlepiej jak potrafimy. Mamy do przeżycia na tym świecie własne życie. Ale to wszystko nie ma nic wspólnego z doznaniem duchowym.

— Ach — rzekł Wilding. — Zaczynam rozumieć. Myślę, że pan sam przeszedł przez tego rodzaju doznanie. Jak do tego doszło? Co się wydarzyło? Czy wiedział pan zawsze, nawet będąc dzieckiem... — Urwał w połowie zdania, by zadać inne pytanie. — A może niczego pan nie wiedział?

— Niczego nie wiedziałem — wyznał Llewellyn.

ROZDZIAŁ PIĄTY

1

Może niczego pan nie wiedział... Pytanie Wildinga przeniosło Llewellyna w przeszłość. W bardzo odległą przeszłość.

On jako dziecko...

Ma w nozdrzach zapach czystego, świeżego górskiego powietrza. Mroźne zimy, upalne, suche lata. Mała, szczelnie zamknięta społeczność. Jego ojciec, ów wysoki, posępny Szkot, srogi, niemal wzbudzający grozę. Bogobojny, prawy człowiek, człowiek posługujący się rozumem na przekór własnemu prostemu życiu i prostej pracy, człowiek o żelaznej woli, nieskory do ujawniania prawdziwych uczuć. Jego matka — ciemnowłosa Walijska o melodyjnym głosie, który sprawiał, że wypowiedane przez nią choćby najzwyklejsze słowa rozbrzmiewały jak muzyka...

Bywało, że wieczorami recytowała po walijsku wiersz, który ułożył jej ojciec na Eisteddfod* wiele lat wcześniej. Dzieci jedynie częściowo rozumiały język wiersza i słabo chwyciły sens słów, ale melodia poezji wzbudzała w Llewellynie nieuchwytną tęsknotę. Matka obdarzona była dziwną intuicyjną wiedzą, mającą swe źródła nie w intelekcie, jak u ojca, lecz w naturalnej, wrodzonej mądrości.

Bywało także, że spojrzenie jej ciemnych oczu przesuwano się po gromadce dzieci i zatrzymywało najdłużej na Llewellynie, pierworodnym synu, ni to badawczo, ni z powątpiewaniem, ni to ze strachem. Chłopiec wiercił się niespokojnie i pytał lęklwie: „O co chodzi, mamó? Czy coś przeskrobałem?” Na twarz matki wypływał ciepły, pieszczotliwy uśmiech. Mówiła: „Nic, kawalerze. Jesteś dobrym synkiem. Moim własnym”. Wówczas Angus Knox odwracał gwałtownie głowę i patrzył najpierw na żonę, a potem na chłopca.

To było szczęśliwe dzieciństwo, normalne, jak dzieciństwo niejednego chłopaka. Dalekie od luksusu, wręcz spartańskie, i to na wiele sposobów. Surowi rodzice, utrzymywane w karności dzieci. Mnóstwo domowych zajęć, odpowiedzialność za czwórkę młodszego rodzeństwa, uczestniczenie we wspólnych przedsięwzięciach miejscowej społeczności. Życie pobożne, choć bez szerszych perspektyw. Życie, które mu odpowiadało i które w całości akceptował.

Ale kiedyś zapragnął się uczyć. Ojciec, który miał typowy dla Szkota szacunek dla nauki, a także ambicję, by jego najstarszy syn nie poprzestał na oraniu ziemi, pośpieszył z zapewnieniem. „Zrobię, co będę mógł, aby ci pomóc, Llewellynie, ale to nie będzie wiele. Przede wszystkim musisz liczyć sam na siebie”.

I tak też było. Zachęcany przez swego nauczyciela, parł do przodu i dostał się do college'u. Pracował w czasie wakacji, usługiwał w hotelach i studenckich kampusach, zmywał naczyń.

Z ojcem dyskutował o przyszłości. Kiedyś postanowił: nauczyciel albo lekarz. Nie miał szczególnego powołania, lecz oba zawody wydawały mu się odpowiednie. Ostatecznie wybrał medycynę.

Czy przez tamte wszystkie lata nie kusila go jakakolwiek myśl o poświęceniu się specjalnej misji?

Coś takiego było... tak. Coś, czego wówczas nie pojmował. Pewien rodzaj lęku... tak, to chyba ten lęk był pierwszym zwiastunem przyszłych zdarzeń. Za fasadą codziennego życia krył się lęk, strach przed czymś, czego nie był w stanie ogarnąć umysłem. Częściej doświadczał go wówczas, kiedy był sam, toteż uciekał przed nim w życie wspólnoty.

To zaczęło się mniej więcej w czasie, kiedy uświadomił sobie istnienie Carol. Znał ją całe swoje życie. Razem chodzili do szkoły. Była od niego dwa lata młodsza; niezdarne dziecko, z klamerką na zębach, o łagodnym, nieśmiałym usposobieniu. Ich rodzice byli przyjaciółmi i Carol spędzała mnóstwo czasu w gospodarstwie Knoxów.

W roku, w którym zdawał egzaminy końcowe, Llewellyn przyjechał do domu i spojrzał na dziewczynę nowymi oczami. Klamerka poszła w ką, tak samo dawna niezdarność. W ich miejsce pojawiła się ładna, młoda kokietka, z którą każdy chłopiec pragnął się umówić na randkę.

Dziewczęta jak dotąd nie miały wpływu na życie Llewellyna. Zbyt ciężko pracował, a ponadto nie był emocjonalnie rozwinięty. Lecz teraz nieoczekiwanie obudziła się w nim męskość. Zaczął dbać o swój wygląd, wydawać zarobione z wysiłkiem pieniądze na nowe krawaty i na pudełka cukierków dla Carol. Matka, jak to matka, uśmiechała się tylko i wzdychała. Jej syn wkracza w dojrzałość! Oto nadszedł czas, kiedy będzie musiała oddać go innej kobiecie. Pomyślała, że na razie za wcześnie na małżeństwo, lecz gdyby miało do tego dojść, byłaby zadowolona, że jej pierworodny wybrał Carol. Dziewczyna z dobrego pnia. Przyzwoicie wychowana. Z łagodnym usposobieniem. Zdrowa. Lepsza od jakiejś miastowej, nikomu nie znanej. To wszystko prawda, tylko że... że nie dość dobra dla mojego synka, szepnęło jej matczyne serce. Uśmiechnęła się. Bo czyż od niepamiętnych czasów nie szepce tego samego serce każdej matki?

Angus, kiedy powściągliwie przedstawiła mu sprawę, nie przejął się zanadto. Jeszcze nie pora na to”, powiedział. „Chłopak powinien pilnować swojego zajęcia. Ale mógł trafić gorzej. To dobra dziewczyna, choć chyba nie grzeszy rozumem”.

Carol była ładna, lubiana i cieszyła się wzięciem. Biegała z randki na randkę, choć wszyscy wiedzieli, że i tak liczy się tylko Llewellyn. Wyciągała go od czasu do czasu na poważne rozmowy o jego przyszłości, albowiem po cichu niepokoiła się chwiejnością jego charakteru i tym, co uważała za brak ambicji.

— Ależ, Lew, na pewno wiesz, co będziesz robił po zdobyciu dyplomu.

— Och! Wezmę się za jakąś robotę. Mam mnóstwo możliwości.

— Lecz czy to nie pora, by się w czymś specjalizować?

— To dobre dla kogoś, kto ma sprecyzowane zainteresowania. Nie dla mnie.

— Ależ Llewellynie Knoxie, chyba chcesz iść dalej, no, powiedz sam.

— Iść dalej? A dokąd? — uśmiechnął się zaczepnie.

— Cóż, zawsze gdzieś się dochodzi.

— Życie jest takie, jakie jest, Carol. Stąd dotąd. — Zakreślił palcem linię na piasku. — Narodziny, dorastanie, szkoła, kariera zawodowa, małżeństwo, dzieci, dom, wieczna harówka, emerytura, starość, śmierć. Tak jest wszędzie: od granic tego kraju do granic następnego.

— Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi, Lew. Myślę o zostaniu kimś, wyrobieniu sobie nazwiska, czynieniu dobra, o wejściu na szczyt, myślę o tym wszystkim, co sprawia, że ludzie są z siebie dumni.

— Zastanawiam się, czy to nie wszystko jedno — powiedział z roztargnieniem.

— Jestem pewna, że nie!

— Uważam, że ważne jest, jak odbywasz swoją podróż przez życie, a nie dokąd.

— Nigdy jeszcze nie słyszałam takich bzdur. Czyżbyś nie chciał zostać człowiekiem sukcesu?

— Nie wiem, ale chyba nie.

Nagle Carol gdzieś odpłynęła. Bardzo daleko. Był sam, zupełnie sam. Poczłł lęk. Skurczył się w sobie, jakby chciał zniknąć. Nie ja, każdy, tylko nie ja, wypowiedział te słowa prawie głośno.

— Lew! Llewelyn! — Głos Carol brzmiał cicho, jakby płynął z najdalszej dali. — Co ci się stało? Wyglądasz jak nie ten sam.

Wrócił do siebie, do Carol, która przyglądała mu się z niejakim zakłopotaniem, z wyrazem przestachu na twarzy. Poczłł, że zalewa go fala czulości dla tej dziewczyny. Ocaliła go, wzywając do powrotu z tamtego odludzia. Ujął jej rękę.

— Jesteś taka słodka. — Przyciągnął ją do siebie, pocałował łagodnie, prawie nieśmiało. Usta Carol nie pozostały dłużne.

Teraz, pomyślał, mogę jej powiedzieć, że kocham ją... że zaręczymy się zaraz po egzaminach. Mogę poprosić, by zaczekała na mnie. Kiedy będę miał Carol, będę bezpieczny.

Mógł mówić, mógł prosić, a zamiast tego milczał. Poczłł na piersiach coś, co dałoby się porównać jedynie z uciskiem jakiejś ręki. Ręki, która go odpychała, ręki, która zabraniała mu mówić. Poderwał się, poruszony realnością doznania.

— Pewnego dnia, Carol — powiedział — pewnego dnia... porozmawiam z tobą.

Popatrzyła na niego i roześmiała się z zadowoleniem. Nie paliła się do podejmowania ostatecznych decyzji. Na razie wszystko układało się dobrze. Miała wielu adoratorów, przeżywała swoją niewinną godzinę triumfu i cieszyła się kolejnymi podbojami jak każda młoda dziewczyna. Pewnego dnia ona i Llewelyn pobiorą się. Pocałunek świadczył o uczuciu. Była pewna Llewelyna.

Tak naprawdę nie przejmowała się jego dziwnym brakiem ambicji. Kobiety w tym kraju zdawały sobie sprawę z władzy, jaką mają nad swymi mężczyznami. To one planowały i

to one popędzały mężczyzn w drodze do celu; one, kobiety, a dzieci były ich główną bronią. Ona i Llewellyn na pewno zechcą dla swojego potomstwa jak najlepiej, a to będzie ostroga, która zdopinguje Llewellyna do biegu.

Co do Llewellyna, ten wracał do domu w stanie ogólnego zamętu. Pełen wiedzy psychologicznej, wyniesionej z niedawnych wykładów, z lękiem analizował swoje ego. Czyżby tkwiła w nim niechęć do miłości fizycznej? A jeśli tak, to skąd się wzięła? Zjadł kolację, wpatrując się w matkę, i z niepokojem myśląc o kompleksie Edypa.

Niemniej, nim wrócił do college'u, nie do kogo innego, lecz właśnie do niej zwrócił się ze swymi problemami.

— Lubisz Carol, prawda? — zapytał kiedyś znienacka. Oto ta chwila, pomyślała z bólem matka, lecz jej głos zabrzmiał czysto jak zwykle:

— To miła dziewczyna. Podoba się i mnie, i twojemu ojcu.

— Chciałem jej powiedzieć... parę dni temu...

— Że ją kochasz, tak?

— Tak. Chciałem poprosić, by zaczekała na mnie. — Jeśli cię kocha, nie musiałeś, kawalerze.

— Ale nie powiedziałem ani jednego, ani drugiego. Słowa nie przeszły mi przez gardło.

Matka uśmiechnęła się.

— Nie zamartwiasz się tym. Młodzi mężczyźni przeważnie mają związane języki. Kiedyś twój ojciec dzień po dniu siadywał koło mnie, popatrywał groźnie, co wyglądało tak, jakby mnie nienawidził, a nie kochał, i poza krótkim „Co u ciebie?” i „Ładny mamy dzień”, nie potrafił wydusić z siebie ani słowa.

— To nie tylko to, matko — rzucił ponuro Llewellyn. — To było tak, jakby jakaś ręka pchała mnie do tyłu. To było tak, jakby mi ktoś zabronił mówić.

Matka odczuła sercem nagłość i wagę jego zmartwienia. Powiedziała ostrożnie:

— Może to nie jest dziewczyna dla ciebie. Może to nie ta jedyna. Och... — Gestem dłoni odparła jego protest. — To trudno wiedzieć, kiedy jest się młodym i kiedy krew się burzy. Ale w każdym człowieku jest coś, może jakaś prawda, coś, co wie, jak powinno i jak nie powinno być, i co broni go przed samym sobą i przed porywem, który nie jest jeszcze tym właściwym.

„W każdym człowieku jest coś...”, dźwięczało mu w uszach. Popatrzył na matkę z rozpaczą w oczach. — Matko, ja nic o sobie nie wiem...

2

Po powrocie do college'u starał się wypełniać każdą chwilę pracą lub przebywać w towarzystwie przyjaciół. Lęki go opuściły. Znow był sobą. Czytał zawile rozprawy na temat popędu płciowego u młodocianych i znajdował dla siebie zadowalające wytłumaczenie.

Zdał egzaminy z wyróżnieniem, a to także dodało mu wiary w siebie. Wracał do domu z powziętą decyzją i z nadzieją na jasną przyszłość. Miał zamiar poprosić Carol o rękę i przedyskutować z nią różne możliwości, które otwierały się przed nim teraz, kiedy zdobył odpowiednie kwalifikacje. Czuł ogromną ulgę na myśl, że jego życie rysuje się wreszcie tak wyraźnie i z zachowaniem należytego porządku. Stosowna praca, do której miał odpowiednie przygotowanie i którą spodziewał się dobrze wykonywać, i dziewczyna, z którą założy dom i która urodzi mu dzieci.

Jego powrót do domu zbiegł się z odbywającymi się właśnie miejscowymi świętami. Wkrótce wpadł w wir życia towarzyskiego. Godzinami przechadzał się w tłumie tu i tam, lecz w obrębie tego tłumu on i Carol stanowili parę i jako para byli przez innych akceptowani. Rzadko albo prawie wcale nie bywał sam, a kiedy wieczorem kładł się do łóżka, zasypiał natychmiast i śnił o Carol. Jego sny miały charakter erotyczny, czego się przed sobą wcale nie wypierał. Wszystko było normalne, wszystko było wspaniałe, wszystko było takie, jakie być powinno.

I wtedy, ni stąd, ni zowąd, ojciec go zapytał:

— Coś nie tak, kawalerze?

— Nie tak? — Popatrzył na ojca zaskoczony.

— Nie jesteś sobą.

— Ależ jestem! I to jak nigdy!

— Być może, ale tylko fizycznie.

Llewellyn dalej wpatrywał się w ojca. Posępny, powściągliwy stary człowiek, z płomieniem w głęboko osadzonych oczach, pokiwał z wolna głową.

— Przychodzi taka godzina — rzekł — kiedy mężczyźnie potrzebna jest samotność.

Zabrał się, nie mówiąc ani słowa więcej, a Llewellynowi strach raz jeszcze skoczył do gardła. To nieprawda, nie chciał być sam. Samotność to ostatnia rzecz, o jakiej myślał. Nie może, nie musi być sam.

Trzy dni później przyszedł do ojca.

— Idę obozować w góry — rzekł. — Sam.

— Tak — Angus skinął głową. Jego oczy, oczy mistyka, popatrzyły na syna ze zrozumieniem.

Odziedziczyłem coś po nim, pomyślał Llewellyn. Coś, o czym on wie, a o czym ja jeszcze nie wiem.

3

Pozostawał na odludziu prawie trzy tygodnie. Doświadczał dziwnych rzeczy. Jednakże po raz pierwszy w życiu przyznał, że samotność jest całkiem do przyjęcia. Co więcej, dziwił się sam sobie, dlaczego tak długo wzbraniał się przed nią.

Należy zacząć od tego, że sporo rozmyślał o sobie i swojej przyszłości z Carol. Wszystko zdawało się układać całkiem przejrzyście i logicznie, lecz nie minęło wiele czasu, kiedy zdał sobie sprawę, że przygląda się swemu życiu z zewnątrz, jak widz, a nie jak główny bohater. Stało się tak dlatego, że żaden z tych zaplanowanych bytów nie był realny. Wszystkie były logiczne i spójne, ale w rzeczywistości wcale nie istniały. Kochał Carol, pragnął jej, ale nie ożeniłby się z nią. Miał coś innego do zrobienia, choć jeszcze nie wiedział co. Kiedy pogodził się z tą myślą, nastąpiła kolejna faza. Faza, którą mógłby opisać jedynie jako pustkę, ogromną, pobrzmiwającą echem pustkę. Był niczym i niczego w nim nie było. I skończył się lęk. Akceptując pustkę, pozbył się lęku.

Podczas tej fazy prawie niczego nie jadł ani nie pił.

Czasami mu się zdawało, że majaczy. Zjawiały się przed nim obrazy i ludzie niby miraż na pustyni.

Parę razy bardzo wyraźnie zobaczył jakąś twarz. Twarz kobiety. Twarz, która rozbudziła w nim niezwykle emocje. Miała delikatne, pięknie ukształtowane kości, wklęsłe skronie, ciemne, zagarnięte do tyłu włosy i głębokie, prawie tragiczne oczy. Raz ukazała mu się na tle płomieni, a za drugim razem na tle niewyraźnych konturów czegoś, co wyglądało jak kościół. Kiedyś spostrzegł, że była jeszcze dzieckiem. Za każdym razem wyczuwał w niej cierpienie. Gdybym tylko mógł jej pomóc, myślał, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że żadna pomoc nie jest możliwa, i że sam pomysł jest z gruntu zły i fałszywy.

Miewał też inne wizje. W jednej z nich znalazło się gigantycznych rozmiarów biurko z jasnego, lśniącego drewna, a za nim mężczyzna z wydatną szczęką i małymi, przenikliwymi, niebieskimi oczami. Mężczyzna wychylił się do przodu, jak gdyby chciał

przemówić, a dla podkreślenia ważności swoich słów podniósł małą linijkę i zaczął nią gestykulować.

Potem z kolei zobaczył kąć jakiegoś pokoju, okno, a za oknem kontury ośnieżonej sosny. Między nim a tym oknem tkwiła jakaś natrętna twarz, patrząca na niego z góry. Była to okrągła, różowa twarz mężczyzny w okularach, lecz nim Llewellyn zdążył się jej dobrze przyjrzeć, zniknęła, jak znikają wszystko przed nią.

Llewellyn myślał, że wszystkie te wizje były wytworem jego wyobraźni. Zdawały się nie mieć prawie żadnego sensu czy znaczenia, przedstawiały twarze i otoczenie zupełnie mu obce.

Lecz wkrótce przestały go nawiedzać. Pustka, której był tak świadom, przestała być wszechogarniającym bezmiarem. Zatraciła swoją treść i swój cel, a on przestał się w niej unosić. Zamknął ją w sobie.

Czekał, co będzie dalej.

4

Burza piaskowa przysła nagle. Była to jedna z tych nie zapowiedzianych burz, typowych dla górskiego regionu, w którym przebywał. Przysła z wyciem, niosąc ze sobą wirujące tumany czerwonego pyłu. Była niczym żywe stworzenie. Skończyła się tak nagle, jak się zaczęła, i ziemię ogarnęła absolutna cisza.

Całe obozowisko porwał wiatr, a namiot wciąż jeszcze opadał w dół doliny, trzepocąc i kołując jak oszalały. Llewellyn nie miał teraz nic. Był sam jeden w świecie przepętnionym ciszą i czuł się tak, jakby stworzono go po raz drugi.

Wiedział, że coś, o czym zawsze był przekonany, że może się zdarzyć, było na wyciągnięcie ręki. Znów poczuł strach, lecz nie taki, jaki ogarniał go przedtem, nie tamten strach przed nieznanym. Tym razem jego umysł — pusty, wymieciony i wystrojony jak na święto — gotów był zaakceptować, gotów był przyjąć Ducha. Bał się, ponieważ z całą pokorą zdawał sobie sprawę, że jest małym, nic nie znaczącym pyłkiem we wszechświecie.

Nie było łatwo wytłumaczyć Wildingowi, co się stało potem.

— Bo, widzi pan, słowa tego nie opiszą. Ale jestem absolutnie pewny, co to było. To było rozpoznanie Boga. Wyrażę to najlepiej, kiedy powiem, że było to tak, jak gdyby

ślepiec, który wierzy w istnienie słońca na podstawie literackich świadectw, i który czuje jego ciepło na własnej dłoni, nagle przejrzał i zobaczył słoneczny blask.

Zawsze wierzyłem w Boga, ale teraz, teraz wiedziałem, że Bóg istnieje. To była wiedza wyłącznie osobista, absolutnie nie do opisanie. A także była najbardziej przerażającym doświadczeniem, jakie może przeżyć człowiek. Zrozumiałem wówczas, dlaczego, kiedy Bóg zszedł do ludzi, przyoblekł się w ludzkie ciało.

To trwało zaledwie kilka sekund. Potem zawróciłem i poszedłem do domu. Powrotny marsz zabrał mi dwa lub trzy dni. Ślaniałem się na nogach ze słabości i wyczerpania. Milczał przez kilka chwil.

— Ojciec, jak sądzę, czegoś się domyślał. Przynajmniej tego, że tam, na pustkowiu, zostałem poddany jakiemuś doświadczeniu. Matka okropnie się o mnie martwiła. Nie mogła się w niczym połapać. Kiedy wyznałem jej, że miałem dziwne wizje, których znaczenia nie potrafię nijak wytłumaczyć, usłyszałem w odpowiedzi: „W rodzinie twojego ojca zdarzały się widzenia. Miała je jego babka i jedna z jego sióstr”.

Po kilkudniowym odpoczynku i solidnym odkarmieniu przez matkę, znów byłem silny, lecz milczałem, kiedy ludzie mówili o mojej przyszłości. Wiedziałem, że wszystko zostanie ustalone bez mojego udziału. Ode mnie wymagano jedynie akceptacji, choć nie miałem najmniejszego wyobrażenia o tym, co przyjdzie mi zaakceptować.

Tydzień później w najbliższym sąsiedztwie odprawiano uroczyste nabożeństwo. Coś w rodzaju misji odrodzenia, tak bym to nazwał. Matka oczywiście miała zamiar w nim uczestniczyć, ojciec, choć bez większego zainteresowania, również. Poszedłem z nimi.

Llewellyn popatrzył na Wildinga i uśmiechnął się.

— Nabożeństwo było proste i jak zwykle przy takich okazjach nieco melodramatyczne. Jednym słowem, nic nadzwyczajnego. Nie poruszyło mnie, a wręcz przeciwnie, trochę rozczarowało. Ludzie podnosili się ze swoich miejsc, aby dawać świadectwo wiary. Właśnie wtedy dostałem rozkaz, jasny i całkowicie jednoznaczny.

Wstałem. Jeszcze dziś pamiętam, zwracające się ku mnie twarze.

Nie wiedziałem, co powiem. Nie byłem przygotowany na tłumaczenie się z własnych doznań. Ale słowa tkwiły w moim mózgu. Czasami wyprzedzały moje myśli, musiałem mówić prędzej, aby za nimi nadążyć, musiałem wypowiedzieć je, aby nie przepadły na zawsze. Nie potrafię tego z niczym porównać: gdybym rzekł, że moje słowa były płomieniem i miodem, czy rozumiałby pan coś z tego? Płomień przypiekał mnie, lecz

czułem także słodycz miodu, słodycz posłuszeństwa. Być wysłannikiem Boga, to jednocześnie i groźne, i rozkoszne.

— Groźne jak zbrojne zastępy — mruknął Wilding.

— Tak. Autor psalmu* wiedział, o czym mówi. — A... potem?

Llewellyn Knox rozłożył ręce.

— Wyczerpanie, skrajne i kompletne wyczerpanie. Mówiłem, prawdopodobnie, około trzech kwadransów. Kiedy znalazłem się w domu, usiadłem, drżąc, przy ogniu, niezdolny do uniesienia ręki czy do wymówienia słowa. Matka tym razem mnie rozumiała. „Mój ojciec po Eisteddfod czuł się podobnie”, tylko tyle powiedziała. Potem podała mi miskę gorącej zupy i włożyła do mojego łóżka butelkę z gorącą wodą.

— Posiadł pan całe niezbędne dziedzictwo: szkocki mistycyzm i walijski dar poezji, dar tworzenia, a także głos. Jakbym tam był i świadczył pańskim doznaniom: najpierw strach, zawód, pustka, potem nagły przyływ sił, a po przyptywie sił... zmęczenie. — Zamilkł, a po chwili spytał: — Czy będzie pan kontynuował swoją opowieść?

— Niewiele mi zostało. Następnego dnia poszedłem spotkać się z Carol. Powiedziałem jej, że ostatecznie nie zostanę lekarzem, lecz że zamierzam być swego rodzaju kaznodzieją. Powiedziałem także, że cieszyłem się myślą o poślubieniu jej, lecz że teraz porzuciłem takie nadzieje. Niczego nie zrozumiała. Usłyszałem w odpowiedzi: „Lekarz może zrobić tyle samo dobrego co kaznodzieja”. A ja na to, że problem nie leży w czynieniu dobra. Że dostałem pewien rozkaz i że muszę mu być posłuszny. Odparła, że plotę bzdury, że nie widzi powodu, dla którego nie miałbym się z nią ożenić. „Przecież nie jesteś katolikiem”. „Wszystko, czym jestem, i wszystko, co mam, pochodzi od Boga”, powiedziałem. Ale oczywiście ona, biedne dziecko, nie potrafiła tego pojąć, bo i jak? Jej zasób słów ograniczał się do spraw doczesnych. Wróciłem do domu, wyznałem wszystko matce, poprosiłem, aby była dobra dla Carol, i błagałem ją o zrozumienie. Pokiwała głową: „Rozumiem aż nadto. Nie masz nic, czym mógłbyś obdarować kobietę”. A potem załamała się, zaczęła płakać i powtarzać: „Wiedziała, zawsze wiedziała, że coś w tym jest. Różniłeś się od innych. Och, a to zawsze daje się we znaki żonom i matkom. Gdybym straciła cię dla kobiety, nie płakałabym. Takie jest życie, no i byłyby z tego dzieci, które trzymałabym na kolanach. Ale w ten sposób odejdziesz ode mnie na dobre”.

Zapewniałem ją, że to nieprawda, lecz oboje przez cały czas „wiedzieliśmy, że tak właśnie się stanie. Więzy międzyludzkie przestały się liczyć. Wilding poruszył się, niespokojnie.

— Proszę mi wybaczyć, lecz nie mogę podpisać się pod tym, co pan mi przedstawia jako receptę na życie. Uczucia ludzkie, ludzkie współczucie, praca w służbie ludzkości...

— Nie o takiej drodze życia mówię! Mówię o człowieku wybranym, o człowieku, który wyrasta ponad swoich współbraci i który jednocześnie jest od nich mniejszy. Nieskończenie mniejszy; o tym nigdy nie powinien zapomnieć.

— Nie nadażam za pana rozumowaniem.

— W tym, oczywiście, że ktoś może zapomnieć, kryje się prawdziwe niebezpieczeństwo — powiedział cicho Llewellyn, bardziej do siebie niż do swego rozmówcy. — 1 tu, jak teraz widzę, Bóg okazał mi swoje miłosierdzie. Zostałem ocalony w porę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

1

Wilding wyglądał na lekko zaskoczonego ostatnimi słowami Llewellyna.

— To miło z pana strony, że powiedział mi pan to wszystko. — Jego głos brzmiał nutą zakłopotania. — Proszę wierzyć, że nie kierowałem się pospolitą ciekawością.

— Wiem o tym. Po prostu był pan szczerze zainteresowany drugim człowiekiem.

— Bo też trafiłem na niezwykłą osobowość. Czytywałem o pańskiej karierze w wielu periodykach. Ale to nie były „wiadomości, które mogłyby mnie zainteresować. Oni tam zajmują się nic nie znaczącymi albo ledwo wiarygodnymi detalami.

Llewellyn skinął głową. Nadal błądził myślami w przeszłości. Przypomniał sobie dzień, w którym winda wywiozła go na trzydzieste piąte piętro jakiegoś wieżowca. Recepcja, wysoka, elegancka blondynka, która go powitała, krępy, barczysty młody człowiek, który go od niej przejął i wreszcie docelowe sanktuarium: prywatny gabinet magnata. Lśniący, jasny blat biurka o imponujących rozmiarach, a za nim mężczyzna, który na jego widok podniósł się, podał mu dłoń i wypowiedział słowa powitania. Wydatne szczęki, małe, przenikliwe, niebieskie oczy; takie same, jakie ujrzał tamtego dnia na pustyni.

„...doprawdy miło mi pana poznać, panie Knox. Jak rozumiem, kraj dojrzał do wielkiego powrotu do Boga... rzecz zakrojona na olbrzymią skalę... rezultaty... cóż, wyłożyliśmy pieniądze... uczestniczyłem w dwóch z wielu pańskich spotkań... naturalnie byłem pod wrażeniem... podbił ich pan, chłonęli każde pańskie słowo... to było wspaniałe... wspaniałe!”

Bóg i Wielki Kapitał. Czyżby takie połączenie było niestosowne? A jeśli tak, to dlaczego? Jeśli zdolność do interesów jest jednym z talentów, jakimi Bóg obdarzył człowieka, dlaczego nie miałoby się jej wykorzystać w służbie Bogu?

On, Llewellyn Knox, nie miał żadnych wątpliwości ani skrupułów, jeśli chodzi o ten gabinet i tego człowieka, którego już mu kiedyś pokazano. To było częścią losu, jego losu. Czy w jego postępowaniu kryła się szczerść, prosta, naiwna szczerść, która mogła się komuś zdawać tak groteskowa jak dawne rzeźby na chrzcielniczy? A może był to zwykły oportunizm? Przekonanie, że Bogiem da się kupczyć?

Llewellyn tego nie wiedział. W istocie nigdy nie zaprzętał sobie tym głowy. To było częścią jego losu. Był wysłannikiem, nikim więcej, był człowiekiem, na którego nałożono pewien obowiązek.

Piętnaście lat... Od małego zgromadzenia pod gołym niebem, do sal wykładowych, do gmachów publicznych, do ogromnych stadionów.

Twarze (w pewnym oddaleniu, niewyraźne i rozmazane), tysiące twarzy, zwróconych ku niemu zwartymi szeregami. Wyczekujące, łaknące...

A z jego strony? Zawsze to samo.

Chłód, lęk, pustka, oczekiwanie.

A potem doktor Llewellyn Knox wstaje i... zaczyna mówić, słowa pędzą przez jego mózg, wypływają z jego ust... Nie jego słowa, to nigdy nie są jego słowa. Ale chwała, ale uniesienie, jakie im towarzyszą, tak, te są jego. (To, oczywiście, było niebezpieczne. Dziwne, że dopiero teraz to sobie uświadomił).

A potem przymilające się kobiety, wylewni mężczyźni, gościnność, pochlebstwa, histeria.

I on sam na pograniczu zapaści, z dojmującymi mdłościami, starający się odpowiadać jak najlepiej na wszystkie pytania, on, już nie wysłannik Boga, lecz zwykły człowiek, coś o wiele mniejszego niż ci, którzy mu się przyglądają bezmyślnymi, pełnymi uwielbienia oczami. Pozbawiona sił, a tym samym całej męskiej godności, słaba, udręczona istota, w której nie ma niczego poza rozpaczą.

Ktoś powiedział: „Biedny doktor Knox, wygląda na bardzo zmęczonego”. Zmęczony, coraz bardziej i bardziej zmęczony.

Był silnym fizycznie mężczyzną, lecz, jak się okazało, nie na tyle, aby przetrwać piętnaście lat w stanie ciągłego napięcia. Nudności, zawroty głowy, zaburzenia rytmu

serca, trudności z oddychaniem, utraty przytomności, zaburzenia mowy — cóż, zwykle wyczerpanie organizmu.

A więc wyjazd do sanatorium w górach. Leżenie, całkowity bezruch, wpatrywanie się przez okno w ciemny kontur sosny przecinający linię nieba, pochylająca się nad nim okrągła, różowa twarz, oczy za grubymi szklami okularów, sowie w swojej powadze.

— To będzie długa historia; musi się pan uzbroić w cierpliwość.

— Słucham, panie doktorze?

— Na szczęście pański organizm jest silny, lecz przyznaję, niemiłosiernie go pan nadwerężył. Serce, płuca, cóż, nie będę wyliczał dalej: został zaatakowany każdy organ.

— Czy chce mi pan w ten sposób zakomunikować, że powoli umieram? — W pytaniu, poza umiarkowaną ciekawością, nie kryło się nic więcej.

— Bynajmniej. Przywrócimy panu zdrowie. Tak jak powiedziałem, zabierze to nam trochę czasu, lecz wyjdzie pan stąd w dobrej formie. Tylko... — lekarz zawahał się.

— Tylko co?

— Chciałbym być dobrze zrozumiany, doktorze Knox. W przyszłości powinien pan prowadzić spokojne życie. Koniec z działalnością publiczną. Pańskie serce tego nie wytrzyma. Żadnych trybun, żadnego wysiłku, żadnych przemówień.

— Po odpoczynku...

— Nie, doktorze Knox, bez względu na to, jak długo będzie pan odpoczywał, moje orzeczenie lekarskie będzie brzmiało tak samo.

— Rozumiem. — Rozmyślał przez chwilę. — Rozumiem. Jestem skończony?

— Można to tak wyrazić.

Skończony. Narzędzie, używane przez Boga do Jego celów, kruche tak, jak kruche bywa ludzkie ciało, nie służyło długo. Minał czas jego użyteczności. Zostało wykorzystane, a potem odrzucone jako zbędne.

I co dalej?

Oto pytanie. Co dalej?

Bo tak naprawdę, to kim on jest, on, Llewellyn Knox?

Powinien znaleźć jakąś odpowiedź.

Wilding jakby odgadł jego myśli. — Czy wypada mi zapytać o pańskie plany na przyszłość?

— Nie mam żadnych.

— Naprawdę? Nie chciałby pan wrócić...

— O powrocie nie ma mowy — przerwał Llewellyn niezbyt uprzejmie.

— To może jakaś zmodyfikowana forma aktywności?

— Nie. To niemożliwe.

— Powiedziano to panu?

— Lekarz kładł nacisk na to, bym skończył z życiem publicznym. Żadnych trybun. Po prostu koniec.

— Spokojne życie w jakimś zakątku świata? Wiem, nie samo życie dla życia, lecz, powiedzmy, pewne obowiązki duszpasterskie w jakimś kościele?

— Byłem tylko apostołem, sir Richardzie. To zupełnie co innego.

— Przepraszam, już rozumiem. Pan chce zacząć zupełnie nowe życie.

— Tak, życie prywatne, jako mężczyzna.

— I właśnie to pana niepokoi i wprawia w zakłopotanie?

Llewellyn potrząsnął głową.

— Nic podobnego. Podczas tych kilku tygodni, które spędziłem tutaj, zrozumiałem wyraźnie, że udało mi się uniknąć wielkiego niebezpieczeństwa.

— Jakiego?

— Mężczyzna nie powinien ufać swojej potędze. To go psuje od wewnątrz. Jak długo jeszcze mogłem robić to, co robiłem, a równocześnie pozostać nieskazitelny? Przypuszczam, że proces psucia już się rozpoczął. Tamte momenty, w których przemawiałem do nieprzebranych tłumów; czyż nie zaczynało mi się zdawać, że to naprawdę ja mówię, że to naprawdę ja zsyłam im objawienia, ja, który wiedziałem, co mają robić, a czego nie powinni, ja, który przestałem być wysłannikiem Boga, a stałem się jego zastępcą? Czy pan to rozumie? Zwykły człowiek wyniesiony do godności wezyra, czczony, postawiony nad innymi ludźmi! — Dodał spokojnie: — Bóg w swojej dobroci w porę mnie przed tym ustrzegł.

— A zatem pańska wiara nie umniejszyła się przez to, czego pan doświadczył?

— Wiara? — Llewellyn zaśmiał się. — To słowo wydaje mi się dziwne. Czy wierzymy w słońce, w księżyc, w krzesło, na którym siedzimy, w ziemię, po której stąpamy? Jeśli ktoś posiada wiedzę, nie potrzebuje wiary. I proszę przestać myśleć, że przeżyłem coś w

rodzaju tragedii. Nie przeżyłem, nadal trzymam się wyznaczonego kursu. Pańska wyspa po prostu znalazła się na mojej drodze, a kiedy nadejdzie odpowiedni czas, opuszczę ją.

— Czy to znaczy, że otrzyma pan kolejny rozkaz? Tak to pan nazwał, prawda?

— Och, nie, nic tak stanowczego. Lecz krok po kroku zacznę się przede mną zarysowywać pewien kierunek działania, zarówno celowy, jak nieuchronny. Wówczas wyruszę i przystąpię do działania. Wszystko samo wyklaruje się w mojej głowie. Będę wiedział, dokąd mam się udać i co powinienem robić.

— Tak po prostu?

— Myślę... myślę, że tak. Nazwałbym to kwestią ogólnie pojętej harmonii. Zły kierunek działania, zły w sensie omyłki, a nie zła jako takiego, natychmiast daje się wyczuć: to tak jak zgubienie kroku podczas tańca albo fałszywa nuta w melodii; po prostu drażni. — Poruszony nieoczekiwanym wspomnieniem, dodał: — Gdybym był kobietą, mógłbym użyć innego porównania: to jak zmylenie ściegu w robocie na drutach.

— Właśnie: co z kobietami? Może zechce pan wrócić do domu i odnaleźć dawną miłość?

— Sentymentalne zakończenie? Wątpię. Poza rym— uśmiechnął się — Carol jest mężatką od wielu lat. Ma troje dzieci, a jej mąż zbija prawdziwy majątek, i to na wielką skalę. Carol i ja nie byliśmy sobie przeznaczeni. To była zaledwie młodzieńcza przygoda, która nie odcisnęła się ani na jej, ani na moim życiu.

— A inne kobiety? Czyżby nie było żadnej? Przez te wszystkie lata?

— Bogu dzięki, nie. Gdyby tak się stało, gdybym ją spotkał, wówczas...

Nie dokończył zdania, trochę tym Wildinga zaskakując. Wilding nie mógł sięgnąć wzrokiem do obrazu, który pojawił się w myślach Llewellyna: skrzydło ciemnych włosów, delikatne skronie, tragiczne oczy.

Pewnego dnia, o czym Llewellyn wiedział, ta kobieta może pojawić się na jego drodze. Jest równie realna jak tamto jasne biurko i sanatorium. Gdzieś istnieje. Gdyby spotkał ją podczas swojej misji, byłby zmuszony z niej zrezygnować. Być może tego by zażądano. Lecz czy zrobiłby to? Wątpliwe. Jego ciemna dama nie była pierwszą lepszą Carol; nie chodziło o błahą miłośćkę zrodzoną w czas wiosny ani o zniewalające młodego chłopca zmysły. Jednak nie został poddany takiej próbie. Nikt nie wymógł na nim takiego poświęcenia. Teraz był wolny. Kiedy się spotkają... Nie wątpił, że to nastąpi. W jakich okolicznościach, w jakim miejscu, w jakim czasie, nie wiadomo. Kamienna chrzcielnica w

kościół i języki ognia były jedynymi wskazówkami. No i jeszcze to nieprzeparane wrażenie, że oboje zbliżają się do siebie, że już niedługo...

Zaskoczyła go nagłość, z jaką ktoś otworzył boczne drzwi do biblioteki.

— Kochanie, nie sądziłam...

Nie miała na sobie hiszpańskiego szala ani czarnej sukni. Spowita była w coś przezroczystego i zwiewnego w bladym różowofioletowym kolorze i chyba to ten kolor sprawił, że Llewellynowi zdawało się, iż wniosła ze sobą staroświecki zapach lawendy. Ujrawszy go, zatrzymała się; jej oczy, lekko szkliste, o rozszerzonych źrenicach, wpatrywały się w nieoczekiwanego gościa z taką obojętnością, że zakrawało to prawie na kpiny.

— Kochanie, co z bólem głowy? Przedstawiam ci doktora Knoxa. A to moja żona.

Llewellyn podszedł do niej, ujął bezwolną dłoń i wygłosił oficjalną formułkę:

— Bardzo mi miło panią poznać, lady Wilding.

Spojrzenie lady Wilding nabrało żywości; pojawiła się w nim lekka ulga. Usiadła na krześle, które podsunął jej mąż, i zaczęła wyrzucać z siebie oderwane zdania.

— A więc to pan jest doktorem Knoxem? Naturalnie, czytałam o panu. Jakie to dziwne, że zjawił się pan tutaj, na wyspie. Dlaczego? To znaczy, co pana do tego skłoniło? Ludzie nieczęsto to robią, prawda, Richardzie? — Odwróciła z lekka głowę i mówiła

dalej, bez większego związku: — Chcę powiedzieć, że nie zostają na wyspie. Przyływają i odpływają. Dokąd? Nieraz się nad tym zastanawiam. Kupują owoce i te bezsensowne laleczki, i tutejsze słomiane kapelusze, a potem wracają z nimi na statki, statki zaś odpływają w swój rejs. Dokąd wracają? Do Manchesteru? Do Liverpoolu? Może do Chichester? Tam wkładają plecione kapelusze i udają się na nabożeństwo do katedry. To na pewno zabawnie wygląda. Ludzie mówią wówczas: „Nie wiem, czy się wchodzi, czy wychodzi”. Moja stara niania zwykle to powtarzała. Ale to prawda, czyż nie? Takie właśnie jest życie. Ciągłe zamieszanie. Czy ktoś wchodzi, czy wychodzi? Nie wiem.

Potrząsnęła głową i roześmiała się nieoczekiwanie. Przechyliła się lekko to na jedną, to na drugą stronę. Jeszcze kilka minut, a zemdleje, pomyślał Llewellyn. Ciekawe, czy on zdaje sobie z tego sprawę.

Jedno krótkie spojrzenie na Wildinga zaspokoilo jego ciekawość. Wilding, ten bywały w świecie człowiek, nie miał o niczym pojęcia. Pochylał się właśnie ku żonie z twarzą przepelnioną miłością i niepokojem.

— Kochanie, jesteś rozgorączkowana. Nie powinnaś wstawać.

— Poczułam się lepiej po zażyciu tych wszystkich pigułek; uśmierzają ból, choć jednocześnie odurzają. — Zaśmiała się krótko, niepewnie i odgarnęła opadające na czoło błyszczące włosy. — Nie przejmuj się mną, Richardzie. Podaj doktorowi Knoxowi coś do picia.

— A tobie? Może odrobinę brandy? Dobrze by ci zrobiła.

— Nie — skrzywiła się. — Dla mnie woda sodowa z cytryną.

Wilding przyniósł jej szklanke, a ona podziękowała uśmiechem.

— Nie umiera się od picia — powiedział.

Twarz lady Wilding stężała, a uśmiech stał się wymuszony.

— Kto to wie?

— Ja wiem. Knox, a co dla pana? Koktajl? Whisky?

— Brandy z wodą sodową, jeśli można.

— Moglibyśmy stąd wyjechać — powiedziała nagle, podążając wzrokiem za alkoholem, który podawał Knoxowi. — Wyjedziemy, Richardzie?

— Z naszej posiadłości? Z wyspy?

— Z jednego i z drugiego.

Wilding nalał whisky dla siebie, wrócił i stanął za krzesłem żony.

— Możemy wyjechać, dokąd tylko sobie życzysz, najdroższa. W każde miejsce i o każdej porze. Proszę bardzo, nawet dziś wieczorem.

Westchnęła głęboko i przeciągle.

— Jesteś dla mnie taki dobry. Oczywiście, nie chcę stąd wyjeżdżać. Zresztą, jak mógłbyś? Wprowadziłeś wszystko w ruch i w końcu robisz postępy.

— Masz rację, lecz to nie ma znaczenia. Ty jesteś najważniejsza.

— Może wyjechałabym sama, choćby na trochę.

— Nie. Wyjedziemy razem. Chcę, żebyś zawsze miała kogoś przy sobie. Żebyś czuła się pewnie.

— Sądzisz, że potrzebuję stróża? — Zaczęła się śmiać. To był śmiech niezupełnie kontrolowany. Urwała nagle, przykładając dłoń do ust.

— Chcę, żebyś zawsze miała tę pewność, że jestem przy tobie.

— Ależ ja ją mam, naprawdę.

— Pojedziemy do Włoch. Albo do Anglii. Jak wolisz. Być może tęsknisz za Anglią.

— Nie. Nie pojedziemy nigdzie. Zostaniemy tutaj. Gdziekolwiek będziemy, będzie tak samo. Zawsze tak samo.

Osunęła się trochę na krzesło. W jej oczach, wpatrzonych w przestrzeń, malował się smutek. Nagle spojrzała przez ramię w zakłopotaną, zmartwioną twarz męża.

— Mój drogi — powiedziała — jesteś wspaniały. I zawsze taki cierpliwy.

— Tak długo, jak długo to przyznajesz, nic poza tobą nie ma znaczenia — odparł cicho.

— Wiem, Richardzie, dobrze o tym wiem.

— Miałem nadzieję, że będziesz tu szczęśliwa, lecz widzę teraz, że na wyspie brakuje rozrywek.

— Jest doktor Knox — powiedziała.

Nagłym ruchem obróciła głowę w stronę gościa i uśmiechnęła się do niego wesoło, po szelmowsku. Pomyślał, że w innych okolicznościach mogłaby być czarującą istotą.

— A jeśli chodzi o wyspę i o naszą posiadłość — kontynuowała — to są one rajem na ziemi. Uwierzyłam ci, gdy mi to kiedyś powiedziałeś. I słusznie. To naprawdę ziemski raj.

— Ach!

— Jednak ja nie mogę cieszyć się nim. Czy nie sądzi pan, doktorze Knox — znów wybijała poszczególne słowa — że aby żyć w raju, trzeba mieć silny charakter? Jak te postaci z obrazów dawnych prymitywistów, święci siedzący rzędem pod drzewami, w koronach na głowach (zawsze mi się zdawało, że korony są bardzo ciężkie) i rzucający te złote korony do połyskliwego morza; jest taka pieśń kościelna, prawda? Możliwe, że Bóg pozwolił im pozbyć się koron z powodu ich ciężaru. To męczące nosić koronę przez cały czas. Zdarza się, że ktoś ma przesyt wszystkiego, prawda? Myślę... — Podniosła się i zrobiła jeden niezdarny krok. — Myślę, że chyba powinnam wrócić do łóżka. Masz rację, Richardzie, chyba mam gorączkę. Lecz korony są ciężkie. Pobyt na wyspie to jak sen na jawie, tylko że ja już nie śnię. Niewątpliwie gdzieś powinnam być, lecz nie wiem gdzie. Gdyby tylko...

Zachwiała się nagle. Llewellyn, który tego właśnie się spodziewał, pochwycił ją w porę i oddał w ręce Wildinga.

— Musi wrócić do łóżka — poradził szorstko.

— Tak, to jasne. Zaraz zadzwonię po lekarza.

— Wystarczy, jak się wyśpi.

Richard Wilding spojrział na niego powątpiewająco.

Llewellyn zaofiarował swą pomoc i obaj mężczyźni wynieśli nieprzytomną kobietę przez te same drzwi, przez które weszła do biblioteki, i udali się korytarzem aż do otwartych drzwi sypialni. Położyli ją delikatnie na wielkim, rzeźbionym drewnianym łożu, przykrytym

narzutą z kosztownego, ciemnego, brokatu. Wilding wyszedł na koiytarz, aby przywołać służącą.

Llewellyn obrzucił pokój jednym spojrzeniem. Wszedł za kotarę, do niszy, w której znajdowała się łazienka, zajrzał do oszklonej szafki i wrócił do sypialni. Słyszając, że Wilding nadal wzywa niecierpliwie jakąś Marię, pokręcił się chwilę przy toalecie.

Parę sekund później gospodarz domu wszedł do pokoju, poprzedzany przez niską, śniadą kobietę.

Ta ostatnia podeszła wprost do łóżka i nachylając się nad leżącą, coś krzyknęła.

— Dopilnuj pani. Ja zadzwonię po lekarza — powiedział Wilding.

— To nie jest konieczne, se?or. Wiem, co trzeba zrobić. Do rana przyjdzie do siebie.

Wilding, potrząsając głową, opuścił niechętnie sypialnię. Llewellyn ruszył za nim, lecz przystanął w progu.

— Gdzie ona to trzyma? — zapytał.

Kobieta popatrzyła na niego; jej powieki zatrzepotały. Następnie, jakby wbrew własnej woli, powędrowała spojrzeniem ku ścianie za jego plecami. Odwrócił się. Wisiał tam mały obrazek, pejzaż w stylu Corota. Llewellyn zdjął go z gwoźdźca. Pod obrazkiem znajdował się mały, staroświecki ścienny schowek, służący kobietom do przechowywania biżuterii, z nowoczesnym zabezpieczeniem przed współczesnymi włamywaczami. Kluczyk tkwił w zamku. Llewellyn otworzył drzwiczki i spojrział do środka. Pokiwał głową i zamknął schowek. Popatrzyli na siebie z Marią z pełnym zrozumieniem.

Wyszedł z pokoju i dołączył do Wildinga, który właśnie odkładał słuchawkę telefonu na widełki. — Doktor wyszedł do porodu, jak zrozumiałem. — Myślę — odezwał się Llewellyn, starannie dobierając słowa — że Maria wie, co ma robić. Przypuszczam, że już widywała lady Wilding w takim stanie.

— Tak... tak... Możliwe, że ma pan rację. Ona jest bardzo oddana mojej żonie.

— To widać.

— Moją żonę wszyscy kochają. Ona wzbudza w ludziach uczucie miłości, a także chęć opieki. Ci wszyscy tubylcy uwielbiają piękno, a zwłaszcza piękno, któremu towarzyszy jakaś niedola.

— A mimo to są większymi realistami, niż Anglosasi będą kiedykolwiek.

— Możliwe.

— Potrafią spojrzeć prawdzie w oczy.

— A my?

— Bardzo często nie. Pańska żona mieszka w pięknym pokoju. Czy wie pan, co mnie w nim uderzyło? Brak zapachu perfum, którymi kobiety tak często się rozkoszują. Zamiast nich, wyczułem jedynie zapach lawendy i wody kolońskiej.

Richard Wilding skinął głową.

— Wiem. Shirley zawsze kojarzy mi się z lawendą. Przypomina mi to dni mojego dzieciństwa, zapach lawendy w matczynej bieliźniarce. Przepiękna, biała bielizna i małe torebeczki lawendy, które matka wkładała między poszczególne sztuki, tamta świeżość i tamte zapachy wiosny. Zwykle wiejskie życie.

Westchnął i spojrzał na swojego gościa, w którego oczach kryło się coś, czego nie był w stanie zrozumieć.

— Muszę już iść — powiedział Llewellyn, wyciągając rękę na pożegnanie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Wciąż pani tu przychodzi?

Knox wstrzymał się z tym pytaniem do odejścia kelnera.

Lady Wilding milczała chwilę. Tego wieczoru nie patrzyła na port i na światła statków. Zamiast tego spoglądała na stojącą przed nią szklankę, wypełnioną zawieszonym, złocistym płynem.

— Sok pomarańczowy — powiedziała. — Widzę. Zwykły gest.

— Tak. Zwykłe gesty czasem pomagają.

— Och, bez wątpienia.

— Czy powiedział mu pan, że bywam tutaj?

— Nie.

— Dlaczego?

— Mogłoby go to zboleć. Albo sprawić ból pani. A poza tym nie pytał mnie.

— Gdyby zapytał, powiedziałby pan?

— Tak.

— Dlaczego?

— Może prawda okazałaby się lepsza od niewiedzy.

Westchnęła.

— Ciekawa jestem, czy pan w ogóle coś rozumie.

— Sam tego nie wiem.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę go zranić? Czy pan nie zauważył, jaki jest dla mnie dobry? Jak we mnie wierzy? Jak myśli tylko o mnie?

— Tak. Rozumiem. I rozumiem również, że chce stanąć między panią a pani zmartwieniami, chce odgradzić panią od wszelkiego zła.

— Ale ja mam tego dość.

— Tak, może pani mieć dość.

— Czasami człowiek zaplątuje się w jakąś sytuację. Potem nie potrafi się z niej wyplątać. Udaje, dzień po dniu udaje. W końcu jest zmęczony, gotów jest krzyknąć: Przestań mnie kochać, przestań się mną opiekować, przestań się o mnie martwić, przestań o mnie dbać, przestań mi się nieustannie przyglądać! — Zacisnęła dłonie. — Chcę być szczęśliwa z Richardem. Naprawdę chcę tego! Więc dlaczego nie jestem? Dlaczego mam wszystkiego powyżej uszu?

— „Posilcie mnie plackami z rodzynek, wzmocnijcie mnie jabłkami, bo chora jestem z miłości”*.

— Tak, właśnie tak. To odnosi się do mnie. I to ja jestem wszystkiemu winna.

— Dlaczego go pani poślubiła?

— Ach! — Jej źrenice rozszerzyły się. — To proste. Zakochałam się w nim.

— Rozumiem.

— To było, jak przypuszczam, coś w rodzaju namiętności. Mój mąż jest obdarzony wielkim urokiem, a poza tym pociągał mnie fizycznie. Czy wyrażam się jasno?

— Tak.

— Poza tym był taki romantyczny. Pewien kochany staruszek, który znał mnie od urodzenia, ostrzegwał mnie: „Możesz uciąć sobie z Richardem romans, ale nie wychodź za niego”. Miał całkowitą rację. Widzi pan, wówczas, kiedy zjawił się Richard, byłam bardzo nieszczęśliwa. Zaczęłam śnić... tak, to był mój sen na jawie. Miłość, Richard, jego wyspa, pełnia księżycy. To pomagało, a przy tym nikogo nie raniło. Teraz mój sen się spełnił, ale ja już nie jestem sobą w tym śnie. Jestem tą, która go wyśniła, tylko tyle. Wiem, że tak nie powinno być. — Popatrzyła przez stół prosto w oczy Llewellyna. — Czy kiedyś będę sobą z moich snów? Chciałabym, aby tak się stało.

— Nie stanie się, jeśli pani nią nigdy tak naprawdę nie była.

— Mogłabym odejść. Ale dokąd? Nie w przeszłość, ponieważ przeszłość minęła, przeszłość nie istnieje. Mogłabym zacząć wszystko od początku, lecz nie wiem, jak i gdzie. Tak czy inaczej, nie zraniłabym Richarda. Życie zdążyło go zranić wcześniej.

— Istotnie?

— Tak, posłużyło się kobietą, którą poślubił. Najzwyczajniej w świecie była dziewczyną lekkich obyczajów. Bardzo pociągającą i bardzo dobroduszną, lecz kompletnie amoralną. Richard nie zdawał sobie z tego sprawy.

— To do niego podobne.

— Upokorzyła go, i to boleśnie, a on się tym strasznie przejął. Obwinił siebie. Zdawało mu się, że w jakiś sposób ją zaniedbał. Nie oskarżał jej, jedynie się nad nią litował.

— Pani mąż ma w sobie za dużo litości.

— Czy ktokolwiek może jej mieć za dużo?

— Tak, a to powoduje, że taki człowiek nie jest zdolny do postrzegania rzeczy we właściwym wymiarze. A poza tym — dodał — litość równa się obrazie.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Litość zawsze przypomina mi modły faryzeuszy: „Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie”*.

— Czy nigdy i nikogo pan nie żałuje?

— Ależ tak. Przecież nie jestem pozbawiony ludzkich uczuć. Lecz litości się boję.

— Jakie zło mogłaby wyrządzić?

— Mogłaby prowadzić do działania.

— I co w tym złego?

— Z działania mogłoby nie wyniknąć nic dobrego.

— Dla pana?

— Nie, nie dla mnie. Dla tego kogoś, nad kim bym się zlitował.

— Zatem co może zrobić ktoś, komu żal drugiego człowieka?

— Zostawić go tam, gdzie powinien być, to jest w rękach Boga.

— To brzmi potwornie. To brzmi surowo.

— Za to jest o wiele mniej niebezpieczne niż uleganie łatwemu współczuciu.

Pochyliła się ku niemu.

— Proszę mi powiedzieć: żałuje mnie pan chociaż trochę?

— Staram się tego nie robić.

— Dlaczego?

— Żeby pani nie zaczęła się litować sama nad sobą.

— A nie sądzi pan, że już się lituję?

— A jest tak w istocie?

— Nie — powiedziała wolno. — Nie jest. Wszystko mi się poplątało, lecz nikt nie jest temu winien, tylko ja sama.

— Tak zwykle bywa, lecz w pani przypadku może być inaczej.

— Proszę mi powiedzieć, wszak jest pan mądry, przecież to pan głosi kazania, co powinnam zrobić?

— Pani wie, co.

Popatrzyła na niego i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, roześmiała się. To był wesoły, wspaniały śmiech.

— Tak — przyznała. — Wiem. I to dobrze. Powinnam walczyć.

CZĘŚĆ CZWARTA

LAURA RAZ JESZCZE — 1956

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Llewellyn przyjrzał się budynkowi, zanim wszedł do środka.

Dom był równie bezbarwny jak ulica, na której stał. Tu, w tej części Londynu, do szkód wyrządzonych przez wojnę dołączyło ogólne zaniedbanie. Wszystko razem sprawiało przygnębiające wrażenie. Llewellyn również był przygnębiony. Zadanie, z którym tu przybywał, było bolesne. Niezupełnie się przed nim wzdragał, lecz czuł, że będzie rad, jeśli uda mu się z niego wywiązać najlepiej, jak potrafi.

Westchnął, rozprostował ramiona, pokonał niewysoką kondygnację schodów, przeszedł przez obrotowe drzwi.

Wnętrze budynku było ruchliwe, jednak ta ruchliwość najwidoczniej była dobrze zaplanowana i niewątpliwie czemuś służyła. Spieszne, lecz zdyscyplinowane stopy przemierzały wzdłuż i wszerz korytarze. Zatrzymała się przy nim młoda kobieta w wyblakłym, niebieskim uniformie.

— Czy mogę w czymś pomóc?

— Pragnę zobaczyć się z panną Franklin. — Przykro mi. Panna Franklin nie przyjmuje dzisiaj rano nikogo. Zaprowadzę pana do sekretariatu.

Llewellyn uprzejmie nalegał na widzenie z panną Franklin.

— To ważna sprawa — powiedział i dodał: — Może zechciałaby pani wręczyć jej ten list.

Kobieta w uniformie zaprowadziła go do poczekalni i zniknęła. Po pięciu minutach zjawiała się inna, o pełnych kształtach, z miłą twarzą, energiczna. — Jestem Harrison, sekretarka panny Franklin.

Niestety, będzie pan musiał poczekać kilka minut. Panna Franklin zajmuje się dzieckiem, które właśnie po operacji wybudza się z narkozy.

Llewellyn podziękował i zaczął zadawać pytania. Kobieta ożywiła się i skwapliwie przystąpiła do wyjaśnień, dotyczących Fundacji Worleya dla Dzieci Niedorozwiniętych.

— Wie pan, to bardzo stara fundacja. Powstała w 1840 roku. Nathaniel Worley, jej założyciel, był właścicielem młyna. — Podniosła głos. — Tak nieszczęśliwie się złożyło, że fundusze zmalały, inwestycje nie przyniosły spodziewanego zysku... wzrosły koszty utrzymania... oczywiście zarząd nie był bez winy. Jednak od kiedy panna Franklin została dyrektorką... — Twarz sekretarki pojaśniała, słowa zaczęły płynąć jeszcze bardziej potoczyscie.

Okazało się, że panna Franklin wyczyściła stajnie Augiasza, panna Franklin zreorganizowała to i tamto, panna Franklin stanęła do walki z władzami i zwyciężyła, a teraz, co oczywiste, panna Franklin rządzi doskonale i wszystko jest najlepsze na tym najlepszym ze światów. Llewellyn był ciekaw, skąd bierze się u kobiet żalosna zdolność obnoszenia się z entuzjazmem dla innych przedstawicielek swojej płci. Wątpił, czy będzie w stanie polubić wszechwładną pannę Franklin. Królowa pszczoł, pomyślał. Pozostałe kobiety robiły wiele szumu, puszyły się i czerpały korzyści z władzy na swoją miarę.

W końcu panna Harrison poprowadziła go w górę schodami, potem korytarzem, zapukała do jakichś drzwi, odsunęła się na bok i zrobiła gest, który znaczył, że ma wejść do czegoś, co było najwyraźniej najświętszym przybytkiem: do prywatnego gabinetu panny Franklin.

Siedziała za biurkiem i wyglądała na istotę kruchą i bardzo zmęczoną. Podniosła się i wyszła mu naprzeciw. Llewellyn wpatrywał się w nią w osłupieniu, przejęty grozą.

— Pani... — powiedział prawie szeptem.

Zmarszczyła lekko brwi, te delikatnie zaznaczone brwi, które znał tak dobrze. To była ta sama twarz: blada, subtelna, smutne, szerokie usta, niezwykła oprawa ciemnych oczu, odrzucone ze skroni włosy, triumfalnie niby skrzydła. Tragiczna twarz, pomyślał, aczkolwiek te pełne wargi były stworzone do śmiechu. Tak, tę surową, dumną twarz mogłaby odmienić czułość.

— Doktor Llewellyn? — zapytała cicho. — Mój szwagier uprzedził mnie listownie, bym się pana spodziewała. To miło z pana strony.

— Obawiam się, że wiadomość o śmierci siostry musiała panią boleśnie wstrząsnąć.

— To prawda. — Głos jej drżał, gdy wymawiała te słowa, lecz prędko nad nim zapanowała. Dodała jeszcze: — Była taka młoda.

Potrafi trzymać się w ryzach, pomyślał Llewellyn. Jej ubranie przypominało strój zakonnicy. Nosiła się na czarno, z odrobiną bieli pod szyją.

— Żałuję, że to nie ja umarłam zamiast niej. Choć być może zawsze się tego żałuje.

— Nie zawsze. Jedynie, kiedy się bardzo kocha albo jeśli się nie jest w stanie znieść śmierci tego kogoś.

Ciemne oczy otworzyły się szerzej. Popatrzyła na niego pytająco.

— Doprawdy, czy to pan Llewellyn Knox?

— Kiedyś nim byłem. Teraz przedstawiam się jako doktor Murray Llewellyn. To chroni mnie przed ciągłym przyjmowaniem wyrazów współczucia i jest mniej kłopotliwe tak dla mnie, jak i dla innych.

— Widziałam pańskie zdjęcia w gazetach, jednak nie spodziewałam się, że uda mi się rozpoznać pana w rzeczywistości.

— To prawda. Większość ludzi już mnie nie rozpoznaje. Pojawiły się nowe twarze, a ja, co także trzeba wziąć pod uwagę, ja prawdopodobnie zmałałem.

— Zmałał pan? Uśmiechnął się.

— Nie fizycznie, po prostu nie jestem już osobą publiczną. — Mówił dalej: — Wie pani zapewne, że przywozłem kilka rzeczy, należących niegdyś do pani siostry. Sir Wilding sądził, że zechce je pani zachować. Mam je u siebie w hotelu. Może chciałaby pani zjeść tam ze mną obiad lub, jeśli pani woli, dostarczę je tutaj.

— Ucieszą mnie niezmiernie. Chcę usłyszeć wszystko, co ma pan do powiedzenia o Shirley. Minęło wiele czasu, od kiedy widziałam ją ostatni raz. Prawie trzy lata. Wciąż nie potrafię uwierzyć, że nie żyje.

— Wiem, co pani czuje.

— Chcę usłyszeć wszystko, co może mi pan o niej powiedzieć, lecz... lecz proszę mnie nie pocieszać. Przypuszczam, że nadal wierzy pan w Boga. Cóż, ja nie! Przepraszam, zabrzmiało to brutalnie, lecz w ten sposób lepiej pan zrozumie moje uczucia. Jeśli Bóg istnieje, jest okrutny i niesprawiedliwy.

— Ponieważ pozwolił umrzeć pani siostrze?

— Nie dyskutujmy o tym. Nie mieszajmy w to religii. Proszę mi opowiedzieć o Shirley. Wciąż nie rozumiem, jak doszło do tego wypadku.

— Kiedy przechodziła przez ulicę, potrafiła ją i przejechała wielka ciężarówka. To był moment. Nie zdążyła poczuć bólu.

— Tak właśnie napisał mi Richard. Jednak zastanawiam się, czy po prostu nie usiłował mnie oszczędzić. To podobne do niego.

— Do niego tak, ale nie do mnie. Proszę zatem uwierzyć, że pani siostra zginęła na miejscu i że nie cierpiała.

— Jak to się zdarzyło?

— Był późny wieczór. Shirely siedziała w jednej z portowych kawiarni pod gołym niebem, z widokiem na morze. Opuściła ją, weszła na jezdnię, nie spojrzawszy za siebie, a ciężarówka wyjechała zza rogu i wpadła na nią.

— Czy była sama? — Tak, zupełnie.

— A Richard? Gdzie był Richard? Dlaczego nie z nią? Wydaje mi się to takie niezwykle. Nigdy bym nie przypuszczała, że pozwoli Shirley wyjść samej wieczorem do kawiarni. Byłam pewna, że dba o nią, że jej pilnuje.

— Nie powinna go pani obwiniać. On ją uwielbiał. Pilnował jej na wszelkie możliwe sposoby. Wtedy nie miał pojęcia, że wyszła z domu.

Jej twarz złagodniała.

— Rozumiem. Byłam niesprawiedliwa. — Zaciśnęła dłonie. — To takie okrutne, takie krzywdzące, takie bezsensowne. Nic nie zmieni tego, że nie ma już Shirley. Tylko przez trzy lata była szczęśliwa.

Nie od razu odpowiedział. Siedział i przyglądał się swojej rozmówczyni.

— Proszę wybaczyć pytanie: bardzo kochała pani siostrę?

— Bardziej niż kogokolwiek na świecie.

— A jednak nie widziała jej pani przez trzy lata. Wildingowie zapraszali panią wielokrotnie, więc dlaczego pani tam nie pojechała?

— Trudno jest zostawić pracę i znaleźć zastępstwo.

— Tak, być może, lecz wszystko da się zorganizować. Dlaczego nie chciała pani ich odwiedzić?

— Chciałam! Naprawdę chciałam!

— Ale było coś, co panią zatrzymywało na miejscu. — Już to powiedziałam. Moja praca w Fundacji...

— Czy aż tak bardzo kocha pani swoją pracę?

— Czy ją Kocham? Nie. — Zdawała się zaskoczona. — Jednak jest warta zachodu. Odpowiada potrzebie chwili. O te dzieci nikt się nie troszczył. Myślę... naprawdę myślę... że to, co robię, jest użyteczne. — Mówiła z niezwykłym przejęciem.

— Naturalnie, to jest użyteczne. Wcale nie wątpię.

— Kiedy przyszedłam tutaj, trafiłam w sam środek potwornego bałaganu. Włożyłam mnóstwo wysiłku, żeby wszystko doprowadzić do porządku.

— Jest pani dobrą administratorką. Zdążyłem to zauważyć. Ma pani własną osobowość. Potrafi pani kierować ludźmi. Tak, jestem pewien, że wykonała pani mnóstwo niezbędnej i użytecznej pracy. Czy była to także zabawa?

— Zabawa? — Popatrzyła na niego z przestrawieniem. — To nie jest obce słowo. Mogłaby to być zabawa, gdyby je pani kochała.

— Kogo?

— Dzieci.

— Nie, nie Kocham ich — powiedziała powoli, ze smutkiem. — Nie taką miłością, jaką ma pan na myśli. Choć chciałabym. Bo wtedy...

— Bo wtedy byłaby to przyjemność, nie obowiązek. To chciała pani powiedzieć, tak? A treścią pani życia są obowiązki.

— Dlaczego tak pan sądzi?

— Ponieważ to jest wypisane na pani twarzy. Zastanawiam się tylko, jak do tego doszło. Nagle podniósł się z miejsca i zaczął przechadzać się niespokojnie tam i z powrotem.

— Co pani robiła przez całe swoje życie? To jest tak zaskakujące, tak niezwykle, znać panią tak dobrze, a jednocześnie niczego o pani nie wiedzieć. Czuję się, jakbym miał rozdarte serce. Nie wiem, od czego zacząć.

Był ogromnie strapiiony, lecz cóż mogła na to poradzić?

— Prawdopodobnie sprawiam wrażenie kogoś, kto oszalał — mówił dalej. — Pani tego nie rozumie. Bo i jakże? Cóż, okazuje się, że przybyłem do tego kraju po to, aby panią spotkać.

— Przywożąc mi rzeczy Shirley? Zamachał niecierpliwie ręką.

— Istotnie, tak miało być. Przyjechałem tu w charakterze posłańca. Nie miałem pojęcia, najmniejszego, że to będzie właśnie pani. — Pochylił się ku niej nad biurkiem. — Proszę posłuchać, Lauro — powiedział żarliwie — kiedyś wreszcie musi się pani tego dowiedzieć. Wiele lat temu, zanim podjąłem się swojej misji, ujrzałem trzy sceny. Rodzina mojego

ojca, z pokolenia na pokolenie, miała dar jasnowidzenia. Przypuszczam, że ja też go mam. Ujrzałem kiedyś trzy rzeczy tak wyraźnie, jak teraz widzę panią. Zobaczyłem biurko, a za nim mężczyznę o wydatnych szczękach. Zobaczyłem okno, a za nim sosnę na tle nieba i mężczyznę o okrągłej, różowej twarzy, na której malował się wyraz sowej mądrości. W stosownym czasie zmierzyłem się z tymi scenami w rzeczywistości. Mężczyzna za wielkim biurkiem był multimilionerem, finansującym naszą religijną krucjatę. Później trafiłem do sanatorium. Tam, leżąc w łóżku, często spoglądałem na widoczne przez okno sosny, rysujące się na de nieba, a lekarz o okrągłej, różowej twarzy stał obok mnie i mówił mi, że moja apostolska misja już dobiegła końca. W trzeciej scenie występowała pani. Tak, Lauro, pani. Tak wyraźnie jak teraz. Była pani młodsza, lecz w pani oczach krył się ten sam smutek, a w pani twarzy ta sama tragedia. Nie widziałem pani w żadnej specjalnej oprawie, lecz w zamazanych barwach, w jakimś czarnym stroju, widziałem kościół, a potem płomienie za pani plecami.

— Płomienie? — Była poruszona.

— Tak. Czy przeżyła pani kiedyś pożar?

— Tak, jako dziecko. A jaki to był kościół? Katolicki? Z Matką Boską w niebieskim płaszczu?

— Nic aż tak określonego. Nie widziałem kolorów ani świateł. Chłodna szarość i... tak, jakaś chrzcielnica. Stała pani obok chrzcielnicy.

Z jej twarzy odpłynęła krew. Wolno uniosła dłonie ku skroniom.

— To coś dla pani znaczy, Lauro? Proszę mi powiedzieć, co.

— Shirley Margaret Evelyn, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... — zabrzmiały niby echo dawno temu wypowiedziane słowa. — Chrzest Shirley. Byłam jej zastępczą matką chrzestną. Trzymałam ją i chciałam upuścić na kamienną posadzkę! Chciałam, żeby umarła! Oto, jakie myśli kłębiły się w mojej głowie. Życzyłam jej śmierci. A teraz... teraz... ona istotnie nie żyje.

Nagłym ruchem ukryła twarz w dłoniach.

— Lauro, najdroższa — powiedział żarliwie — rozumiem, wszystko rozumiem. A płomienie? Czy też coś znaczą?

— Modliłam się. Tak, modliłam. Zapaliłam świeczkę w pewnej intencji. A wie pan w jakiej? Chciałam, żeby Shirley umarła. A teraz...

— Dosyć, Lauro, proszę przestać. Pożar... co z pożarem?

— To było tej samej nocy. Przebudziłam się. Poczułam dym. Palił się dom. Pomyślałam sobie, że moje modlitwy zostały wysłuchane. A wtedy usłyszałam niespokojne kwilenie niemowlęcia i nagle wszystko się odmieniło. Jedyne, czego pragnęłam, to uratować siostrzyczkę. No i uratowałam. Nawet nie była poparzona. Wyniosłam ją z płonącego budynku. I wtedy okazało się, że przepadła gdzieś cała moja zazdrość, już nie chciałam być tą pierwszą, tą najważniejszą; zaczęłam ją kochać, kochać z całych sił. Od tego czasu kochałam ją zawsze. Mój Boże... och! Mój Boże!

Llewellyn znów pochylił się ku niej. Powiedział nagle:

— Chyba teraz pani widzi, że moje pojawienie się tu... — przerwał, gdyż właśnie otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadła zadyszana panna Harrison.

— Przybył specjalista, pan Bragg. Jest na oddziale „A” i chce się z panią „widzieć — oznajmiła jednym tchem.

Laura wstała.

— Już idę. — Panna Harrison wycofała się, a Laura powiedziała pośpiesznie: — Przepraszam, lecz muszę tam pójść. Jeśli w jakiś sposób zechce mi pan dostarczyć rzeczy Shirley...

— Chętnie spotkałbym się z panią na kolacji w hotelu „Windsor”. To ten hotel w pobliżu Charing Cross Station. Mogłaby pani przyjść tam dziś wieczorem?

— Dziś to chyba niemożliwe.

— Zatem jutro.

— Niełatwo mi wychodzić wieczorami...

— Wieczorami nie ma pani żadnych obowiązków. Już się upewniłem co do tego.

— Mam inne sprawy... inne zobowiązania... — Wcale nie o to chodzi. Pani się boi... — W porządku, boję się.

— Mnie?

— Chyba tak.

— Dlaczego? Myśli pani, że jestem szalony?

— Nie. Wiem, że tak nie jest. To nie to.

— A jednak boi się pani. Dlaczego?

— Chcę, by zostawiono mnie w spokoju. Nie chcę burzyć ładu, jaki panuje w moim życiu. Och! Sama nie wiem, co mówię. Muszę już iść.

— Ale zje pani ze mną kolację, prawda? Kiedy? Jutro? Pojutrze? Pozostanę w Londynie tak długo, aż się pani zgodzi.

— Zatem dzisiaj wieczorem.

— Tylko proszę wszystkie obowiązki zostawić tutaj! — Zaśmiał się i nieoczekiwanie, ku własnemu zaskoczeniu, ona zaśmiała się także. Potem, na powrót oblókłszy twarz w powagę, energicznie wyszła zza biurka. Llewellyn przepuścił ją i otworzył drzwi.

— Hotel „Windsor”, ósma godzina. Będę czekał.

ROZDZIAŁ DRUGI

1

Laura siedziała przed lustrem w sypialni swego maleńkiego mieszkania. Studiowała swoją twarz, z dziwnym uśmiechem na ustach. W prawej ręce trzymała szminkę. Popatrzyła na wygrawerowany na zakrętce napis: Fatalne jabłko.

Wciąż zastanawiała się nad niewytłumaczalnym impulsem, który kazał jej wejść do wnętrza luksusowej perfumerii, tak obojętnie mijanej każdego innego dnia.

Sprzedawczyni przyniosła cały zestaw szminek i cierpliwie wypróbowała je na grzbiecie szczupłej dłoni o niezwykle długich palcach, zakończonych karminowymi paznokciami.

Małe plamki różu i cyklamenu, szkarłatu, koloru wiśniowego i ciemnoczerwonego z odcieniem brązu, niektóre właściwie różniące się tylko nazwami. Nazwami ekscentrycznymi, jak uznała Laura.

Różowa błyskawica, kremowy rum, jasny koral, skromny goździk, fatalne jabłko.

To nazwy ją pociągały, nie kolory.

Fatalne jabłko... to oczywiście kojarzyło się z Ewą, z kuszeniem, z kobiecością.

Siedząc przed lustrem, starannie pomalowała wargi.

Baldy! Pomyślała o Baldym, wrywającym powój i jednocześnie przemawiającym jej do rozsądku. To było tak dawno temu. Co takiego wówczas powiedział? „Pokaż, że jesteś kobietą, powiewaj sztandarem swojej płci, rozejrzyj się za swoim mężczyzną...” Coś w tym rodzaju. Czyżby to właśnie teraz robiła? Tak, robię dokładnie to, pomyślała. Tylko tego wieczoru, tylko ten jeden jedyny raz chcę być kobietą jak inne kobiety, chcę się wystroić, umalować, chcę przyciągnąć do siebie mężczyznę. Nigdy przedtem tego nie chciałam. Nigdy nie myślałam, że jestem właśnie taka. A jednak jestem. Mimo wszystko. Tylko że do tej pory nie wiedziałam o tym.

Kochany Baldy! Prawie poczuła jego obecność. Wyobraziła sobie, jak stoi obok niej, jak kiwa swoją wielką, ciężką głową na znak aprobaty i mówi burkliwym głosem: „To prawda, mała Lauro. Na naukę nigdy nie jest za późno”.

Kochany stary przyjaciel... Zawsze, przez całe życie, miała go przy sobie. Swego prawdziwego i wiernego przyjaciela.

Wróciła myślą do jego łóżka śmierci. To było dwa lata temu. Posłali po nią, lecz kiedy znalazła się na miejscu, obecny przy chorym lekarz wyznał, że pan Baldock już jej prawdopodobnie nie pozna; ginął w oczach i był jedynie na pół świadomy.

Usiadła przy nim, ujęła starczą sękatą rękę w obie dłonie i przyglądała mu się. Leżał bardzo spokojnie, chrząkając jedynie od czasu do czasu i posapując, jak gdyby chciał wyładować jakieś wewnętrzne rozdrażnienie. Chwilami jego usta wypowiadały kilka niewyraźnych słów.

Raz otworzył oczy, popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem i powiedział:

— Gdzież jest to dziecko? Nie możecie po nią posłać? Tylko niech nikt nie plecie głupstw, że nie powinna widzieć, jak ktoś umiera. Zwyczajne doświadczenie, nic więcej... Dzieci łatwo znoszą śmierć, łatwiej niż my, dorośli.

— Jestem tutaj, Baldy. Jestem tutaj.

On jednak na powrót zamknął oczy i tylko mruknął z oburzeniem:

— Umierający, coś podobnego! Wcale nie umieram. Wszyscy lekarze są tacy sami, ponure diabły. Ja im jeszcze pokażę.

I wtedy popadł w drzemkę. To, że co jakiś czas mamrotał, wskazywało jedynie, że jego umysł błądzi wśród wspomnień z całego życia.

— Przeklęty głupiec, żadnego w tym ładu ni składu, nie ma pojęcia o historii... — Nagle zarechotał. — Stary Curtis i jego mączka kostna. Moje róże i tak są ładniejsze.

Potem wróciło jej imię.

— Laura... powinieneś sprawić jej psa... To ją rozbawiło. Psa? Dlaczego psa?

Potem chyba wdał się w jakąś dawną dyskusję ze swoją gospodynią:

— ...i proszę zabrać stąd te wszystkie obrzydliwe słodczyce... tak, tak, dla dziecka... robi mi się niedobrze, jak na nie patrzę...

Oczywiście, te przepyszne herbatki u Baldy'ego, które były wielkim wydarzeniem w latach jej dzieciństwa. Żal, że już ich nie będzie. Ekierki, bezy, makaroniki... Do oczu Laury nabiegły łzy.

I oto nagle Baldy ocknął się, popatrzył na nią przytomnie, rozpoznał ją, przemówił do niej. Jego ton był rzeczowy.

— Nie powinnaś była tego robić, Lauro — rzekł z dezaprobatą. — Z tego może wyniknąć jedynie nowa bieda.

I w najzwyczajszy w świecie sposób odwrócił głowę na poduszce i umarł.

Jej przyjaciel...

Jej jedyny przyjaciel.

Laura ponownie spojrzała na swoją twarz w lustrze. Zaskoczyło ją to, co zobaczyła. Czy to tylko ta ciemna, szkarłatna linia szminki, wokół wygięcia jej warg? Pełne usta; doprawdy, ani śladu ascetyzmu. Ani śladu ascetyzmu w całej twarzy...

Powiedziała, półgłosem, jakby spierając się z kimś, kto i był nią samą, i jednocześnie nie był:

— Dlaczego nie miałabym pięknie wyglądać? Tylko ten raz? Tylko tego wieczoru? Wiem, że powinnam była pomyśleć o tym wiele lat temu, lecz dlaczego nie miałabym się przekonać, co czuje piękna kobieta? Tylko po to, żeby było co wspominać...

2

— Co się z panią stało? — spytał, przyglądając się jej badawczo.

Laura przemilczała uczucie onieśmienia, które zaczęło ją ogarniać, odzyskała równowagę ducha i spojrzała uważnie na Llewellyna.

Spodobało jej się to, co zobaczyła. Nie był młody, wyglądał starzej, niż wskazywałby na to jego wiek (znała go z doniesień prasowych), lecz było w nim pewne chłopięce skrępowanie, które zdało jej się równie dziwne, jak miłe. Przejawiał jakąś skwapliwość połączoną z nieśmiałością i pełne nadziei uniesienie, jak gdyby na nowo odkrywał świat i jego wszystkie tajemnice.

— Nic się ze mną nie stało. — Pozwoliła, by pomógł jej zdjąć płaszcz.

— Och, przecież widzę. Pani jest inna. Całkiem inna od tej, którą widziałem dzisiejszego ranka!

— Szminka i puder, to wszystko! — stwierdziła krótko.

Przyjął jej słowa w dobrej wierze.

— No tak, rozumiem. Istotnie, zdawało mi się, że pani usta są bledsze niż usta większości kobiet. Trochę mi pani przypominała zakonnice.

— Cóż... być może.

— Teraz wygląda pani ślicznie, doprawdy ślicznie. Jest pani po prostu piękna, Lauro. Czy wolno mi to powiedzieć?

Mów to często, wołał jej wewnętrzny głos. Mów to wciąż od nowa. To wszystko, co kiedykolwiek w życiu będę miała.

— Zjemy kolację tu, w moim salonie. Pomyślałem, że tak będzie lepiej. Ale może się myłę? — Popatrzył na nią z niepokojem.

— Nie, czuję się tu doskonale.

— Mam nadzieję, że kolacja też będzie doskonała, choć szczerze mówiąc, nie byłbym tego taki pewny. Nie bardzo znam się na jedzeniu. Chciałbym jednak sprawić pani przyjemność.

Uśmiechnęła się do niego, zasiadając do stołu, a on zadzwonił na kelnera.

Czuła się jak we śnie.

To nie był mężczyzna, który odwiedził ją tego ranka w Fundacji Worleya. To był ktoś zupełnie inny. Młodszy, niedoświadczony, przejęty własną rolą, niepewny siebie, rozpaczliwie niespokojny o to, czy spodoba się swojej towarzyszce. Taki był wtedy, kiedy miał dwadzieścia parę lat, pomyślała. Stara się nadrobić coś, co go ominęło, i cofa się w przeszłość, aby to coś odnaleźć.

Na krótką chwilę poddała się fali smutku i rozpacz. To nie było realne. To było to, co mogło się stać, gdyby się kiedyś spotkali. To był młody Llewellyn i młoda Laura. To było śmieszne i nieco żałosne, chybione w czasie, lecz dziwnie słodkie.

Jedli kolację. Serwowane potrawy nie miały wyszukanego smaku, lecz żadne z nich tego nie zauważyło. Razem odkrywali pays du tendre. Lekka, niewiele znacząca rozmowa była często przeplatana śmiechem.

W końcu, gdy na stole pojawiła się kawa, a kelner poszedł sobie na dobre, Laura powiedziała:

— Pan wie o mnie całkiem sporo, lecz ja o panu nie wiem nic. Zatem zamieniam się w słuch.

Opowiedział jej o dzieciństwie, o dorastaniu, o rodzicach.

— Czy jeszcze żyją?

— Ojciec zmarł dziesięć lat temu, a matka zeszłego roku.

— Czy bardzo byli z pana dumni?

— Ojciec, jak mi się zdaje, nie akceptował sposobu, w jaki realizowałem swoją misję. W końcu jednak uznał, jak przypuszczam, że nie ma dla mnie innej drogi. Moja matka rozumiała to lepiej. Była, jak każda matka, dumna z tego, że jej syn jest sławny, tym bardziej że była to też i jej zasługa, lecz jednocześnie była smutna.

— Smutna?

— Tak, ponieważ nie prowadziłem zwykłego życia, a to z kolei odseparowało mnie od innych ludzi i oczywiście od niej.

— Rozumiem — powiedziała. Llewellyn snuł dalej swoją opowieść, opowieść niezwykłą, jak się Laurze zdawało. Wszystko, przez co przeszedł, nie mieściło się w granicach jej doznań, toteż w pewien sposób poczuła się wzburzona.

— Ależ to straszny komercjalizm.

— Ten cały mechanizm? No tak.

— Gdybym potrafiła to lepiej zrozumieć. Bo chcę zrozumieć, chcę dojść do sedna. Pan, jak sądzę, uważał, że to było naprawdę ważne, warte wszelkiego wysiłku.

— Dla Boga?

— Nie... nie — zachnęła się. — Nie o Bogu myślałam, lecz o panu. Llewellyn westchnął.

— Usiłowałem całą rzecz wytłumaczyć Richardowi Wildingowi, lecz to nie takie proste. Widzi pani, nigdy nie zadawałem sobie pytania, czy moja misja jest warta wysiłku. Dostałem zadanie i musiałem je wykonać. To wszystko.

— Więc jak przypuszczam, mógłby pan głosić swoje nauki na pustyni, publiczność nie miała znaczenia, czy tak?

— W pewnym sensie. Jednak na pustyni moje kazania nie wypadałyby tak dobrze. — Uśmiechnął się szeroko. — Aktor nie potrafi grać wobec pustej widowni. Pisarz chce, by jego książki były czytane. Malarz czuje potrzebę wystawiania swoich obrazów.

— To brzmi tak, choć przyznaję, że nie mogę tego zrozumieć, jakby nie interesował się pan rezultatami swoich poczynań.

— Nie miałem żadnych możliwości, aby je poznać.

— Lecz liczby, statystyki, nawrócenia, wszystkie te rzeczy były zarejestrowane i wykazane czarno na białym.

— Tak, tak, to prawda. Jednak tu znów wracamy do mechanizmów, do kalkulacji, do których uciekają się ludzie. Nie wiem, jakich rezultatów spodziewał się sam Bóg albo jak obfite plony dla niego zebrałem. Lecz proszę zrozumieć jedno, Lauro: jeśli spośród tych wszystkich milionów, które przychodziły, aby mnie słuchać, Bóg chciał jednej, tylko jednej

duszy, i wybrał takie, a nie inne środki, aby właśnie ją zdobyć, to może należałoby się tym zadowolić.

— To tak jakby ktoś chciał użyć młota parowego do rozłupania orzecha.

— Według ludzkiej miary, tak. Na tym polega odwieczny kłopot, że stosujemy ziemskie, człowiecze pojęcia wartości (miary sprawiedliwości czy niesprawiedliwości) do Boga. Nie mamy, nie możemy mieć najmniejszego pojęcia o tym, czego Bóg rzeczywiście wymaga od człowieka, poza jednym (a to właśnie zdaje się nam wielce prawdopodobne), że spodziewa się, by człowiek stał się czymś, czym mógłby być, a czym wciąż nie jest.

— A co z panem? Czego teraz Bóg wymaga od pana?

— Och, teraz mam być takim sobie, zwykłym człowiekiem. Mam zarabiać na życie, ożenić się, powiększyć rodzinę, kochać bliźnich.

— I to ma panu wystarczyć?

— Wystarczy? A czego więcej mógłbym chcieć? Czego więcej powinien sobie życzyć każdy człowiek? Możliwe, że startuję z gorszej pozycji. Straciłem piętnaście lat normalnego życia. I w tym właśnie powinna mi pani pomóc, Lauro.

— Ja?

— Pani wie, że chcę ją poślubić, prawda? Zdaje sobie pani sprawę, pani na pewno wyczuwa, że kocham panią.

Laura siedziała, bardzo blada, i przyglądała mu się. Minęła iluzoryczność uroczystego obiadu. Na nowo byli sobą. Wracali do rzeczywistości, jaką sami sobie stworzyli.

— To niemożliwe — powiedziała.

— Czyżby? Dlaczego? — zapytał niefrasobliwie.

— Nie mogę wyjść za pana.

— Dam pani czas na przyzwyczajenie się do tej myśli.

— Czas tu nie gra żadnej roli.

— Czy chodzi o to, że nigdy nie potrafi mnie pani pokochać? Proszę mi wybaczyć, Lauro, ale nie sądzę, by to była prawda. Sądzę, że już mnie pani odrobinę kocha.

Była podniecona. Jej twarz pokryła się rumieńcem. — Tak, mogłabym pana pokochać. I istotnie, już pana kocham...

— To wspaniale, Lauro... najdroższa, moja Lauro — powiedział miękko.

Wysunęła dłoń, jak gdyby chciała zatrzymać go z dala od siebie.

— Jednak nie mogę pana poślubić. Nikogo nie mogę poślubić.

Llewellyn wpatrywał się w nią intensywnie.

— Lauro, miła moja, nabiła pani sobie czymś głowę. Ciekawe czym.

— Ma pan rację, nabiłam.

— Chce się pani poświęcić pracy? Jakiś celibat?

— Nie, nie, nie!

— Przepraszam. Mówię jak głupiec. Lauro, najdroższa, pragnę wiedzieć o pani, wiedzieć o tobie wszystko.

— Tak. Czuję, że powinnam powiedzieć, choć jest to coś, o czym nie zamierzałam mówić nigdy i nikomu.

— Zgoda, lecz mnie musisz powiedzieć bezwarunkowo.

Wstała z za stołu i podeszła do kominka. Nie patrząc na niego, zaczęła mówić trzeźwym, rzeczowym głosem.

— Pierwszy mąż Shirley umarł w moim domu. — Wiem to od niej.

— Shirley tamtego wieczoru wyszła z domu. Byłam sama z Henrym. Stale brał pigułki nasenne, dość silną dawkę. Minęłyśmy się w drzwiach i Shirley zawołała za mną z dworu, że zażył swoją porcję, ale ja zdążyłam już zamknąć drzwi. Kiedy o dziesiątej zajrzałam do niego, aby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje, powiedział mi, że nie dostał pigułek. Przyniosłam je i podałam mu. Faktycznie raz już je zażył i przysnął, lecz na pół rozbudzony, otumaniony, jak to bywa z ludźmi biorącymi coś na sen, sądził, że jeszcze ich nie wziął. Zabiła go podwójna dawka.

— A ty czujesz się odpowiedzialna, tak?

— Tak, istotnie.

— Zgoda, formalnie.

— Więcej niż formalnie. Wiedziałam, że już je zażył. Słowa Shirley zdążyły do mnie dobiec.

— Wiedziałaś, że podwójna dawka może go zabić?

— Wiedziałam. — Dodała powoli: — Miałam nadzieję, że tak się stanie.

— Rozumiem. — Llewellyn nie okazywał żadnych emocji. — On był nieuleczalnie chory, tak? To znaczy, byłby kaleką do końca życia.

— To nie było zabójstwo z litości, jeśli to ma pan na myśli.

— I co było potem?

— Wzięłam na siebie pełną odpowiedzialność. Nie stawiano mi zarzutów. Natomiast podniesiono problem samobójstwa. Chodziło o to, czy Henry mógł rozmyślnie upomnieć

się o drugą dawkę pigułek. One nigdy nie były w zasięgu jego ręki, a to dlatego, że zbyt często poddawał się rozpaczy i że miewał ataki furii.

— Co powiedziałaś na taką sugestię?

— Powiedziałam, że nie sądzę, by tak było. Henry nigdy by o czymś takim jak samobójstwo nie pomyślał. Żyłby całymi latami, mając obok siebie Shirley, obsługującą go i cierpliwie znoszącą jego egoizm i złe humory, Shirley, która poświęciłaby dla niego wszystko. Chciałam, żeby była szczęśliwa, żeby żyła własnym życiem. Poznała Richarda Wildinga na krótko przedtem. Oboje byli w sobie zakochani.

— Tak, wyznała mi to.

— Możliwe, że opuściłaby Henry'ego, gdyby życie toczyło się zwykłym torem. Lecz Henry'ego chorego, kalekiego, uzależnionego od niej... nie, takiego Henry'ego nie zostawiłaby za nic w świecie. Shirley była lojalna, była najbardziej lojalną osobą ze wszystkich znanych mi ludzi. Czyż nie potrafi pan tego pojąć? Nie mogłam pogodzić się z myślą, że jej życie ma być jałowe, zrujnowane. Nie obchodziło mnie, co zrobią ze mną.

— W rzeczywistości nic nie zrobili. — Nie. Choć czasami tego żałuję.

— Tak, nie wątpię w to. Lecz tak naprawdę, cóż mogliby zrobić? Nawet jeśli to nie była pomyłka, nawet jeśli lekarz podejrzewał ciebie o odruch litości, a choćby i o inny, niewiele mający z litością wspólnego, to i tak zdawał sobie sprawę, że nie ma

na to żadnego dowodu. Inaczej przedstawiałaby się cała sprawa, gdyby posądzano Shirley.

— Shirley była poza wszelkimi podejrzeniami. Pokojówka faktycznie słyszała, jak Henry mówił do mnie, że nie zażył jeszcze swoich pigułek, jak prosił, abym mu je podała.

— Tak, wszystko się dla ciebie dobrze ułożyło; bardzo dobrze. — Popatrzył na nią. — A co czujesz teraz, gdy o tym myślisz?

— Chciałam, żeby Shirley była wolna...

— Zostaw Shirley w spokoju. To było między tobą a Henrym. Co czujesz, kiedy myślisz o nim? Że to było najlepsze rozwiązanie?

— Nie, na pewno nie.

— Dzięki Bogu i za to.

— Henry nie chciał umierać. Zabiłam go.

— Żałujesz?

— Jeśli chce pan wiedzieć, czy zrobiłabym to jeszcze raz, odpowiem: tak.

— Bez wyrzutów sumienia?

— Wyrzuty sumienia? O, tak. Postąpiłam niegodziwie. Wiem o tym. Świadomość potworności mego czynu towarzyszy mi do dzisiaj. O czymś takim nie sposób zapomnieć.

— I stąd Fundacja dla Dzieci Niedorozwiniętych? Dobre uczynki, ciągłe obowiązki, ciężkie obowiązki. Swoista pokuta, mam rację?

— To wszystko, co mogę zrobić.

— Czy jest z tego jakiś pożytek?

— Nie rozumiem. Przecież to sprawa warta największego wysiłku.

— Nie mówię o pożytku dla innych. Pytam, czy tego rodzaju praca pomaga tobie.

— Nie wiem...

— To kara, jaką sama sobie wymierzasz, tak?

— Chcę, a przynajmniej tak mi się zdaje, naprawić zło, jakie wyrządziłam.

— Naprawić zło wyrządzone komu? Henry'emu? Henry nie żyje. A sądząc po tym, co słyszałem, kto jak kto, lecz na pewno nie dzieci niedorozwinięte spędzałyby mu sen z powiek, gdyby żył. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, Lauro, nie możesz naprawić zła.

Stała przez chwilę bez ruchu jak porażona. Następnie odrzuciła głowę, a na jej policzki znów wypłynęły rumieńce. Popatrzyła na niego wyzywająco. Serce Llewellyna zabiło różnie w nagłym zachwycie.

— To prawda — rzekła. — Możliwe, że starałam się oszukać sama siebie. Słuchając pana, zrozumiałam, że to się na nic nie zda. Powiedziałam, że nie wierzę w Boga, jednak wierzę, naprawdę. Wiem, że to, co zrobiłam, było złe. Wiem także, w głębi serca, że będę za to skazana na potępienie. Chyba żebym okazała skruchę, żebym żałowała, a ja nie żałuję. Zrobiłam to, co zrobiłam, w pełni świadomie. Chciałam, żeby Shirley miała swoją szansę na szczęście, i tak się stało. Shirley była szczęśliwa. Och tak, wiem, że nie trwało to długo, zaledwie trzy lata. Lecz jeśli przez trzy lata była szczęśliwa i zadowolona z życia, i nawet, jeśli musiała umrzeć tak młodo, to mój grzech się opłacił.

Kiedy na nią patrzył, naszała go największa w życiu pokusa: pokusa przemilczenia prawdy. Niechby miała swoje złudzenia, zwłaszcza że poza nimi nie miała niczego więcej. Kochał ją. A kochając, jak mógłby zamienić jej męstwo, jej odwagę, w popiół? Nigdy nie powinna dowiedzieć się prawdy.

Podszedł do okna, odsunął zasłonę i wpatrzył się nic nie widzącymi oczami w światła ulicy. Następnie odwrócił się i rzekł zdławionym głosem:

— Lauro, czy wiesz, jak umarła twoja siostra?

— Została przejechana...

— No tak, to prawda. Lecz nie wiesz, jak do tego doszło. Shirley była pijana.

— Pijana? — Powtórzyła te słowa prawie bezwiednie. — To znaczy, że było tam jakieś przyjęcie?

— Żadne przyjęcie. Wymykała się potajemnie z domu i szła do miasta. Robiła to co pewien czas. Siadywała w kawiarni i piła brandy. Niezbyt często. Piła w domu. Wodę lawendową i wodę kolońską. Piła je aż do omdlenia. Służba wiedziała, Wilding nie.

— Shirley? Ależ ona nigdy nie piła! Nie w ten sposób. Dlaczego?

— Piła, bo była nieszczęśliwa. Piła, aby uciec.

— Nie wierzę.

— To prawda. Sama mi to powiedziała. Kiedy umarł Henry, była jak ktoś, kto zgubił drogę, była zagubionym, dezorientowanym dzieckiem.

— Przecież kochała Richarda, a on kochał ją. — Richard ją kochał, niewątpliwie lecz czy ona jego...? Krótkie zaślepienie, namiętność, to wszystko. A potem, zmęczona smutkiem i długim wysiłkiem, jakiego wymagała opieka nad przewrażliwionym kaleką, poślubiła go.

— I nie była szczęśliwa. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

— Co tak naprawdę wiedziałaś o swojej siostrze? Czy człowiek jest identyczny w oczach dwu różnych osób? Ty zawsze myślisz o Shirley jak o bezbronnym niemowlęciu, które ratujesz z pożaru, widzisz ją jako słabą, nie umiejącą sobie radzić istotę, która nieustannie potrzebuje miłości i opieki. Ja natomiast postrzegam ją zupełnie odmiennie, choć równie dobrze jak i ty mogę się mylić. W moich oczach Shirley była piękną, dzielną, młodą kobietą, zdolną do przyjmowania ciosów, nie poddającą się przeciwnościom. Kłopoty dobrze jej robiły; w zetknięciu z nimi mogła wykazać się hartem ducha. Była zmęczona, była spięta, lecz wygrywała swoją batalię. Brała się za bary z takim życiem, jakie sama sobie wybrała. Podnosiła Henry'ego z dna rozpaczki ku światłu dnia. A wieczorem przed jego śmiercią unosiła się radością; tamtego wieczoru triumfowała sama nad sobą. Kochała Henry'ego, Henry był tym, co było jej potrzebne; miała trudne życie, ale pełne namiętności i ta namiętność równoważyła jego niedostatki. A potem Henry umarł, a ona zamknęła się w sobie. Uciekła w życie pełne luksusu i w pełną napięcia miłość i szamotała się, i nie mogła się uwolnić. Wtedy znalazła ratunek w piciu. Picie rozmazuje kontury rzeczywistości, ale także zniewala. Kiedy kobieta raz popadnie w ten nałóg, niełatwo jej z nim skończyć.

— Nigdy mi nie powiedziała, że nie jest szczęśliwa, nigdy.

— Nie chciała, byś poznała prawdę.

— I to przeze mnie, tak?

— Tak, moje biedactwo.

— Baldy wiedział — rzekła powoli. — Tym właśnie były podyktowane jego słowa: „Nie powinnaś była tego robić, mała Lauro”. Dawno, bardzo dawno temu ostrzegł mnie: „Nie mieszaj się”. Dlaczego zawsze nam się zdaje, że „wiemy, co jest najlepsze dla innych ludzi? — Obróciła się gwałtownie w jego stronę. — Ona... czyżby ona... Czy to mogło być samobójstwo?

— To otwarta kwestia. Istotnie, mogło być. Weszła na jezdnię wprost pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Wilding w głębi serca tak właśnie myśli.

— Nie, och, nie!

— Ja natomiast jestem przeciwnego zdania. Mam o Shirley lepsze mniemanie. Myślę, że bardzo często znajdowała się na granicy rozpacz, lecz nie jestem w stanie uwierzyć, by mogła poddać się jej aż tak ostatecznie. Myślę, że miała w sobie duszę wojownika i że zamierzała dalej walczyć. Lecz nie przestaje się pić z dnia na dzień, na zawołanie. Co jakiś czas powraca się do alkoholu. Myślę, że dała krok z chodnika w wieczność bezwiednie i że nie wiedziała, dokąd idzie.

Laura opadła na sofę.

— Co ja mam zrobić! Och, co ja mam zrobić!

Llewellyn podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

— Wyjdiesz za mnie. Zacznieś życie od nowa.

— Nie, nie, nie mogłabym, nigdy.

— Dlaczego? Potrzebujesz miłości, Lauro.

— Pan nic nie rozumie. Muszę zapłacić za to, co zrobiłam. Każdy musi płacić za swoje czyny.

— Jesteś obsesyjnie opętana myślą o zadośćuczynieniu.

— Każdy musi płacić za swoje czyny — powtórzyła z uporem.

— Tak, przyznaję ci słuszność, lecz czy nie zdajesz sobie sprawy, moje biedactwo... — Zawahał się przed wypowiedzeniem ostatniej gorzkiej prawdy, jaką miała poznać. — Za to, co zrobiłaś, ktoś już zapłacił. Tym kimś była Shirley, nikt inny.

— Shirley zapłaciła za mój czyn? — Popatrzyła na niego przerażona.

— Tak. I chyba będziesz musiała nauczyć się żyć z tą świadomością. Shirley zapłaciła, lecz Shirley nie żyje i dług jest anulowany. Musisz iść do przodu, Lauro. Nie powinnaś zapominać o przeszłości, lecz tę przeszłość masz nosić jedynie w swojej pamięci, ta

przeszłość nie może kłaść się cieniem na każdym dniu twojego życia. Powinnaś zaakceptować nie karę, lecz szczęście. Tak, moje słodkie dziecko, szczęście. Powinnaś przestać dawać i powinnaś nauczyć się brać. Bóg postępuje z nami dziwnie... To On obdarowuje cię, o czym absolutnie jestem przekonany, szczęściem i miłością. Przyjmij jego dary z pokorą.

— Nie mogę. Nie mogę!

— Musisz. Poderwał ją z sofy.

— Kocham cię, Lauro, a ty kochasz mnie. Nie tak bardzo, jak ja ciebie, jednak kochasz naprawdę.

— Tak, kocham cię.

Pocałował ją. Całował ją długo i zachłannie. Kiedy wysunęła się z jego ramion, powiedziała, śmiejąc się niepewnie:

— Żałuję, że Baldy tego nie widzi. Ale by się ucieszył! — Zrobiła krok, zachwiała się i pewnie by upadła, gdyby nie pomocne dłonie Llewellyna.

— Uważaj... Nic ci się nie stało? Mogłabyś rozbić głowę o marmurowy gzyms kominka.

— Głupstwo.

— Czyżby? Sama nie wiesz, ile dla mnie znaczysz... Uśmiechnęła się. Zdawała sobie sprawę z jego miłości i niepokoju. Ktoś jej pragnął; od dzieciństwa o tym marzyła. Czowała, jak spływa na nią ukojenie. Ramiona Laury przygarbiły się odrobinę, jak gdyby przygniotło je jakieś brzemie, słodkie brzemie, lecz mimo wszystko brzemie.

Pierwszy raz w swoim życiu poczuła ciężar miłości.

- * The School of Oriental and African Studies, University of London (przyp. tłum.).
 - * Salonowa gra towarzyska przypominająca flirt towarzyski; polega na zadawaniu osobistych pytań i udzieleniu natychmiastowych odpowiedzi (przyp. tłum.).
 - * Postać z Po drugiej stronie lustra Lewisa Carrolla (przyp. tłum.).
 - * Dzień Zwiastowania — oficjalny termin rozpoczęcia roku obrachunkowego, obowiązujący w Anglii od 1752 r. (przyp. tłum.).
 - * Powóz dwuosobowy (przyp. red.).
 - * Eisteddfod — walijski konkurs poezji i śpiewu (przyp. tłum.).
 - * Nawiązanie do Pieśni nad Pieśniami, zob. Biblia Tysiąclecia, wyd. IV, Poznań—Warszawa 1991, s. 754 (przyp. tłum.).
 - * Pieśń nad Pieśniami, 2.5; zob. Biblia Tysiąclecia, wyd. IV, Poznań–Warszawa 1991 r., s. 748 (przyp. red.).
 - * Ewangelia wg św. Łukasza, 18.9; zob. Biblia Tysiąclecia, wyd. IV, Poznań–Warszawa 1991, s. 1204 (przyp. red.).